TYLKO U NAS

KRYSTYNA PAWŁOWICZ:

DLACZEGO ODCHODZĘ Z POLITYKI

BODNAR W ROZMOWIE Z FIJOŁKIEM CHWALI PiS

ZBIGNIEW ZIOBRO O KULISACH WALKI Z LICHWĄ

OPOZYCJA IDZIE OSOBNO, CZYLI SCHETYNY WALKA O ŻYCIE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 29 (347) 2019
22–28 lipca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

DLACZEGO OPOZYCJA ZA WSZELKĄ CENĘ CHCE

DOPAŚĆ TVP

ZA ŚWIADOMIE NAKRĘCANYM HEJTEM KRYJE SIĘ CYNICZNY PLAN

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

JUŻ 29 LIPCA W TYGODNIKU

SIECI

DODATEK NA 75. ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

JAK TOCZYŁO SIĘ ŻYCIE PRZEZ 63 DNI POWSTANIA?

Chwała Bohaterom!

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 5a1adb

PiS włożyło nogę w drzwi

Podsumowując zakończoną w zeszłym tygodniu procedurę wyboru szefa Komisji Europejskiej, lewicowo-liberalny portal euobserver.com wśród pięciu najważniejszych wniosków z całej batalii umieścił również wzrost znaczenia naszego regionu. „Nie będzie możliwe zawieranie układów bez włączenia Europy Środkowej w proces decyzyjny" – czytamy w artykule zatytułowanym „Czego dowiedzieliśmy się z głosowania nad kandydaturą von der Leyen?". To ważne zdanie pokazujące, że walka toczyła się nie tylko o zatrzymanie Fransa Timmermansa, lecz również o uznanie statusu prawomocnego partnera politycznego unijnych potęg.

Walczyła o to Grupa Wyszehradzka, ale walczyło także Prawo i Sprawiedliwość. Delegacja polskiej partii rządzącej poparła w Parlamencie Europejskim Ursulę von der Leyen. I to te głosy zdecydowały o uzyskaniu niezbędnej większości przez niemiecką polityk. Co ważne, była to decyzja nie tylko starannie przemyślana, lecz również wynegocjowana. Wiemy o telefonach od kanclerz Merkel, wiemy o rozmowach w Brukseli. Słyszymy, że uzyskano sporo, także w sprawie dla nas najważniejszej, czyli rezygnacji z ostentacyjnie agresywnej linii w sferze tzw. praworządności. Oczywiście ataki na Polskę nie ustaną z dnia na dzień, wszczęte procedury też będą się jeszcze toczyły, ale nie o to tu chodzi. Celem jest bowiem podjęcie rzeczywistego dialogu z Warszawą, realne, a nie skrajnie ideologiczne spojrzenie na sytuację w naszym kraju, wreszcie, zaprzestanie traktowania publicystycznych tez opozycji jako obiektywnej diagnozy. Czy jest na to szansa? Von der Leyen wysyła w tej sprawie sprzeczne sygnały. Z pewnością będą na nią wywierane duże naciski, ale można sądzić, że nie będzie zainteresowana bezdyskusyjnym pielęgnowaniem „dorobku" Timmermansa. Choćby z tego powodu, że nie była to jej wojna.

Scenariusz europejski jak na razie układa się niemal w pełni po myśli obozu rządzącego. Timmermans nie dostał nagrody za atakowanie Polski i Węgier i jest już jasne, że konflikt z Europą Środkową może złamać karierę. Głosy PiS stały się także – przynajmniej w obecnej konstelacji – języczkiem u wagi, o czym marzono przed wyborami europejskimi, ale co wydawało się mało realne. Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że ta sytuacja będzie trwała do końca kadencji, że dotrzymane zostaną umowy, siła bowiem przyciągania się partii mainstreamowych – głównie chadecji i socjalistów – jest duża, podobnie jak frustracja lewicy (o czym przekonała się Beata Szydło zablokowana w Parlamencie Europejskim). Ale samo to, że doszło do rozmów, że zawarto pierwszy duży „deal", ma swoje, być może przełomowe, znaczenie. Opłaciło się trwanie w formule frakcji konserwatystów i reformatorów; frakcji wzywającej do zmian, ale jednocześnie jednoznacznie proeuropejskiej. Być może przynajmniej główny nurt chadeków usłyszy wreszcie, co tak naprawdę mówi do niego Warszawa. Dotychczas bowiem EKR nie słuchano, zagłuszając ciekawe przesłanie tej frakcji zwykłym wrzaskiem.

Po raz pierwszy PiS weszło do dużej gry, i to z pozycji w pełni podmiotowych. Kto wie, czy nie zapowiada to dłuższego i szerszego procesu, który można nazwać zbieraniem premii za lata konsekwencji, za lata odporności na presję, wreszcie za skuteczność w polityce wewnętrznej.

Jacek Karnowski

33/0719/F

SIECI spis treści

33 *Pikieciarze do wynajęcia* *Dorota Łosiewicz*

42 *Z Adamem Bodnarem rozmawia Marcin Fijołek*

51 *Gladiator z Fox News* *Łukasz Adamski*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PORA RELAKSU**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **A NIE MÓWIŁEM?**
Jan Pietrzak

13 **POLSKA HUMANISTYKA, CZYLI PROFESURA ZYBERTOWICZA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **NIE TYLKO JABŁKA...**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **TA CHOLERNA TVP**
Marcin Wikło, Marek Pyza

KRAJ

24 **SCHETYNY GRA O ŻYCIE**
Stanisław Janecki

28 **ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ**
rozmawiają Jacek Karnowski i Wojciech Biedroń

33 **PIKIECIARZE DO WYNAJĘCIA**
Dorota Łosiewicz

38 **Z KRYSTYNĄ PAWŁOWICZ**
rozmawia Jakub Maciejewski

42 **Z ADAMEM BODNAREM**
rozmawia Marcin Fijołek

47 **LICEUM, KTÓREGO NIE MA**
Aleksander Nalaskowski

SIECI KULTURY

51 **GLADIATOR W FOX NEWS**
Łukasz Adamski

55 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

56 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

58 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

60 **Z PRZEMYSŁAWEM ŻURAWSKIM VEL GRAJEWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

64 **K JAK KONCENTRACJA MEDIALNA**
Hanna Karp

HISTORIA

66 **NASI NUNCJUSZE I AMBASADORZY**
Lidia Dudkiewicz

70 **Z JAROSŁAWEM PAPISEM I ROBERTEM LUBAŃSKIM**
rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

72 **TURECKA PROWOKACJA**
Marek Budzisz

76 **WYWROTOWIEC Z GŁÓWNEGO NURTU**
Jan Rokita

ZDROWIE

84 **SZCZEPIENIA PODANE NA CHŁODNO**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

86 **MOJE SZLAKI: JOLANTA FAJKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **SIEDZIEĆ CICHO?**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **WRZAWA I PRAGMATYZM**
Aleksander Nalaskowski

93 **SUPERDZIADEK NA EKSPORT**
Wiktor Świetlik

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **DO PANI KRYSTYNY PAWŁOWICZ**
Ryszard Makowski

97 **NA NOCNYCH SZLAKACH CZASU**
Leszek Długosz

98 **SAMOBÓJCZA WYSOKOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

52/0519/F

eprasa.pl 5a1adb7661

verva street racing

WSTĘP WOLNY

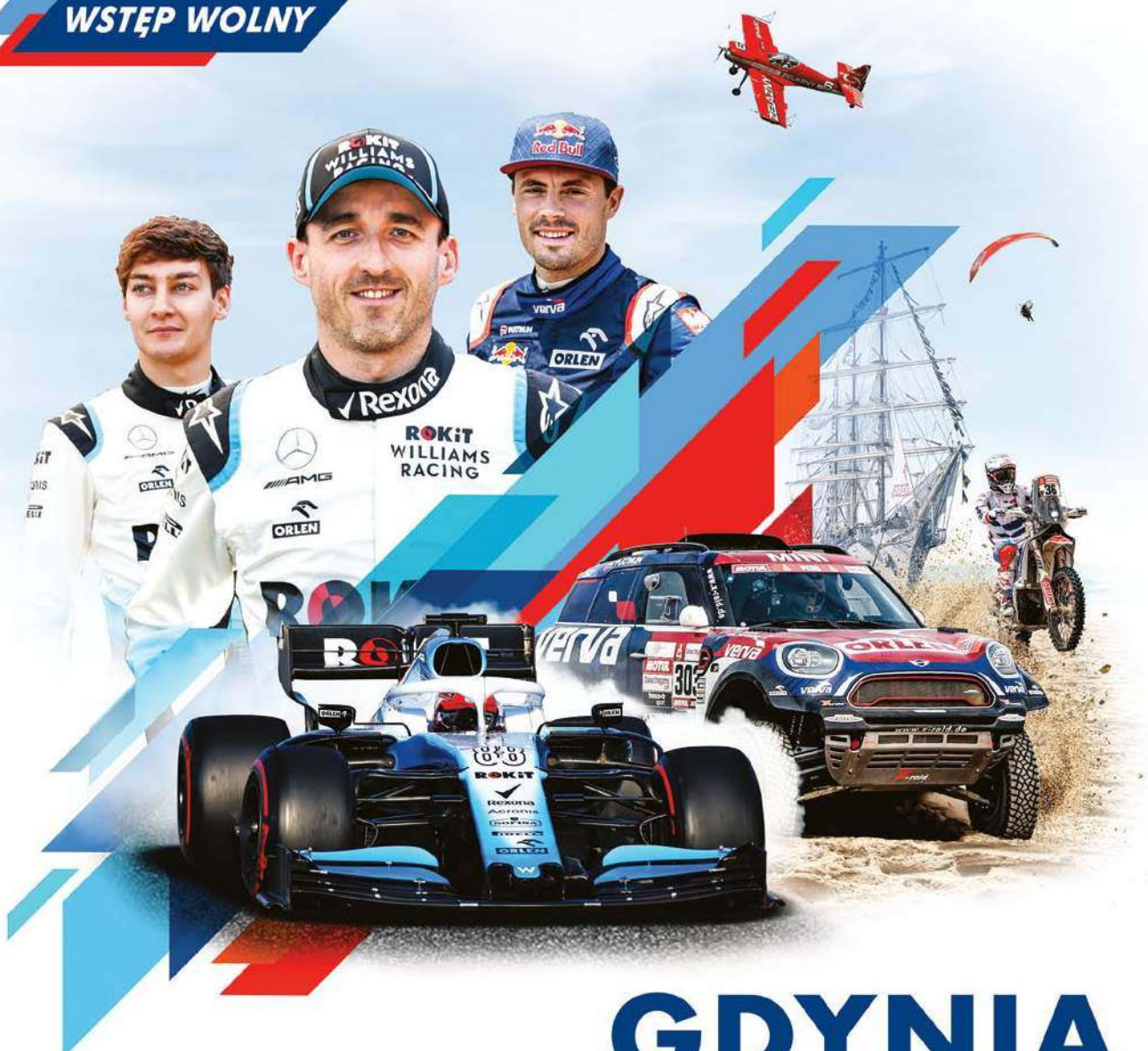

GDYNIA

24-25 sierpnia 2019

ORLEN

ROKiT WILLIAMS RACING OFFICIAL PARTNER

Team ORLEN

www.vervastreetracing.pl

eprasa.pl 5a1adb7661

Sygnalista nadaje

„Gazeta Wyborcza” ujawniła „diaboliczny plan prezesa TVP na wsparcie PiS w nadchodzącej kampanii przed wyborami do Sejmu”. Chodzi o film Jacka Bromskiego „Solid Gold”, którego scenariusz jest oparty na motywach afery Amber Gold. Premiera miała być w lipcu, ale została przesunięta na 11 października. Anonimowi informatorzy „GW” twierdzą, że premierze będą towarzyszyły spoty reklamowe, które mają uderzyć w opozycję. W ten sposób „Telewizja Polska ozłoci PiS” – złości się Czerska, która nie omieszkała już ocenić, że... film jest kiepski.

Sprawa jest rzeczywiście ciekawa. Osoba znająca kulisy sprawy mówi tak: „Sami twórcy przyszli do TVP. Przynieśli scenariusz jak marzenie, pokazujący całą patologię III RP. Jest nawet scena, w której lokalni politycy burłaczą samolot. Zaangażowali znanych aktorów, w tym kojarzonych z opozycją, podpisali z nami umowy, a teraz udają, że nie wiedzieli, co robią, i protestują. Może oni naprawdę nie ogarniają rzeczywistości?”. A może – skoro zrobili taki film – wiedzą, jaka jest rzeczywistość, ale teraz się tej wiedzy przestraszyli?

Według „GW” za wszystkim stoi prezes TVP ***Jacek Kurski***, który miał wyznaczyć datę premiery, wymyślić tytuł filmu oraz zaplanować emisję spotów promocyjnych. Kurski to ma szczęście. W sytuacji, wydawałoby się, beznadziejnej, gdy prawica nie jest w stanie wyprodukować żadnej sensownej odpowiedzi na filmy Vegi czy Sekielskiego, sama III RP przynosi mu taką perełkę. Trzeba jednak przyznać, że potrafił złapać tę okazję.

Krystyna Pawłowicz odchodzi z polityki. Odchodzi bezkompromisowo. Poproszona przez reportera TVN o wypowiedź, rzuciła tylko: „Proszę pana, z TVN, sam pan wie, że nie rozmawiam”, po czym dodała: „Na kolana, przepraszaj, zdrajco jeden. Wszyscy na kolana!”. Oto prawdziwy rycerz, niezłomny bojownik o świętą sprawę. Bez pani profesor to już będzie inne PiS. Bo można znaleźć ludzi mądrych, wykształconych, obytych, ale o ludzi odważnych zawsze trudno.

Na marginesie, atakując „Solid Gold” za polityczny kontekst, Czerska wspięła się na szczyty hipokryzji. Bo chwilę wcześniej z zachwytem przyjęła film, który uderzy w PiS. Z satysfakcją cytowała Patryka Vegę, który ma nadzieję, że jego dzieło będzie „uderzeniem kuli bilardowej, która poruszy kolejne”. Od siebie dodawała: „O wyniku jesiennych wyborów do polskiego parlamentu zdecyduje różnica kilku punktów procentowych. Film »Polityka«, który obejrzy kilka milionów osób, może zmienić bardzo wiele”. Kalizm w najczystszej postaci.

O TVP znów głośno, głównie za sprawą listu otwartego, który Robert Mazurek skierował do szefowej „Wiadomości” Danuty Holeckiej. „W tępej propagandzie sukcesu jesteście gierkowscy, w nagonkach na opozycję gomułkowscy, a w estetyce jaruzelscy. Tyle że za Jaruzela było klarowniej, bo oni przynajmniej występowali w mundurach, a wam ich nie sprawiono” – twierdzi publicysta. Widać, że słabo już pamięta lata 80. W „Dzienniku Telewizyjnym” bardzo rzadko bowiem krytykowano opozycję. Tam o opozycji głównie milczano. Kto chce, niech zerknie, na YouTube sporo tego.

Holecka odpowiedziała Mazurkowi następująco: „Nie rozumiem, dlaczego rozbicie przez »Wiadomości« TVP informacyjnego kartelu, który w III RP decydował o przekazach dnia, wywołuje w Tobie aż taką frustrację. Pierwszy raz od lat Polacy mają

eprasa.pl 5a1adb7661

szansę zobaczyć rzeczywistość, która nie jest autoryzowana na Czerskiej. To chyba dobrze, że tak jest, nie uważasz?". Pewnie, że dobrze, ale człowiek ma jedną biografię i gdy wrośnie w jeden krajobraz, także medialny, w innym, choćby o niebo lepszym, czuje się nieswojo.

Mazurkowi odpowiedział szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosław Olechowski: „Gdybym chciał się dostosować do stylistyki tego »listu otwartego«, musiałbym zapytać: Panie Mazurek, kto Panu kazał napisać te wynurzenia spod śmietnika (wiadomo, do czego nawiązuję), szef Niemiec czy szef z czerwonoarmijnym rodowodem? Ale nie. Po prostu przemilczę". Inni mężczyźni z TVP albo nie zabrali głosu, albo wypowiedzieli się bardzo cicho. Niemądrze, bo bez solidarności zjedzą was jednego po drugim.

Opozycja pójdzie do wyborów w co najmniej trzech blokach. Tym samym ***Grzegorz Schetyna*** w pełni zrealizował swój plan, czytelny już od paru tygodni. Salon płacze, ale „Schet" ma rację: nadziei na zdobycie władzy jest tak mało, że każdy musi się ratować na własną rękę. Salon płacze i zgrzyta zębami, ale salon na polityce się nie zna. Brak silnego salonu prawicowego to zresztą jedna z ważnych przyczyn sukcesów PiS; Kaczyński może robić politykę, a nie bawić się w strojenie min i terapeutyzowanie neurotyków.

Czy oddzielny start PO, SLD i PSL to dla PiS najlepszy scenariusz? Większość uważa, że tak, ale są i inne głosy. „To dość niebezpieczne, bo metoda D'Hondta owszem, premiuje najsilniejszych i surowo traktuje najsłabszych, ale premiuje także średniaków na poziomie ok. 20 proc. Jeśli lewica zbuduje silny blok, Platforma zbierze swoje, a PSL przekroczy próg, może być różnie. Jeśli zaś walczyłyby tylko dwa bloki, to wystarczyłoby wygrać i władza byłaby gwarantowana". Teoria ta ma słabe punkty (przy rozbiciu opozycja będzie walczyła między sobą), ale odnotować warto.

Choć obóz rządzący króluje w sondażach, to niektórzy wciąż się martwią. Na przykład ***Jarosław Gowin*** postawił taką oto diagnozę: „Wyniki ostatnich wyborów pokazują, że Zjednoczona Prawica może wygrać bez miast, ale na dłuższą metę nie da się bez nich rządzić". Co jednak zrobić, jeśli miasta można zdobyć tylko za cenę utraty tych wyborców, którzy dają władzę? Może lepiej za bardzo nie ryzykować?

Tymczasem odnalazły się zaginione mieszkania śp. Pawła Adamowicza, których swego czasu nie można się było doliczyć. Okazało się, że ich właścicielem jest małżonka śp. prezydenta Gdańska Magdalena Adamowicz. „Jako majątek odrębny lokale o powierzchni 78,9 mkw., 53,3 mkw., 54,8 mkw. i 52,1 mkw, o deklarowanej łącznej wartości 1,8 mln zł »przeszły na mnie umową darowizny«, poinformowała 1 lipca br. wdowa po prezydencie" – informuje portal Wybrzeze24.pl. Łączny majątek pani Adamowicz zbliża się do 2 mln euro. Co ciekawe, okazało się, że nieruchomości Adamowiczów przez wiele lat w ogóle nie zyskały na wartości. Nasuwa się pytanie, czy Gdańsk jest tak blisko Europy, jak to sobie wyobraża, czy może jednak bardzo daleko?

„Jestem rozczarowana i zaniepokojona tym, że pewne grupy wykorzystują naklejki do promowania nienawiści i nietolerancji. Szanujemy wolność słowa, ale musimy wspólnie stać po stronie takich wartości jak różnorodność i tolerancja" – stwierdziła ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher w odpowiedzi na dołączenie do „Gazety Polskiej" naklejki z hasłem „Strefa wolna od LGBT". Pomijając ideologiczną czujność, to kolejny dowód, że ambasador powinna popracować nad oceną spraw, ludzi i kontekstów. Ktoś tam bardzo źle jej podpowiada, i to na różnych polach.

Protest w tej sprawie zapowiedział także wiceprezydent stolicy ***Paweł Rabiej***. „Niemieccy faszyści tworzyli strefy wolne od Żydów. Apartheid – od czarnych. Jak widać, tradycja znajduje godnych naśladowców, tym razem w Polsce, pod parasolem PiS i biskupów" – uderzył w mocnych słowach. Uczciwie mówiąc, środowiska LGBT, które Warszawa tak hołubi, nie są lepsze. To, co zbudowały na Zachodzie, to strefy niemal całkowicie wolne od chrześcijaństwa, zdrowego rozsądku i coraz częściej również normalnych rodzin. Szukanie totalitarnego genu najlepiej zacząć od siebie.

Gen. Stanisław Koziej (w latach 2005–2006 wiceminister obrony narodowej, w latach 2010–2015 szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego) pochwalił się na Twitterze: „Jestem dumny z wnuczek w Anglii. Tam studiują w ogromnie zróżnicowanych środowiskach i w doskonałej atmosferze, uzyskują wyróżniające oceny i starsza z nich po studiach otrzymała b. dobrą pracę, wyszła za mąż. Wszystko bez tej ciężkiej atmosfery ciągłego konfliktu, jaką mamy w kraju". To jednak prawda, że polski establishment bardzo często wychowuje potomków do emigracji, widząc w tym spełnienie marzeń. I nawet nie widzi, jakie to słabe.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 5a1adb7661

Pora relaksu

KRZYSZTOF FEUSETTE

„Patrz, Misiu, jak tu pięknie" – rzekła moja, gdy nareszcie trafiliśmy na miejsce. Decyzja była szybka. I tak polowaliśmy na coś w last minute, a tu, bach, niespodzianka – Trzaskowski w centrum Warszawy Strefę Relaksu otwiera. Zieleń, drzewa, to znaczy deski, animacje i te sprawy. Miały też być futrzaki, to się moja podpaliła, że może w seszelach do domu wróci czy tam szynszylach. Ale z szyn to tylko tramwajowe żeśmy zastali, też fajne. Jak nic nie jedzie.

„No, nic – mówię – rozejrzę się trochę po okolicy, może hejtera jakiegoś pisowskiego namierzę, to mu kota pogonimy jeszcze przed obiadem". Patrzę, auta z żarciem stoją, food trucki na to mówią (stąd się jej futrzaki przysłyszały), ale animacji ni cholery nie ma żadnej. Wracam, a ta już kaszle. „Smok straszny" – jęczy. „To chyba ci się z Wawelem pomyliło" – mówię, a ona, że o jakość powietrza jej chodzi. Oj tam, powietrze jak powietrze, raz jest, raz go nie ma, może rzeczywiście trochę spalinami jedzie, ale to jest dopiero szósta rano, więc co powiemy później? Zresztą, w metropolii czas szybciej płynie i ani się obejrzymy, a trzeba będzie wracać. „Idziemy na plażę" – mówię, żeby się wreszcie z leżaka zwlekła. „Plecy mi posmaruj – sapie – bo, jak się spalę, to mi na tych paletach skóra w nocy zejdzie". Wiedziałem, że tak będzie. Trzeba było materac wziąć, a nie krokodyla, psia jego mać. Godzina dmuchania, a i tak się oboje nie zmieścimy. Dobrze, że chociaż parawan człowiek w ostatniej chwili na dach wrzucił, to się będzie można trochę odseparować. Stoi dziewczę z obsługi: „Którędy nad wodę" – pytam. Zdziwiła się trochę. „Tutaj plaży nie ma – mówi. – Najbliższa to na Pradze, ale nie wiadomo, czy nie zamknięta". Moja krzyczy, że paszportu nie wzięła, więc odpuszczamy, chociaż jej tłumaczę, że to jest wszystko Unia Europejska. Nie, ona nie po to dla Rafała pół nocy się tłukła, żeby teraz rezygnować. „A przecież on tutaj pracuje zaraz obok. I widzi z ratusza to piękne miejsce, zieloną oazę miłości i otwartości...". Z tą otwartością trochę przesadziła, bo teren jest zastawiony, jak w porcie po wyładunku, a geja ani jednego nie widziałem. Nawet szkoda, bo chcieliśmy sobie karty wyrobić, żeby się wieczorem tramwajem różnorodności na nowy stadion Skry przejechać. Ale taksówkarz mówi, że tramwaj stoi, od kiedy Krzywonos na chwilę wsiadła, a Skry nie będzie, dopóki ktoś pieniędzy nie da, bo jak Rafał w kampanii obiecywał, to nie wiedział, że mu Hanka taki bajzel zostawi.

Jakkolwiek by patrzeć, atrakcje powoli się kończą. Jak moja zaraz z tej huśtawki nie zejdzie, to trzeba będzie toy-toya szukać. Do tej niby-tężni i tak się nie dopchamy, bo tam goście z TVN na odważnego polują, a ja po kimś natężać się nie będę. „Dobra – mówię – dawaj te butelki, co żeśmy je po drodze ze śmietników wyzbierali, pogramy sobie na automacie". Nagle, jak nie zadudni pod stopami, „Trzęsienie ziemi! – wrzeszczy moja. – Nie chowaj się pod drzewem!". I pada. Wszystko pomieszała, ale fakt faktem, że jak się tramwaje mijają, to cud, że tej sygnalizacji jeszcze nie wyrwało. No i fajnie, ludzie na Sycylię latają, żeby wulkan zobaczyć, a u nas trzęsie za darmochę.

Pytam się mojej, czy nie chce czegoś pozwiedzać, a ona, że parking już widziała, sadzonki natomiast jutro zobaczy, żeby teraz nie przegapić, jak Rafał będzie z ratusza wychodził. „A jak ma wolne?" – pytam. „Na pewno nie. Ty nie wiesz, jak on ciężko pracuje. Teraz też pewnie stoi za firanką i podziwia swoje największe dzieło w stolicy...". Jeszcze by tak gadała z pół godziny, gdyby nagle karetka na sygnale nie przejechała. „Alarm! – krzyczy. – Nalot chyba!". Jaki nalot? Chyba na zębach – od tych hamburgerów spalonych, co żeśmy je za tygodniową pensję na wynochę wzięli. Dobrze, że chociaż to 500+ człowiek bierze. To znaczy – my dzieci nie mamy, ale paru znajomych na znak protestu chciało zwrócić, to się od nich wzięło na cele charytatywne. Konkretnie – walkę z reżimem, bo przecież my na tych paletach nie leżymy dla relaksu, tu chodzi o coś więcej. O poparcie dla Rafała. Bo on jest teraz naszą ostatnią nadzieją.

Dlatego możemy zaświadczyć: miejsce jest totalnie fajnie, totalnie spontaniczne i tolerancyjne, warte każdych pieniędzy, więc jak można płakać, że milion złotych to za dużo? Przecież tutaj naprawdę można wypocząć. Najbardziej od ludzi, bo na ogół żywej duszy nie ma. A najbardziej super jest to, że na horyzoncie widać prawdziwe chaszcze, ogród Suskiego, czy jakoś tak, w każdym razie reżimowa ziemia. T tu nowoczesność i ekologia. Ratujemy planetę, zanim przez te cholerne banany wszystkie małpy wyginą. I powiem szczerze, takiej maszyny jak ten ryczyklimat (czyta się recyklomat) to w innych miastach jeszcze długo nie będzie. Wrzucasz butelkę, on ją niszczy, a potem ktoś z tego robi nową butelkę. To moja wymyśliła, że może kanapki z podróży na coś fajnego przerobi. A rano krzyk w mediach, że szkoda, bo taki był ładny, amerykański...

Rafał, myśmy nie chcieli, my już nawet pod tego potwora nie chodzimy, a te butelki z powrotem do śmietników powrzucamy, żeby kłopotu nie robić. Zdjęcie też sobie kiedy indziej zrobimy, bo już wracamy. Moja sobie drzazgę wbiła i nie może siedzieć za długo, a mnie się oskrzela odezwały. Chyba na beton mam alergię.

59/0419/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Irena Szewińska, Igrzyska XVIII Olimpiady Tokio 1964, srebrny medal w skoku w dal, 660 cm.

100 LAT POLSKIEGO KOMITETU OLIMPIJSKIEGO

Po 56 latach biało - czerwoni ponownie staną do walki o medale w stolicy Japonii podczas Igrzysk XXXII Olimpiady

#jesteśmyjednądrużyną

1 ROK DO TOKIO 2020

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. / COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA / POLSKIE RADIO
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 5a1adb7661

Fot. lev radin/Shutterstock.com

Rosja

Kanclerz Putin

Przewodniczący Dumy Wiaczesław Wołodin po raz kolejny zaproponował zmiany w rosyjskiej konstytucji. Jego zdaniem należy ograniczyć kompetencje prezydenta Rosji i jednocześnie rozszerzyć pełnomocnictwa parlamentu. Wołodin już dwukrotnie występował z takimi koncepcjami. Ostatnio, w kwietniu, rzucił pomysł, aby Duma brała udział w konsultowaniu kandydatów na ministrów i zgłaszała prezydentowi swoje propozycje dotyczące składu rządu. Jego zdaniem takie rozwiązanie sprzyjałoby równowadze między władzą wykonawczą a ustawodawczą.

W tej chwili faktyczny status Dumy nie jest zbyt wysoki. Od kilkunastu lat nie zmienia się jej kształt, obok mającej większość prezydenckiej Jednej Rosji w izbie niższej zasiadają jedynie przedstawiciele koncesjonowanej opozycji. Duma pełni więc głównie funkcję maszynki do głosowania. Propozycja Wołodina oznaczałaby zatem poważne wzmocnienie Dumy.

Trudno jednak wierzyć, że Wołodin – przez wiele lat zaufany współpracownik Władimira Putina – rzuca takie pomysły bez żadnej konsultacji lub przyzwolenia prezydenta. Tym bardziej że zmiana uprawnień Dumy wymagałaby nowelizacji konstytucji. Dziś, zgodnie z ustawą zasadniczą, prezydent przedstawia kandydata na premiera, a Duma wyraża zgodę na jego kandydaturę (bądź ją odrzuca). Deputowani nie mają jednak wpływu na kształt rządu.

Po co więc wzmacniać Dumę? Odpowiedź może tkwić w próbie rozwiązania Problemu 2024 – jak określa się kwestię następstwa po Putinie, któremu w 2024 roku kończy się ostatnia kadencja prezydencka. Niedawno agencja Bloomberg ujawniła, że na Kremlu rozpatrywany jest plan, zgodnie z którym Putin po odejściu z urzędu prezydenta miałby ponownie zasiąść w fotelu premiera. Miałoby temu towarzyszyć osłabienie władzy jego następcy i poszerzenie uprawnień Dumy. Również Putin – już jako premier – zostałby wyposażony w szerokie pełnomocnictwa.

Co więcej, rozpatrywana jest jakoby kolejna zmiana prawa wyborczego w Rosji, zakładająca zwiększenie liczby okręgów jednomandatowych. Może to mieć związek ze spadkiem notowań prezydenckiej Jednej Rosji. W okręgach jednomandatowych kandydaci proputinowscy mogliby startować jako rzekomi politycy niezależni i zdobyć tym samym poparcie wyborców.

Oczywiście wszystkie pojawiające się scenariusze są na razie wyłącznie spekulacją – Putin nie wypowiada się w tej sprawie i prawdopodobnie sam jeszcze nie podjął żadnej decyzji. Tym bardziej że do 2024 r. wiele się jeszcze może wydarzyć.

Konrad Kołodziejski

UE

Brak leków w Europie

W styczniu tego roku brytyjskie Ministerstwo Zdrowia postanowiło płacić specjalną premię dostawcom ponad 80 leków, głównie przeciwbólowych i antydepresantów, aby tylko zechcieli zapełnić półki brytyjskich aptek. Ale niewiele to pomogło. Niedługo potem Królewskie Towarzystwo Farmaceutyczne wydało specjalne oświadczenie, w którym zwraca uwagę na „gonitwę cen" i „masowe braki" leków w aptekach w Zjednoczonym Królestwie.

W czerwcu włoscy farmaceuci alarmowali, iż pacjenci odbywający kuracje antynowotworowe nie są w stanie zakupić niezbędnych im preparatów. W Belgii, również w czerwcu, odnotowano historyczny rekord, kiedy na rynku zabrakło 459 specyfików, głównie antybiotyków i preparatów rozrzedzających krew. ANSM – specjalna francuska rządowa agencja odpowiadająca za bezpieczeństwo medyczne – poinformowała w jednym ze swoich ostatnich komunikatów, że w latach 2008–2018 liczba niedostępnych leków na tamtejszym rynku wzrosła 20-krotnie, a perspektywy tegoroczne nie są lepsze, bo rząd spodziewa się, że wskaźnik niedostępności wzrośnie o kolejne 60 proc.

Holenderskie stowarzyszenia pacjentów zaczęły wywierać na tamtejszego ministra zdrowia presję, aby kraj zainicjował działania na poziomie europejskim, bo tylko w ten sposób, ich zdaniem, będzie można poradzić sobie z problemem, który dzisiaj jest dotkliwy, ale w przyszłości może się stać poważny. Przedstawiciele Francji już zaproponowali powołanie europejskiego producenta leków, kontrolowanego przez rządy i finansowanego ze środków publicznych, który mógłby być panaceum na obecne braki, spowodowane, zdaniem ekspertów, nadmierną koncentracją produkcji przez pojedynczych wytwórców substancji czynnych. To właśnie ich niedobory spowodowały, że obecnie firmy nie są w stanie nadążyć za rosnącym popytem starzejących się społeczeństw Europy. Adrian van den Hoven, dyrektor generalny zrzeszającej europejskich producentów leków organizacji Medicines for Europe, która notabene miała niedawno swój kongres w Warszawie, napisał, że „od lat biliśmy w dzwon, ostrzegając, iż rynek jest nadmiernie skoncentrowany" i przerwanie łańcucha dostaw może doprowadzić do katastrofalnych braków. Europejscy producenci w specjalnym oświadczeniu zaproponowali rewizję uprawianej przez wiele rządów polityki cięcia cen, która negatywnie odbija się na inwestycjach w branży, a także wezwali Europę do dopuszczenia do większej konkurencji na rynku.

Marek Budzisz

eprasa.pl 5a1adb7661

Włochy

Skazany za Donbas

W Pawii we Włoszech zakończył się proces, który przykuwał uwagę głównie obserwatorów na Ukrainie. Na ławie oskarżonych zasiadł bowiem mieszkaniec tego kraju – 30-letni Witalij Markiw. Jako 14-latek przeprowadził się z matką i siostrą do Italii, gdzie uzyskał włoskie obywatelstwo. W grudniu 2014 r., gdy w Kijowie wybuchła rewolucja, postanowił wrócić do ojczyzny. Najpierw walczył na Majdanie, a po rosyjskiej agresji na Donbas zgłosił się na ochotnika do Gwardii Narodowej.

W 2017 r. przyleciał do Włoch, by odwiedzić matkę, i na lotnisku w Bolonii został aresztowany. Oskarżono go o udział w zabójstwie włoskiego fotografa Andrei Rocchellego i rosyjskiego dziennikarza Andrieja Mironowa. Obaj korespondenci wojenni zginęli w maju 2014 r. na froncie pod Słowiańskiem od ostrzału moździerzowego. Według prokuratury Markiw odpowiada za ich śmierć jako dowódca oddziału.

On sam twierdzi, że jest niewinny. Na froncie nie był dowódcą, lecz zwykłym żołnierzem i nie mógł wydawać rozkazów. Miał tylko karabin i nigdy nie strzelał z moździerza. Nie mógł też naprowadzać artylerii na cel, ponieważ w momencie ostrzału znajdował się w miejscu, z którego nie widać było dwójki korespondentów. Ci ostatni znaleźli się zaś w „szarej strefie" między liniami obu walczących stron bez poinformowania wcześniej władz o swej obecności.

Mimo to prokurator zażądał 17 lat więzienia dla Markiwa. Sąd okazał się jednak bardziej surowy i wymierzył mu karę aż 24 lat. Adwokat Ukraińca Raffaele della Valle nie ukrywa swego oburzenia. Jego zdaniem prokuratura nie przedstawiła żadnego dowodu na winę oskarżonego, a oparła się jedynie na artykule Ilarii Morani z „Corriere Della Sera". Opisała ona włosko-ukraińskiego „kapitana", który „koordynował obronę miasta". To wystarczyło, by uznać Markiwa za podejrzanego. Wyrok sądu w Pawii wzbudził wiele wątpliwości także wśród włoskich dziennikarzy sądowych i z pewnością zostanie zaskarżony. Zdaniem ukraińskich mediów wpisuje się on w silnie obecną we Włoszech prorosyjską narrację.

Grzegorz Górny

Wojna u demokratów

USA

Pisałem w tej rubryce, że pierwsze debaty prezydenckie w prawyborach pokazały, że Partia Demokratyczna nie ma wystarczająco charyzmatycznego i błyskotliwego lidera, który mógłby konkurować z Donaldem Trumpem w 2020 r.

Na domiar złego w partii widać coraz wyraźniejszy podział na starą gwardię demokratów reprezentowanych przez wiceprezydenta z administracji Baracka Obamy Joego Bidena i agresywnych, skrajnych lewicowców jadących na paliwie LGBT i socjalistycznych hasłach. Ci ostatni ostro atakują swoich starszych kolegów z partii. Niedawno Alexandria Ocasio-Cortez, 29-letnia przedstawicielka Bronxu w Izbie Reprezentantów, oskarżyła o rasizm 79-letnią spikerkę Izby Nancy Pelosi.

Pelosi skrytykowała w wywiadzie dla „New York Timesa" kilka demokratycznych kongresmenek (wśród nich Ocasio-Cortez) za ich sprzeciw wobec ustawy o pomocy (ponad 4 mld dol.) dla ofiar kryzysu humanitarnego na granicy z Meksykiem. Kongresmenki ze skrzydła nowej lewicy zagłosowały przeciwko ustawie, ponieważ uznały, że wspiera ona politykę Donalda Trumpa wobec Meksyku. Pelosi w wywiadzie użyła stwierdzenia, że sprzeciw wobec ustawy wyszedł „tylko od czterech osób". To już wystarczyło, by weterankę demokratów oskarżyć o rasizm. W jednym z wywiadów Ocasio-Cortez stwierdziła, że protekcjonalne traktowanie czterech młodych kongresmenek przez Pelosi ma podłoże rasowe. Po wywołanej tą wypowiedzią awanturze Ocasio-Cortez odcięła się od swoich słów, ale nadal utrzymuje, że były one reakcją na „brak szacunku" dla nowej fali lewicowych kongresmenek.

Spięcie między Pelosi a czarnoskórymi kobietami z Partii Demokratycznej jest znamienne. Wojna na amerykańskiej lewicy staje się coraz silniejsza i ma wyraźne ideologiczne podłoże. Nowa fala radykalnej lewicy chce zmieść polityków kojarzonych z centrowymi, przewidywalnymi demokratami takimi jak Clintonowie czy nawet Barack Obama. To powoduje, że Donald Trump i republikanie, budujący swój przekaz na strachu przed „europeizacją Ameryki i socjalizmem", mogą dziś zacierać ręce.

Możliwe, że jedną z konsekwencji konfliktu w łonie demokratów jest spadek znaczenia telewizji CNN, której gwałtownie spadły rankingi popularności. Według ostatnich badań stację ogląda średnio 541 tys. widzów. Tymczasem prawicowe Fox News ma w tym czasie 1,3 mln widzów. Amerykańska prawica powinna więc chyba mocno wspierać Ocasio-Cortez i jej tęczowy „gang nowicjuszy" w Izbie Reprezentantów. Robią znakomitą robotę dla Trumpa. On sam wziął w obronę Pelosi. Ale chyba tylko kurtuazyjnie.

Łukasz Adamski

Fot. lev radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 5a1adb7661

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

A nie mówiłem?

Jan Pietrzak

Trybunał Konstytucyjny urządził sobie 20. urodziny. Pospraszał na jubel różnych gości. Niestety, nie wszyscy wpadli uczcić prezesa Safjana, który chciał się pochwalić, jak niezłomnie strzeże niezależności sędziów, na którą czyhają źli politycy. Twierdzi przy tym, że „żaden z polityków nie ośmielił się zadzwonić do mnie i sugerować czegokolwiek".

Mamy tu do czynienia z wyraźną sprzecznością. Czyhają czy nie czyhają, ośmielają się czy nie? Poza tym, jeżeli dzielny Safjan podejrzewa polityków obecnej koalicji o niecne intencje, to po co ich zaprasza? W konstytucji nie ma paragrafu zobowiązującego prezydenta i premiera do uczestnictwa w firmowych fetach. Nie korzystając z zaproszenia, prezydent, premier i marszałek Sejmu „ośmielili się" uszanować niezależność Trybunału. Czy z tego powodu należy wylewać w mediach gorycz?

Trybunał Konstytucyjny, przypomnijmy, kwestionując stosowną ustawę, stanął niedawno na stanowisku, że zawody prawnicze powinny być raczej dziedziczone niż nabywane. Sam prezes ujawnił przy tym z dumą, że cała jego rodzina to prawnicy. Nic dziwnego, że reprezentanci społeczeństwa, politycy, skrytykowali tę decyzję Trybunału. Społeczeństwu zależy bowiem na tym, by trzecia władza, sądownicza, nie znajdowała się w rękach kasty, klanów rodzinnych. To deformuje działanie prawa.

Rzecz jest o tyle ważna, że władze ustawodawczą i wykonawczą wybieramy sobie, lepiej lub gorzej, w wyborach. W zawodach prawniczych natomiast istnieje mechanizm kooptacji, jak wśród kapłanów w starożytnym Egipcie. Gdyby Temida jako tako działała, pewnie nie zawracalibyśmy sobie tym głowy. Ale działa marnie, a czasami skandalicznie. Wysiłki min. Ziobry, by jurysdykcja z jurysprudencją zaczęły odpowiadać potrzebom czasu, napotykają mur niechęci środowisk prawniczych. W takich okolicznościach nasładzanie się jubileuszem instytucji powstałej pod patronatem gen. Jaruzelskiego w roku 1985 nie wydaje się szczególnie potrzebne. Może ona ma swoje osiągnięcia formalne, ale nie dała się poznać jako ciało ułatwiające przemianę PRL w wolną Rzeczpospolitą.

Felieton napisany w roku 2006

Bądźmy wojownikami

Z aktorem Mikołajem Roznerskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Szybko nauczył się pan trzymać gardę?

Mikołaj Roznerski: Miałem zdecydowanego trenera. Jak trzymałem ręce zbyt szeroko, lał mnie pałkami po łokciach. Teraz to już odruch.

A w życiu, zwłaszcza po tej roli, czuje się pan wojownikiem, fighterem?

Myślę, że każdy na swoją miarę jest fighterem, każdy walczy o coś. Ja też walczę. O to, co jest według mnie słuszne. Nie buntuję się dla samego buntu. Tak, jestem fighterem.

Dlaczego to była ważna dla pana rola?

Polscy producenci lubią wsadzać aktorów do szuflad. Komedia romantyczna... a... jest Roznerski. Kiedy przyjmowałem rolę w „Fighterze" (który trafił właśnie do kin), było dla mnie ważne, by pokazać się widzom z innej strony, ale też sobie coś udowodnić – że potrafię, że odnajduję się w innym gatunku.

Jak wymagające było to doświadczenie?

Siedem tygodni treningu dało mi w kość, ale wciąż miałem wrażenie, że na przygotowanie takiej roli trzeba więcej. Zwłaszcza że w ringu stawałem naprzeciw świetnie wyglądającego i przygotowanego Piotrka Stramowskiego. Na szczęście wierzyli we mnie trenerzy (Robert Złotkowski i Andrzej Fonfara, byli mistrzowie świata, jeden kick-boxingu, drugi boksu) i najbliżsi – syn, kobieta, rodzice... Nie mogłem ich zawieść.

Rok po roku Telekamery, chwilę przed kinową premierą feta w Alei Gwiazd...

Rzeczywiście, spotkał mnie w tym roku zaszczyt. Odcisnąłem dłoń w Międzyzdrojach. Znalazłem się w fenomenalnym gronie. Byłem w nim najmłodszy, a to zarazem stresujące i nobilitujące. Oby tak dalej. Do przodu. Bądźmy fighterami.

Fot. Jacek Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 5a1adb7661

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polska humanistyka, czyli profesura Zybertowicza

Sprawa nieprzyznania tytułu profesora Andrzejowi Zybertowiczowi dużo mówi o stanie polskiej humanistyki. Pisał o tym prof. Andrzej Nowak w „Do Rzeczy" pod wymownym tytułem „Sekta w sekcji", który wyjaśnia ostatnie zdanie artykułu: „Ideał naukowego obiektywizmu sięgnął poziomu politycznej sekty". Pisali inni. Sam Zybertowicz przedstawił swoją sprawę w dwumiesięczniku „Arcana" w tekście „Amicus Plato sed magis Amica Veritas?". Ponieważ jednak nie jest ona ostatecznie rozstrzygnięta, a jej bohater odwołał się do wyższego gremium, wrócę do niej raz jeszcze.

Profesorem uczelnianym, nadzwyczajnym, jest doktor habilitowany, którego zaakceptuje określona uczelnia. O przyznaniu stanowiska profesora tytularnego, z czym wiążą się dodatkowe prawa i, w każdym razie teoretycznie, prestiż, decyduje Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułów. W jej sekcjach zasiadają przedstawiciele rozmaitych nauk. Do oceny kandydata powołują spoza swojego zespołu pięciu recenzentów, którzy, w każdym razie teoretycznie, mają być specjalistami w danej dziedzinie. Każda recenzja musi kończyć się jednoznaczną oceną: kandydat zasługuje na profesurę albo nie. W przypadku Zybertowicza pięciu wybranych recenzentów orzekło, że powinien on otrzymać tytuł profesora. Sekcja zdecydowała jednak, że się mu nie należy. Prawdopodobnie zadecydowały dwie recenzje, które wprawdzie kończą się oceną pozytywną, ale opatrzoną ironicznym komentarzem.

Pierwszą z nich napisał prof. Marcin Król. Osoba tego recenzenta, który z zasady powinien być bezstronny, prowokuje, co najmniej, wątpliwości. W 2012 r. wezwał on prezydenta Komorowskiego i premiera Tuska, aby skończyli z opozycją, czyli PiS, „zdecydowanie i twardo, nawet jeśli byłoby to niezgodne z prawem". To tylko jedna z jego podobnych wypowiedzi. A zbrodnią Zybertowicza jest sympatyzowanie z prawą stroną sporu politycznego.

W urągającej normom trzystronicowej recenzyjce Króla znajdujemy takie fragmenty: „O ile bowiem proces przekształceń tajnych służb w latach 80. i ich ewentualnie udział w stymulowaniu oraz nadzorowaniu procesu transformacji mogą być słuszne, o tyle twierdzenie, że w zasadzie transformacja jest »dziełem« tajnych służb wydaje się dziwaczne i niemal groteskowe". Oto przykład chwytu erystycznego zwanego redukcją do absurdu. Zybertowicz odsłania zjawisko, które Król chciałby pozostawić w ukryciu. Twierdzi więc, że Zybertowicz niczego innego nie widzi – co jest skrajną nieprawdą. I dalej: „Zgodzić się należy z Andrzejem Zybertowiczem, kiedy uważa on, że przemoc (siła) stanowi jedno z głównych narzędzi polityki, jednak dużo trudniej zgodzić się na całkowite pominięcie drugiego podstawowego narzędzia polityki, jakim jest »rozmowa«. Dla Zybertowicza rozmowy po prostu nie ma". To również fałszywe przedstawienie myśli kandydata, ale nie chodzi przecież o opis, ale karykaturę, a ta służy deprecjacji: „Nie chcę wskazywać na związki tych prac z działalnością publiczną Andrzeja Zybertowicza, jednak wskazują one na specyficzną i ważną w naszych czasach tendencję do myślenia w kategoriach siły. Nie wiem, bo Zybertowicz nigdzie na to pytanie nie odpowiada, jak jego przemyślenia mają się do idei demokracji i jej praktyki".

I w ten sposób w „naukowej" ocenie dorobku Zybertowicza dowiadujemy się, że on sam i wspierana przez niego formacja to wrogowie demokracji.

Drugi recenzent, prof. Szymon Wróbel, w dużo poważniejszym omówieniu odwołał się wprost do działalności politycznej kandydata. „Interesującym wątkiem w analizie publikacji naukowych Zybertowicza byłoby odszukanie tych momentów i decyzji epistemologicznych, które uzasadniłyby jego dalsze wybory polityczne. Z racji oczywistych, nie rekonstruuję tu tych momentów i decyzji, ale po analizie i ponownej lekturze Jego prac właśnie te »decyzje« dostrzegam".

Jak owa „podejrzliwa" analiza ma się do naukowych standardów?

W dyskusjach na temat sprawy dość często pojawia się teza, że humanistyczni profesorowie tytularni to rodzaj „towarzystwa", które wyborów dokonuje wiedzione środowiskowymi idiosynkrazjami. Okazuje się, że jedną z nich jest polityczna orientacja. Tyle że jest to zaprzeczenie jakichkolwiek naukowych kryteriów.

Szyld nauki ciągle wiąże się z szacunkiem. Dlatego wygodnie jest podpierać środowiskowo-polityczne wybory naukowym tytułem. Powinniśmy pamiętać o tym, kiedy znowu przeczytamy jakiś apel, odezwę czy list otwarty podpisany przez stado profesorów.

Pamiętajmy, że z nauką nie ma to nic wspólnego. Coraz mniejszy związek ma z nią całe to towarzystwo.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1adb7661

OGNIEM NA WPROST

Ekoobłęd i badania NASA

Walka z wiatrakami, zwana również obłędem klimatycznym, zatacza coraz szersze kręgi. Wszystko za sprawą najnowszych pomysłów na obniżenie temperatur. „Rezygnacja z wydania dziecka na świat zaoszczędzi 58,6 ton emisji CO_2 rocznie" – oświadczyła amerykańska naukowiec Kimberly Nicholas na seminarium na Gotlandii. Z kalkulacji Kimberly Nicholas i Seth Wynes z Ośrodka Studiów nad Zrównoważonym Rozwojem na uniwersytecie w Lund wynika, że rok życia dziecka powoduje emisję CO_2 na poziomie odpowiadającym codziennemu prowadzeniu auta przez 24 lata. Wniosek nasuwa się sam. Pierwsi wyciągnęli go Szwedzi i przekuli na praktykę. Hanne Kjöller napisała w dzienniku „Dagens Nyheter", że w batalii o klimat „lepszy jest wstyd zrezygnowania z posiadania większej liczby dzieci". Jej kolega po fachu od razu się wykastrował, mówiąc: „Dzieci są słodkie, ale nieekologiczne". Święta prawda, jak powiada Pismo Nowego Ekologicznego Testamentu: „Otóż jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem grzechu klimatycznego, odetnij ją i odrzuć od siebie! Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny, który zapłonie na Ziemi w wyniku zmian związanych z globalnym ociepleniem" (Trawestacja Mt18, 8). Nawiasem mówiąc, jak informuje NASA, od lutego 2016 r. do lutego 2018 r. średnia temperatura na świecie spadła o 0,56 stopnia w skali Celsjusza!

Zamiast wypoczywać na wakacjach, szwedzka nastolatka Greta Thunberg i jej nawiedzona polska odpowiedniczka 13-letnia Inga Zasowska wystają pod gmachami użyteczności publicznej, kontynuując Wakacyjny Strajk Klimatyczny. By pełnemu zidioceniu stało się zadość, do mieszania w głowach biednych dzieci doszlusował niemiecki Kościół katolicki. Biskup Würzburga, Franz Jung, który porównał Gretę Thunberg do postaci biblijnego Dawida. W ramach tygodnia pielgrzymkowego z udziałem 800 dzieci pierwszokomunijnych bp Jung przypomniał, że Dawid pokonał najpotężniejszego bojownika filistyńskiego Goliata, używając zwykłej procy. Jak zauważył hierarcha, 16-letnia Szwedka również spowodowała poruszenie wśród „wielkich tego świata". Jeszcze dalej posunął się abp Heiner Koch, ordynariusz archidiecezji Berlina, porównując młodą ekolożkę do Pana Jezusa i nazywając ją „prorokiem". Nic dziwnego, że niemieckie owce wieją, gdzie pieprz rośnie, z Pańskiej Zagrody, mając takich pasterzy.

Z kolei w Polsce hodowla trzódki kapłańskiej na użytek TVN i „GW" ma się w najlepsze. Koronnym tego przykładem jest człowiek w sutannie, niejaki Wojciech Lemański. Ten wybitny znawca meandrów polityki międzynarodowej ostatnio dał głos w sprawie wyboru byłej premier Beaty Szydło na przewodniczącą komisji ds. zatrudnienia w Parlamencie Europejskim. „Sam prezes Kaczyński lobbował za premierzycą" – rozpoczął swój pełen pogardy wywód Lemański. „Ma prezes posłuch w Europie, nie ma co gadać. Co ona teraz powie dziennikarzom, chłopom na rynku, kobietom przed kościołem? Przecież co jak co, ale liczyć to Polacy potrafią. Świat się śmieje, a kolumna rządowa z byłą panią premier jedzie dalej. Ratuj się, kto może". Nie ma to jak dla księdza wyśmiać matkę brata kapłana. Tak właśnie rozumie braterstwo ewangeliczne i problem pogardy w świetle nauki Chrystusa przedstawiciel stanu duchownego, ks. Lemański.

Był taki film z Arnoldem Schwarzeneggerem „Sabotaż". Dowodzona przez niego elitarna jednostka DEA pod pozorem antynarkotykowej operacji obrabia kartel na 10 mln dol. To, co w Hollywood jest fikcją na użytek X muzy, w Rosji dzieje się w realu. Właśnie w tej chwili trwa seria aresztowań członków specformacji FSB „Alfa" (szturm teatru na Dubrowce i odbicie zakładników w Biesłanie) oraz „Wimpieł". Dotychczasowy dowódca Walerij Kanakin popadł w niełaskę i został odsunięty ze służby. Powód? Ruscy specjalsi wpadli na pomysł okradania banków i instytucji finansowych pod pretekstem ćwiczeń zabezpieczających obiekt. Kiedy podczas akcji dokonali komputerowego transferu chińskiej kasy w wysokości 2 mln dol., wpadli. Choć komandosi korzystali z danych wywiadu o lewym pochodzeniu pieniędzy (strach przed zgłoszeniem straty), Chinole przełamali się i donieśli władzom o przestępstwie. „Moskwa nie wierzy łzom" i chłopaki siedzą. Kak w kino.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1adb7661

Nie tylko jabłka...

Marta Kaczyńska-Zielińska

Hasłem przewodnim Expo 2015 r. w Mediolanie było „Wyżywienie planety, energia dla życia". Polski pawilon był co prawda podobno jednym z największych obiektów na światowej wystawie, ale został w całości poświęcony tylko jednej branży rodzimego rolnictwa. Twórcy polskiej ekspozycji na Wystawie Światowej uznali, że skoro Polska jest największym producentem i eksporterem jabłek, to w międzynarodowym gronie właśnie wyłącznie te owoce powinny stanowić naszą wizytówkę. Architekci zaprojektowali symboliczny labirynt, którego centralnym elementem był sad jabłoni osłonięty ażurową konstrukcją przypominającą skrzynki na jabłka.

W 2020 r. Expo odbędzie się w Dubaju pod hasłem „Łącząc umysły, tworzymy przyszłość" doprecyzowanym o trzy podtematy: „Szanse", „Mobilność" i „Zrównoważony rozwój". Konkurs na projekt polskiego pawilonu został rozstrzygnięty już kilka miesięcy temu. Pracownia WXCA wykreowała nowoczesną bryłę z drewna, która symbolizuje zrównoważony rozwój, a także mobilność – przepływ idei, który ma odzwierciedlać kinetyczna rzeźba przedstawiająca olbrzymie stado migrujących ptaków. Motywy te mają obrazować dynamikę rozwoju współczesnego świata napędzaną przez błyskawiczny przepływ informacji i nieznane nigdy wcześniej ludzkości możliwości nawiązywania międzynarodowej współpracy. Wystawa umieszczona w polskim pawilonie ma przybliżać rodzimą kulturę, naturę, a także powstające w naszym kraju najnowocześniejsze technologie. Lekka, wielowymiarowa i wielowątkowa zarazem konstrukcja przedstawiająca ptaki ma według twórców zaprezentować zwiedzającym Polskę jako kraj ludzi kreatywnych i innowacyjnych. Uczestnicy Expo mają kojarzyć Polaków z umiejętnością wykorzystania zasobów naturalnych do tworzenia nowoczesnych technologii, skutecznością, solidnością i otwartością na międzynarodową współpracę.

Na ekspozycji zaprezentowane zostaną zarówno nasze tradycyjne uprawy, produkty ekologiczne, przedmioty polskiego designu, nowoczesne rozwiązania technologiczne, jak i projekty narzędzi służących dbałości o ekosystem. W przestrzeni edukacyjnej przeznaczonej dla najmłodszych będzie można wypróbować drukarki 3D i przekonać się o możliwościach robotów. Wnętrze pawilonu wypełnią również wizualizacje poświęcone ogromnej różnorodności naszej roślinności, a dopełnienie atrakcji stanowić będzie możliwość degustacji lokalnych wypieków. Pawilon wykonano z modułów, które mogą zostać ponownie wykorzystane.

Polacy uczestniczą w wystawach światowych od samego początku ich istnienia. Od XIX w. pozostając pod zaborami, manifestowaliśmy swoją obecność przede wszystkim za pomocą malarstwa i rzeźby. Ogromne zainteresowanie publiczności wzbudził nagrodzony złotym medalem na wystawie paryskiej w 1867 r. obraz Jana Matejki „Rejtan – upadek Polski", który dzięki swojej niezwykłej wyrazistości przyciągał uwagę widzów nie tylko swoją formą, lecz także przywracał do dyskusji temat tragedii narodu pozbawionego państwa. Zorganizowana w Chicago w 1893 r. wystawa stała się okazją do demonstracji polskości. Podczas niej zaprezentowano polskie malarstwo, a także zorganizowano liczną paradę przedstawiającą najważniejsze wydarzenia z historii naszego kraju. Na wystawie paryskiej w 1925 r. nasz kraj uplasował się w czołówce państw europejskich, zdobywając łącznie 205 nagród. W opiniach dotyczących wspomnianej wystawy można jednak przeczytać o niedostatkach w zakresie promocji naszego kraju, a także szkodliwej koncentracji na sztuce ludowej kosztem reklamy nowoczesnych projektów.

Wydaje się, że za rok w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zaprezentujemy się odpowiednio wszechstronnie.

„Życie nasze się zmienia, ale się nie kończy"

Z głębokim bólem przyjęliśmy wiadomość o odejściu

WOJCIECHA BOGACZYKA
(1958–2019)

Człowieka polskiej prawicy niepodległościowej.
Historyka zakochanego w Polsce, nauczyciela, publicysty, który od 1973 r. działał w opozycji antykomunistycznej, współpracownika Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, podziemnego drukarza.
W 1980 r. zakładał Niezależne Zrzeszenie Studentów KUL, wybrany do tymczasowych władz krajowych NZS.
Internowany w stanie wojennym, odmówił współpracy z SB.
1983-1986 kierował samorządem studentów KUL, następnie działał w podziemnym NZS.
Wiosną 1988 koordynował akcje solidarnościowe lubelskiego NZS ze strajkiem w Nowej Hucie.
Po 1989 aktywny w strukturach Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego.

Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski nadanym w 2007 przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.
W 2016 został odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Przyjaciele z Fundacji Niepodległości

35/0719/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Mowa nienawiści

Obijatyce w Bratysławie i wyrokach dla agresywnych kibiców poinformował portal Eurosport.tvn24.pl. Lead do tekstu brzmiał tak: „Na sześć miesięcy bezwzględnego więzienia skazał sąd w Bratysławie trzech pseudokibiców Cracovii i czterech holenderskich fanów Ajaksu Amsterdam – poinformowała słowacka agencja TASR". Czyli Polacy to pseudokibice, a Holendrzy to fani. Czy to przypadkiem nie jest mowa nienawiści albo rasizm?

992,2 mln zł

– to cena, jaką zaproponowało za wykonanie pierwszego etapu przekopu Mierzei Wiślanej konsorcjum składające się z firm belgijskiej i polskich. Tą ofertą wygrało przetarg.

100 t

– tyle złota sprowadza do Polski NBP. W latach 2018–2019 zasoby złota NBP zostały zwiększone o 125,7 t i obecnie wynoszą 228,6 t. Blisko połowę polskiego złota (100 t) trzeba było sprowadzić do kraju, by móc je przechowywać w skarbcach NBP.

242 mln euro

– taką karę nałożyła Komisja Europejska na amerykańskiego producenta procesorów Qualcomm za stosowanie drapieżnych cen i nadużywanie dominującej pozycji w dziedzinie urządzeń działających w sieciach 3G.

Dyskryminacja

56-letni lekarz z Birmingham David Mackereth stracił pracę po tym, jak odmówił zwracania się do wysokiego brodatego mężczyzny na „pani". Lekarz twierdzi, że stał się ofiarą dyskryminacji i nękania. O sprawie informuje tvp.info. Lekarz od maja 2018 r. zajmował się oceną stanu zdrowia osób ubiegających się o zasiłki. „Twierdzi, że został zwolniony przez Departament Pracy i Emerytur za swoje religijne przekonania" – czytamy na portalu. A wszystko po tym, gdy na rozmowę zaprosił go szef i zapytał, co zrobi, gdy zgłosi się do niego brodaty mężczyzna o wzroście 182 cm i będzie chciał, żeby zwracać się do niego na „pani". Lekarz odpowiedział, że odmówiłby używania takiego zwrotu w stosunku do mężczyzny. Następnie przełożony oznajmił mu w e-mailu, że jeżeli nie zmieni zdania, straci pracę – i ją stracił. Doktor pozwał swojego pracodawcę do sądu pracy, choć resort pracy stwierdził, że poglądy Mackeretha stoją w sprzeczności z ustawą o równości z 2010 r. Czy ten absurd ma gdzieś swoje granice?

Dasz lajka?

Facebook, który jest właścicielem platformy Instagram, postanowił walczyć z uzależnieniem użytkowników od lajków. Jak? Dość kontrowersyjnie. Polubienia pod zdjęciami zostaną ukryte. Będzie je mogła zobaczyć tylko osoba, która dodała zdjęcie, ale już reszta obserwujących nie zobaczy, ile osób polubiło dane zdjęcie. Zmiana została testowo wprowadzona w Kanadzie, a teraz wdrożono ją również w Irlandii, we Włoszech, w Japonii, Brazylii, Australii i Nowej Zelandii. Tylko czy ktoś pomyślał o zdrowiu psychicznym instagramowych influencerek?

eprasa.pl 5a1adb7661

Ekologiczny jak Szwed

Cały postępowy świat, w tym Szwecja, kombinuje, jak by tu uratować klimat. Okazuje się, że wstydliwe powinno być latanie samolotem i kupowanie nowych ubrań, ale już całkowity obciach to płodzenie dzieci. O pomysłach duetu Kimberly Nicholas i Seth Wynes z ośrodka studiów nad zrównoważonym rozwojem na uniwersytecie w Lund pisał portal rp.pl. Kimberly Nicholas na seminarium na Gotlandii dowodziła, że rezygnacja z wydania dziecka na świat zaoszczędzi 58,6 ton emisji CO_2 rocznie. Analizę wpływu każdego nowo narodzonego dziecka na zmiany klimatyczne opracowali dwa lata temu, opierając się m.in. na przeciętnych ilościach emisji, konsumpcji oraz transportu w ciągu całego jego życia. „Z kalkulacji wynika, że tylko rok życia malucha powoduje emisję CO_2 na poziomie odpowiadającym codziennemu prowadzeniu auta przez 24 lata" – czytamy na portalu. Jak ich zdaniem walczyć z kryzysem klimatycznym? Nie latać samolotami, nie jeździć samochodem, przejść na dietę wegańską i właśnie planować mniejsze rodziny. Szwedzkie media podchwyciły temat i piszą już o wstydzie posiadania większej liczby dzieci. Wygląda na to, że lewacy wymrą jak dinozaury.

> Miałeś, Grzegorzu, wielką szansę, by być przywódcą polskiej demokracji. Dziś abdykowałeś z pozycji lidera opozycji" – powiedział Włodzimierz Czarzasty do Grzegorza Schetyny. W sumie był miły. Przecież mógł go nawyzywać od „głupich kaowców"

Sam na sam?

„Ubiegający się o urząd gubernatora stanu Missisipi republikański polityk Robert Foster wywołał burzę w mediach społecznościowych, nie zgadzając się na jazdę sam na sam z dziennikarką, o ile nie będzie jej towarzyszył mężczyzna" – informuje za Agencją Reuters portal tvp.info. Dziennikarka Larrison Campbell z „Mississippi Today" chciała towarzyszyć politykowi w kampanijnej podróży, która miała trwać 15 godzin. Sztab polityka powiedział, że byłoby to możliwe, gdyby wzięła z sobą innego mężczyznę. Campbell poczuła się urażona seksistowską propozycją, a w gazecie napisała, że powiedziano jej, iż podróż kandydata „z kobietą, choćby pracującą jako dziennikarka, może zostać wykorzystana w brudnej kampanii insynuującej niewierność małżeńską" i „nie można pójść na takie ryzyko". I weź tu bądź człowieku mądrym! Ale z dwojga złego chyba lepsze oskarżenie o seksizm niż o molestowanie!

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2), Facebook/Robert Foster for Governor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bond wolał baby

Dominik Zdort

Pytanie brzmiało tylko: kiedy? Jasne było, że James Bond w końcu zostanie Murzynem. Już nawet spekulowano, kto wcieli się w czarnoskórego agenta 007. Tymczasem się okazało, że Murzyn to za mało. To będzie zabójczy widok – kolejny Bond będzie miał ciemną skórę, ale będzie też kobietą. Numer 007 ma przejąć Lashana Lynch, która – jak z satysfakcją zapewnia mój dawny kolega z „Rzeczpospolitej" Jacek Cieślak – prawdziwemu Bondowi nie wskoczy do łóżka.

Jest w tym pokrętna równościowa logika. Skoro w służbie Jej Królewskiej Mości jako M nie występuje już kobieta, Judi Dench, ale facet – Ralph Fiennes, to w ramach genderowej równowagi trzeba było gdzieś obsadzić kobitkę.

W najnowszym filmie o słynnym angielskim agencie główną rolę zagra Daniel Craig. To jego ostatni występ w tej roli – jego bohater w tym odcinku przechodzi na emeryturę, a licencję na uwodzenie i zabijanie przejmuje grana przez pannę Lynch agentka Nomi.

W internecie już pojawiło się pytanie, kogo uwodzić będzie nowa Bond. Nie chodzi o to, że – jak twierdzi politpoprawny kolega Cieślak – nie wyląduje pod kołdrą Craiga, ale o to, czy interesuje się chłopcami, czy dziewczynami. Bo plotkarze w sieci, którzy nie potrafili zdobyć informacji o życiu prywatnym Lashany (zatrzymuje je tylko dla swoich oczu), już zdążyli oskarżyć ją, że woli seks z paniami.

To pewnie była wielka pokusa dla twórców nowego filmu o Bondzie – obsadzić w tej roli nie tylko kobietę i Murzynkę, ale lesbijkę – grającą lesbijkę. Ciekawe, czy starczyło im brawury na takie (nomen omen) posunięcie. Choć z drugiej strony można uznać, że byłaby to decyzja zgodna z wieloletnią tradycją – 007 zawsze w łóżku wolał kobiety.

Porzućmy na moment ekscytujące wszystkich sprawy łóżkowe, rozważmy kwestie mniej ciekawe. Nawet jeśli w „Bondzie 25" (tak jest anonsowany, bo na koncie będziemy mieć ćwierć setki oficjalnych filmowych opowieści o słynnym szpiegu plus kilka nieoficjalnych) nowy agent 007 będzie kobietą, Murzynką i lesbijką, to jedna z podstawowych zasad tej filmowej serii na pewno będzie zachowana. Panna Lynch jest bowiem urodzoną w Londynie Brytyjką. Można się sprzeczać, czy z racji miejsca urodzenia można ją nazwać także Angielką, ale niewątpliwie jest poddaną królowej Elżbiety. Jak piszą w jej biogramach: ethnicity – Jamaican; nationality – British.

Uff. Tradycji stało się zadość. Diamenty są wieczne. Śmierć nie nadejdzie jutro.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 5a1adb7661

RZECZY POSPOLITE

22 lipca

Tomasz Łysiak

Jako dziecko miałem jedno skojarzenie. 22 lipca kojarzył mi się z czekoladą. Na warszawskiej Saskiej Kępie, gdzie się wychowywałem, był sklep z produktami byłej fabryki Wedla, ale sprzedający pod szyldem „22 lipca". W pewnym okresie można tam było kupić dość specyficzne „wyroby czekoladopodobne". Smak tego produktu był trochę jak smak PRL – jakby ktoś dyktę przemieszał z październierzem i posypał kakao. Ze szkoły, w której próbowano jak się da i gdzie się da wtłaczać nam do młodocianych łbów jedynie słuszną „wiedzę" o historii, pamiętam także słynne zdjęcie, na którym widać robotnika spoglądającego na afisz z manifestem PKWN. Wtedy nikomu się nie śniło nawet, że kiedykolwiek nadejdą czasy, w których będzie się otwarcie mówić o ludziach, którzy w 1944 r. sprzeciwiali się komunizowaniu Polski – o Żołnierzach Niezłomnych i innych bohaterach. Za to „22 lipca" królował w przestrzeni publicznej – a to nazywano tak ulice, a to jakieś zakłady pracy, a to znowuż fabrykę (np. szczecińskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego). Zamiana przedwojennej marki Wedla na „22 lipca" dokonała się lat temu 70, bo w 1949 r., w trakcie tzw. nacjonalizacji, co na nasze należy przetłumaczyć: w trakcie komunistycznej „kradzieży". Notabene jeden z pierwszych transportów wykwintniejszych czekoladek pojechał właśnie do Lublina, by podkreślić wagę nazwy zakładu związanej z manifestem lipcowym. Data ta była wykorzystywana propagandowo jak tylko się da – organizowano pochody, uroczystości i juble ku czci. 22 lipca otwierano przy błysku fleszy a to szybką kolej miejską z Gdańska do Gdyni (1953), a to Port Północny w Gdańsku (1974). Właśnie za Gierka, 22 lipca 1974 r., uroczyście otwarto Trasę Łazienkowską i Wisłostradę. A i stan wojenny zniesiono oficjalnie... właśnie 22 lipca, w roku 1983.

Można by to wspominać nawet z jakimś westchnieniem ulgi, gdyby nie fakt, że całkiem niedawno w Warszawie odwrócono proces dekomunizacji ulic. Wróciła na tabliczki Armia Ludowa, a zniknął Lech Kaczyński. Czy w związku ze świętem 22 lipca nie powinno się więc nadać takiej nazwy słynnej paletowej strefie relaksu przed warszawskim ratuszem?

Czyja broszka?

Piotr Cywiński

I znów...! Jak w tym kawale: „Jaki jest szczyt obłudy? Zepchnąć teściową ze schodów i spytać, gdzie mamusia się tak spieszy"... Polskojęzyczny „Fakt" zastanawiał się w druku, dlaczego Beata Szydło „przegrała wybory na przewodniczącą europarlamentarnej komisji zatrudnienia już dwa razy". Że choć będzie „zarabiała kokosy", to jednak „Bruksela nie jest dla niej szczęśliwym miejscem" – „może to przez brak broszki, może Szydło powinna ją nosić także w Brukseli?"

W języku wydawcy „Faktu" nazywa się to Schadenfreude, po naszemu znaczy radość z czyjegoś niepowodzenia. Powodem porażki kandydatki PiS był sprzeciw socjalistów, liberałów i zielonych, że „Szydło jest osobą bezpośrednio odpowiedzialną za to, że wobec Polski toczy się procedura z art. 7 traktatu", dopowiedział „Fakt". Nic to, że cały ten bojkot jest szczytem obłudy właśnie, na co zwrócił uwagę europoseł Patryk Jaki, który jeszcze przed głosowaniem spytał wszystkich obecnych na sali i imiennie kandydatkę Ursulę von der Leyen, dziś przewodniczącą Komisji Europejskiej: „Proszę pokazać mi choć jeden przykład rozwiązania, które wprowadziliśmy w Polsce, którego nie ma w innym kraju UE?" – bez odpowiedzi, oraz: „Czy ma pani zamiar skończyć tą ośmieszającą unię polityczną akcję dotyczącą art. 7?". Nic to, że w kraju wydawcy polskojęzycznego tabloidu system sądowniczy jest skrajnie upolityczniony, że kochający inaczej Robert Biedroń, teraz w roli – nie do wiary, a jednak! – europosła, czyli... reprezentant Polski (jego wyborcom nie przeszkadzało, że poharatał szczękę własnej mamie i inne sprawki tego typa), wystosował apel po angielsku do obcojęzycznych parlamentarzystów, aby nie głosowali za kandydatami PiS. Nic to, że przedstawiciele platformiano-nowoczesnej opozycji ryli pod polskim rządem w Brukseli, ile tylko się dało... Broszki Szydło nie miała, to przegrała!

Nie przyszło do głowy autorowi „Faktu", podpisującemu się „dp" (wstydzi się czy co?), że porażka Beaty Szydło to akurat „broszka" wszystkich tych, którzy walnie się przyczynili do takiego akurat rezultatu głosowania, którzy wcześniej latami podrywali autorytet własnego rządu, mącili, spiskowali, z żądaniami unijnych sankcji wobec własnego kraju włącznie.

Ale storpedowanie kandydatury byłej premier RP to nie koniec świata, co się odwlecze, nie uciecze. Pytanie „Polish Iron Lady", jak okrzyknięto Beatę Szydło poza granicami po jej głośnym przemówieniu w debacie na temat polityki imigracyjnej i europejskiej tożsamości: „Dokąd zmierzasz Europo...?", pozostaje jak najbardziej aktualne.

eprasa.pl 5a1adb7661

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER, ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER, ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER, MAREK KONRAD/REPORTER, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, NESSA GNATOUSH/SHUTTERSTOCK.COM,

eprasa.pl 5a1adb7661

Ta cholerna TVP

Podnoszenie argumentu, że Telewizja Polska jest nadawcą publicznym, więc wolno mu mniej (a stacjom prywatnym – wszystko), jest wyjątkowo obłudne. Albo dowodzi nieznajomości historii i kształtu polskiego systemu medialnego, który w III RP miał być domknięty na zawsze i pokazywać świat tylko przez lewicowo-liberalne okulary. Kiedy się patrzy na dużych graczy, widać wyraźnie, że dzisiaj wyłamuje się z tego tylko TVP

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Niemal na wszystkie strony skomentowano już list Roberta Mazurka, jaki wystosował on do Danuty Holeckiej, jednej z prowadzących „Wiadomości" i szefowej tej redakcji. Pośród wielu ostrych zarzutów stawia taki: „W tępej propagandzie sukcesu jesteście gierkowscy, w nagonkach na opozycję gomułkowscy, a w estetyce jaruzelscy. Tyle że za Jaruzela było klarowniej, bo oni przynajmniej występowali w mundurach, a wam ich nie sprawiono".

Co ciekawe, nie wzięli Holeckiej w obronę frontowi dziennikarze ani dyrektorzy z TVP, zwykle bardzo aktywni w internecie. Krótko odniósł się szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosław Olechowski: „Gdybym chciał się dostosować do stylistyki tego »listu otwartego«, musiałbym zapytać [...] kto Panu kazał napisać te wynurzenia spod śmietnika (wiadomo, do czego nawiązuję) – szef Niemiec czy szef z czerwonoarmijnym rodowodem? Ale nie. Po prostu przemilczę".

Odpowiedziała też sama Holecka. „Nie rozumiem, dlaczego rozbicie przez »Wiadomości« TVP informacyjnego kartelu, który w III RP decydował o przekazach dnia, wywołuje w Tobie aż taką frustrację. Pierwszy raz od lat Polacy mają szansę zobaczyć rzeczywistość, która nie jest autoryzowana na Czerskiej. To chyba dobrze, że tak jest, nie uważasz? [...] Zaczynasz mówić tym samym głosem, co Agnieszka Kublik i Tomasz Lis, którzy przez lata mieli absolutny monopol na tzw. prawdę. Czy tak bardzo chcesz zostać przytulony przez ten salonowy establishment, że musisz się im przypodobać? Bo znam Cię i nie wierzę, że jesteś tak małostkowy i pamiętliwy, że wciąż żywisz urazę, o to, że jednak nie pracujesz dla TVP".

Ta sprawa to coś więcej niż tylko polemika – tak to nazwijmy – dwojga dziennikarzy. To przyczynek do zastanowienia się nad rolą, jaką odgrywa dziś w Polsce TVP, i nad pozycjami, z jakich jest atakowana.

Pomijamy już to, że nasz były redakcyjny kolega (Robert przez kilka lat pisał do „Sieci", dzieliliśmy też łamy tygodnika „Uważam Rze") opublikował swoje żale w „Rzeczpospolitej", piśmie, które w 2012 r. wykonało radykalny skręt, jako konsekwencję słynnej rozmowy przy śmietniku właściciela Grzegorza Hajdarowicza z rzecznikiem rządu Donalda Tuska Pawłem Grasiem. Powodem tego piwotu była publikacja Cezarego Gmyza o trotylu na wraku tupolewa, a efektem wyrzucenie dziennikarza oraz naczelnego „Rz" i „URze" Pawła Lisickiego. W geście solidarności z redakcją „Uważam Rze" odeszła większość dziennikarzy i pismo zaliczyło spektakularny spadek sprzedaży. Praktycznie upadło.

> Gdyby nie TVP, mielibyśmy na każdym dużym kanale przez 365 dni w roku antyrządowy jazgot i kreowanie opozycji na europejskich, wyedukowanych ludzi, którym durna tłuszcza odebrała władzę

Dziś w tej samej „Rzepie", z tym samym właścicielem, Robert Mazurek wyzłośliwia się na Holecką i kierowane przez nią „Wiadomości" – jedyną silną konserwatywną wyspę na morzu lewicowo-liberalnego dziennikarstwa (w akwenie tym umiejscawiamy również „Rz").

Mazurek chyba nie za bardzo pamięta czasy redaktorów w mundurach (my sami ich nie pamiętamy, mieliśmy mniej lat, ale Robert jest kilka wiosen starszy, więc od niego wymagamy więcej w tej kwestii). Wydaje nam się, że gdyby dobrze odświeżył pamięć, przypomniałby sobie, że sięgając po porównania do „Dziennika" z okresu stanu wojennego, przywołuje nie tylko narzędzie do tłumienia wolności, do ochrony morderców opozycjonistów czy księży, lecz przede wszystkim jednolity system, w którym nie było możliwości zetknięcia się w pierwszym obiegu z narracją inną niż prezentowana przez komunistyczne władze. W III RP też próbowano zaprowadzić porządek medialny na tę modłę. Dziś TVP stanowi w nim największy wyłom, ale wciąż tylko wyłom.

„PRAWICOWY", CZYLI GORSZY

Nie będziemy w szczegółach odnosić się do racji jednych i drugich. „Wiadomości" – czy też szerzej: politykę informacyjną Telewizji Polskiej – jest za co krytykować. Można mieć zastrzeżenia do braków warsztatowych, do niedostatków finezji, do niekiedy przesadzonego krytykowania opozycji czy czasem zbytniego słodzenia władzy. Ale nie można poprzestać na stwierdzeniu tego faktu i wyrażeniu oburzenia. Bez dostrzeżenia kontekstu, kształtu całego polskiego systemu medialnego, odpowiedź na pytanie o kondycję i profesjonalizm tej czy innej redakcji nie będzie pełna.

Czy można abstrahować od tego, w jakim otoczeniu funkcjonuje TVP? Czy można pomijać kurs TVN24 i innych prywatnych nadawców? A może walec polityczny z Wiertniczej jest lepszy, bo bardziej kolorowy, bardziej profesjonalny? Bo tam reporterzy sprytniej dobierają słowa? Przyznajemy, w kanałach należących dziś do Discovery propagandę już tak wypieścili w cieplarnianych warunkach przez ponad dwie dekady, że daleko odskoczyli reszcie stawki. Długo ich jeszcze nikt nie przebije.

Podnoszenie zaś argumentu, że TVP jest nadawcą publicznym, więc wolno mu mniej (a stacjom prywatnym – wszystko), jest albo wyjątkowo obłudne, albo dowodzi nieznajomości historii i kształtu polskiego rynku medialnego. W latach 90. nie dało się bowiem rozkręcić poważnej telewizji bez układów z architektami III RP, bez pieniędzy, których źródeł należy szukać w karierach sprzed 1989 r., a nierzadko w działalności peerelowskich specsłużb.

Na takich fundamentach rósł sobie nasz światek dziennikarstwa, salonowej elity, do której przynależność determinował

Fot. Fotokon / Shutterstock

eprasa.pl 5a1adb7661

światopogląd, a nie warsztat i elementarne w tym zawodzie poszukiwanie prawdy. Było w nim miejsce tylko dla dwóch grup: „dziennikarzy" i „prawicowych dziennikarzy". Ci drudzy byli głupsi, zacofani, mniej wiarygodni, nieobiektywni, mieli niemodne garnitury, kiepskie makijaże, słabe oświetlenie w studiu i seplenili do mikrofonu. Dodawanie przymiotnika „prawicowy" było – i jest do dziś – stygmatem, wystawianiem poza fajną społeczność dziennikarskiej braci.

Aby przetrwać w takich warunkach, poza zawodowymi umiejętnościami i zapałem do ciężkiej pracy, niezbędna jest też niezwykła odporność na totalną krytykę, na ostracyzm, na nienawiść, z jaką reporterzy stykają się przy codziennym wykonywaniu swoich obowiązków.

A GDYBY TVP NIE BYŁO…

Donald Tusk już wiele lat temu miał plan zagłodzenia Telewizji Polskiej. Abonament określał „haraczem", sugerował, by go nie płacić. Andrzej Wajda z komitetu honorowego Bronisława Komorowskiego wytłumaczył później dlaczego, wprost przyznając na partyjnej imprezie, które stacje wspierają jego obóz.

Wyobraźmy sobie, że cele Tuska zostałyby zrealizowane. Jak wyglądałaby polska rzeczywistość po 2015 r.? Kto na rynku medialnym miałby wolę i siłę, by skutecznie obronić demokratyczny wybór Polaków? Przecież wściekłe ataki opozycji przez całą mijającą kadencję sprowadzały się do tego, by ten wybór podważyć, a rządzący obóz zmian przedstawić jako stado zamordystów demolujące Polskę. Kto by mówił o dobrych wynikach polskiej gospodarki? Kto wspierałby reformy społeczne, tak potrzebne i niemające – wbrew zaklęciom opozycji – negatywnych skutków ekonomicznych? Gdyby nie TVP, mielibyśmy na każdym dużym kanale przez 365 dni w roku antyrządowy jazgot i kreowanie opozycji na przewidywalnych, europejskich, wyedukowanych, prawych ludzi, którym durna tłuszcza przez przypadek na chwilę odebrała władzę. A jak przedstawiano by Prawo i Sprawiedliwość? By się przekonać, wystarczy obejrzeć jakikolwiek serwis TVN24 z ostatnich 15 lat, by zetknąć się z próbką odhumanizowania zwalczanej partii.

Kto opowiedziałby szerokiej widowni o zeznaniach Sławomira Siwego, przewodniczącego Związku Zawodowego „Celnicy PL", który w ubiegłym tygodniu przed komisją śledczą ds. wyłudzeń VAT ujawnił, że urzędnicy na zlecenie grup przestępczych kształtowali przepisy korzystne dla mafii? Pewnie nikt, tak jak nikt nie transmitował zeznań urzędującego prezydenta Bronisława Komorowskiego przed sądem w sprawie afery WSI. Telewizje miały wówczas kamery na sali, ale ich nie włączyły. Dzisiejsza opozycja, zwłaszcza ta skupiona wokół PO, jest nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś ośmiela się jej nie głaskać. Dlatego politycy tej formacji tak się denerwują i histerycznie reagują na wszelkie przejawy krytyki. Górę biorą agresja i rozkręcanie nagonki na oponentów.

Co bardziej groteskowe postacie tego obozu pozwalają sobie straszyć dziennikarzy TVP wyrzuceniem z pracy „na zbity pysk z dyscyplinarką" (Piotr Misiło) albo nazywać publicznego nadawcę na konferencjach prasowych „kurwizją" (Stanisław Gawłowski). Do niedawna obiektem szczególnego ataku był prowadzący „Wiadomości" Krzysztof Ziemiec. Nieustannie go obrażano w mediach społecznościowych, grożono śmiercią. Odszedł z redakcji najważniejszego programu informacyjnego. Czy chodzi o to, by takiej samej presji poddać Danutę Holecką? I szerzej: czy w atakach na TVP nie chodzi o jej zastraszenie, złamanie, zmuszenie do koniunkturalizmu? Z tego punktu widzenia są to nie tylko wybuchy frustracji, ale także próba zbudowania presji, która pozwoli odbudować faktyczny monopol medialny.

Na przestrzeni kilku miesięcy podejście polityków opozycji do Telewizji Polskiej zmieniło się w fascynujący sposób. Jeszcze niedawno mówili przecież o niej jako marginalnym nadawcy, którego nikt nie ogląda. O bandzie nieudaczników, którzy nie potrafią stworzyć oferty atrakcyjnej dla widza. Platforma pozwoliła sobie nawet (dziś żałuje) na bojkot programów publicystycznych w kanałach TVP. Przed kilkoma miesiącami coś się jednak odwróciło. Telewizja Polska w wypowiedziach środowisk opozycyjnych jawi się jako hegemon rynku medialnego, najważniejszy oręż w walce o dusze Polaków. Okazuje się, że… to przez TVP Platforma przegrała wybory europejskie.

Idzie więc nowa fala agresji. Gdy przed tygodniem „Gazeta Wyborcza" oddała swoje łamy żonie Krzysztofa Brejzy, szefa sztabu wyborczego PO, ta po wielokroć, sama z siebie, atakowała telewizję, czyniąc ze swego męża ofiarę: „Chcą go zniszczyć, osłabić, tak długo na niego pluć, aż odpuści. Propaganda w mediach publicznych ma ogromną siłę rażenia – wiemy, jak skończyło się to dla Pawła Adamowicza" – przekonywała, w skandaliczny sposób przypisując dziennikarzom sterowanie psychopatą, który zabił prezydenta Gdańska. W dalszej części rozmowy jeszcze kilkakrotnie, niemal obsesyjnie obrzuca państwowe medium obelgami.

Kilka dni wcześniej Michał Kamiński (formalnie w klubie PSL, mentalnie w PO) mówił w Sejmie, że „stan mediów publicznych zagraża polskiej demokracji". Być może, ale tylko takiej „demokracji", jaką chcieliby ulepić opozycyjni totalitaryści.

ARYSTOKRACJA PONAD STANDARDAMI

Tęskno im do telewizji publicznej, w której Wojciech Jaruzelski słodził Tomaszowi Lisowi w jego programie: „Cieszę się, że jestem u pana, bo niezwykle cenię tę audycję. Serdecznie gratuluję panu redaktorowi kolejnego wyróżnienia, zasłużonego. Jest pan arystokracją dziennikarską". Przywódca peerelowskiej junty wojskowej piał tak nad tym samym Lisem, który bez żenady przyznawał później, iż liczył się z tym, że jeśli w swoim programie „zostanie koncertowo znokautowany (przez Jarosława Kaczyńskiego – przyp. red.), to może to parę punktów przez przypadek nas – nas, tak! – kosztować". Tym samym Lisem, w którego show Donaldowi Tuskowi po wyborze na szefa RE tak pięknie zaśpiewano „Sto lat".

Wtedy „Gazeta Wyborcza" się nie oburzała, że dziennikarski arystokrata swój program w telewizji publicznej traktował jak wehikuł do wspierania konkretnego środowiska politycznego. Nie było oburzenia, bo przyznał się w radiu Agory, gdzie ma stały kącik, bo wspierał „tych, co trzeba".

Gazety Michnika nie brzydziły telewizyjne materiały Justyny Dobrosz-Oracz ani Karoliny Lewickiej, w których – zdaniem wielu obserwatorów – osiągały one

eprasa.pl 5a1adb7661

szczyty manipulacji, byle dołożyć PiS. Gdy w 2016 r. władze w TVP – a wraz z nimi linia telewizji – się zmieniły, obie panie znalazły zatrudnienie przy Czerskiej. Podobnie jak Piotr Kraśko, twarz „Wiadomości" ze złotych czasów Jana Dworaka i Juliusza Brauna. Ten ostatni na fotel prezesa Telewizji Polskiej przesiadł się wprost zza dyrektorskiego biurka w resorcie kultury rządu Donalda Tuska. Stało się to natychmiast po tym, jak PO odzyskała wpływ na Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. I nikt jej nie przypominał zapowiedzi odpolitycznienia mediów publicznych.

„Dziennik, któremu nie jest wszystko jedno" tylko w dwóch okresach prowadził tak zmasowany atak na TVP. Pierwszy raz w latach 2008–2010, gdy na krótko agenda programów informacyjnych przestała być lewicowo-liberalnym pasem transmisyjnym. Pracowaliśmy wówczas w „Wiadomościach". „Gazeta" w zasadzie codziennie drukowała kolejny odcinek hejtu na TVP. Doskonale pamiętamy też dwukolumnową analizę Wojciecha Mazowieckiego, który przez miesiąc codziennie oglądał flagowy program informacyjny Jedynki (wówczas osiągał on nawet 6 mln widzów), by opisać skandaliczny kształt serwisu. Swą sążnistą analizę zamknął stwierdzeniem, że w „Wiadomościach" manipulują już tak sprawnie, że aż trudno wskazać przykłady takich praktyk. Zaśmiewamy się z tego do teraz. A dziś, od 2016 r., mamy drugi okres wojny „GW" z TVP. Przy czym histeria, jaka jej towarzyszy, podważa elementarną logikę. Jak bowiem zrozumieć tezę z okładki „Wyborczej", jakoby Jacek Kurski planował wykorzystanie przeciwko PO w kampanii wyborczej nowego filmu Jacka Bromskiego opartego na aferze Amber Gold (nie znamy daty premiery, obraz jest już ukończony, zagrała w nim śmietanka polskiego aktorstwa, prywatnie i publicznie chłoszcząca obóz rządzący, TVP jest współproducentem filmu, sfinansowała go w 1/3, ma więc prawo np. promować dzieło na swoich antenach), skoro przecież filmy fabularne są tylko filmami, wizjami artystycznymi, a ci, którzy twierdzili, że „Kler" ukazał się w takim, a nie innym momencie z powodów politycznych, powinni iść do lekarza od głowy? Kiedy redakcyjni żołnierze Michnika piszą na poważnie, a kiedy robią sobie jaja?

„Wyborcza" dała radę w jednym tygodniu ogłosić entuzjazm, iż film Patryka Vegi „Polityka" (zdecydowanie uderzający w PiS) pojawi się przed wyborami (bo „obejrzy go kilka milionów ludzi" i „może zmienić bardzo wiele"), a także się oburzyć, że „Solid Gold" (jak twierdzą twórcy, nieatakujący PO) wejdzie do kin w trakcie kampanii, więc będzie wykorzystany politycznie. Niektórzy specjaliści powiedzieliby: schizofrenia.

CHORY RYNEK

Powtórzmy raz jeszcze pytanie: dlaczego tak mocno ostrzeliwują dziś TVP? Bo brakuje tam profesjonalistów, obiektywnych dziennikarzy, bo naruszane są standardy? Nie. Bo telewizja publiczna psuje im porządek na medialnym placu zabaw. Porządek, który – ustalony w latach 90. – miał trwać po wsze czasy. Żadne medium konserwatywne nie miało prawa wyrobić sobie znaczącej pozycji na rynku. Nie mógł się rozwinąć ośrodek medialny, który ośmielałby się podważać fundamenty III RP. A wśród tych fundamentów był system medialny. Miał być domknięty, dopchnięty lewym kolanem i krótko trzymany w ryzach. Bali się nawet wpuszczenia na multipleks niszowej TV Trwam.

> Dlaczego tak mocno ostrzeliwują dziś TVP? Bo telewizja publiczna psuje im porządek, który – ustalony w latach 90. – miał trwać po wsze czasy. Nie mógł rozwinąć się ośrodek medialny, który ośmielałby się podważać fundamenty III RP

Nierówność rynku wciąż aż kłuje w oczy. Można się o niej przekonać, analizując dowolnie wybrany segment polskiego świata mediów. Telewizja? Poza TVP przychylne konserwatywnym środowiskom są tylko TV Trwam oraz stacje niszowe (te ostatnie nie nadają sygnałów naziemnych). Radio? Można tu wymienić wyłącznie nadawców publicznych, czyli Polskie Radio oraz jego rozgłośnie regionalne (wcale nie wszystkie). Prasa codzienna? Co mamy naprzeciwko „Wyborczej", „Rzepy", „Dziennika", „Polski the Times", tabloidów? Znów niszę. Tygodniki? Jest „Gość Niedzielny", „Sieci", „Do Rzeczy", „Gazeta Polska". Ale prasa o profilu prawicowym jest w nieporównywalnie gorszej sytuacji, jeśli chodzi o dzielenie komercyjnego tortu reklamowego. Domy mediowe ją po prostu blokują, czym zresztą działają na szkodę swoich klientów, bo przecież wykluczają konsumentów o innym niż lewicowy światopoglądzie. A co za tym idzie, czasopisma konserwatywne są skromnymi spółkami, niemogącymi pozwolić sobie na duże inwestycje ani szeroką promocję. O prasie regionalnej już nawet nie wspomnimy.

Zerknijmy jeszcze na portale internetowe. Posiłkujemy się tu listą najpopularniejszych w Polsce stron WWW, opracowaną według badań statystycznych prowadzonych przez serwisy Alexa i Similiar Web. Weźmy listę 50 najczęściej klikanych stron. Oto wszystkie znajdujące się w tym zestawieniu portale informacyjne lub posiadające istotny segment poświęcony polityce (w kolejności według liczby odsłon): wp.pl, onet.pl, interia.pl, o2.pl, gazeta.pl, tvn24.pl, fakt.pl, wyborcza.pl, se.pl, tvp.pl. Tylko ten ostatni prezentuje inny od pozostałych profil światopoglądowy.

To zestawienie pokazuje, co miał na myśli Donald Tusk, gdy 4 czerwca mówił: „Często słyszę narzekania »bo oni mają telewizję publiczną«. Ale wtedy też tamci mieli media i telewizję, a my ulotki. Wasza telewizja publiczna, a nasz internet". Tyle że w istocie szef Rady Europejskiej szerokim łukiem minął się z prawdą, bo przecież jego obóz też ma telewizję. Jedną, drugą, trzecią... I większość pozostałych części świata polskich mediów.

Tylko ta cholerna TVP wciąż istnieje.

eprasa.pl 5a1adb7661

Najbliższe otoczenie Schetyny mówi, że od czasu objęcia stanowiska szefa partii w 2016 r. trzyma on w dłoni granat bez zawleczki, a ta dłoń z każdym dniem jest coraz bardziej zmęczona. Czy po jesiennych wyborach dojdzie do detonacji?

Schetyna gra o życie

STANISŁAW JANECKI

Wariant, że w wyborach parlamentarnych w październiku 2019 r. startuje jak najszersza koalicja opozycji, oznaczałby, że większość uczestników takiego zjednoczenia nie wyszłaby z niego cało. Nie ma żadnej gwarancji, że taka koalicja mogłaby w ogóle rządzić, wręcz nic na to nie wskazuje. Były złudzenia wynikające z sondaży, np. tego przeprowadzonego przez IBRIS dla „Rzeczpospolitej" (z 12–13 lipca br.). W tym sondażu koalicja PO-PSL-SLD-Nowoczesna miałaby poparcie 38,5 proc. I gdyby do niej dołożyć koalicję Wiosna-Lewica Razem (8 proc.), na papierze dawałoby to opozycji przewagę nad PiS (42,7 proc.). W rzeczywistości pozasondażowej nikt poważny po stronie opozycji w takie sumowanie nie wierzy. A najmniej przewodniczący Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna, choć od tygodni do jak najszerszej opozycyjnej koalicji namawiał. Jednak to były tylko słowa. W rzeczywistym świecie Schetyna (ale też liderzy innych partii) ma na względzie interes wyłącznie własnego ugrupowania, kwestie przywództwa w niej oraz pieniądze. Najważniejszym celem przewodniczącego Platformy Obywatelskiej jest przygotowanie partii na spodziewaną przegraną w wyborach parlamentarnych oraz jak najmniejsze skutki tej porażki. Kosztem innych ugrupowań opozycji. Plan był taki, żeby PO była właściwie jedyną opozycją.

GRANAT BEZ ZAWLECZKI

Schetyna wszystko sobie policzył i z tych rachunków nie wynika, że po wyborach będzie tworzył rząd. Będzie musiał przetrwać w jak najlepszej kondycji, ale w opozycji. I im lepszą strategię na takie przetrwanie zastosuje, tym krócej ma szansę być wyłącznie opozycją. W tej kwestii zresztą przewodniczący PO nie musi odkrywać Ameryki: co najmniej od wyborów europejskich w maju br. wie, że najlepsze efekty może mu przynieść strategia stosowana mniej więcej od 2010 r. przez Jarosława Kaczyńskiego i PiS. Polega ona głównie na konsolidacji i uodpornieniu partii na zmienne zewnętrzne okoliczności. Z wielu rozmów z politykami PO jasno wynika, że strategia Schetyny polega na tym, by przez kolejne cztery lata w opozycji partia przetrwała, nie zmniejszając się, a ponieważ sama jest na to za słaba, musiałaby pożreć wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu. Żeby przez pierwsze dwa, trzy lata zachować zdolność zdobywania co najmniej 25–30 proc. poparcia, a przed kolejnymi wyborami – ponad 35 proc. Po wyborach europejskich, które miały być dla PO i opozycji najłatwiejsze, a przyniosły porażkę niemal 7 pkt proc., Schetyna musi się wzmocnić kosztem innych. Dlatego cały pomysł szerokiej koalicji na wybory parlamentarne służyłby przetrwaniu wyłącznie PO jako poważnej opozycji, a mniejsze ugrupowania miałyby jej posłużyć za pokarm. Tylko Schetyna ma dostatecznie długie doświadczenie na szczytach polityki, żeby wiedzieć, iż kolejna porażka wywoła kryzys w partii, a przede wszystkim zanegowane zostanie jego przywództwo. I oba te fundamentalne problemy mógłby rozwiązać tylko kosztem innych partii (koalicjantów), samemu nie tracąc niczego albo tracąc niewiele.

Gdy przez wyborami europejskimi w maju br. Schetyna rozmawiał z „Kulturą Liberalną", zakładał, że „nikt mu nie da drugiej szansy", jeśli przegra. Jednak od tego czasu sporo się zmieniło. Przede wszystkim znacząco osłabł jego główny rywal, czyli Donald Tusk. Bo to Tusk mógł pozbawić Schetynę przywództwa, organizując bunt wewnątrz partii. Na początku maja br. tylko wśród posłów PO Tusk mógł liczyć na 50–60 „spiskowców". Ale w razie kryzysu wokół Schetyny ta grupa mogłaby wzrosnąć o kolejnych ok. 20 posłów. Kiedy pod koniec marca br. Schetyna rozmawiał z Tuskiem w Brukseli, został przez byłego premiera potraktowany „z buta". Przewodniczący Rady Europejskiej nie zostawił złudzeń, że faktycznie po porażce w wyborach do europarlamentu drugiej szansy dla Schetyny nie będzie. Ale potem Tusk zanotował trzy spektakularne porażki, choć miał ugruntować pozycję wszechmocnego w polskiej polityce. Te trzy porażki to: tzw. wykład 3 maja na Uniwersytecie Warszawskim (rozwalony przez Leszka Jażdżewskiego), udział w manifestacji 18 maja, która miała zgromadzić 100 tys. osób, a zgromadziła ponad 10 razy mniej, wreszcie udział w uroczystościach upamiętnienia wyborów 4 czerwca 1989 r. w Gdańsku, gdzie też zawiodła publiczność. 3 maja Tusk

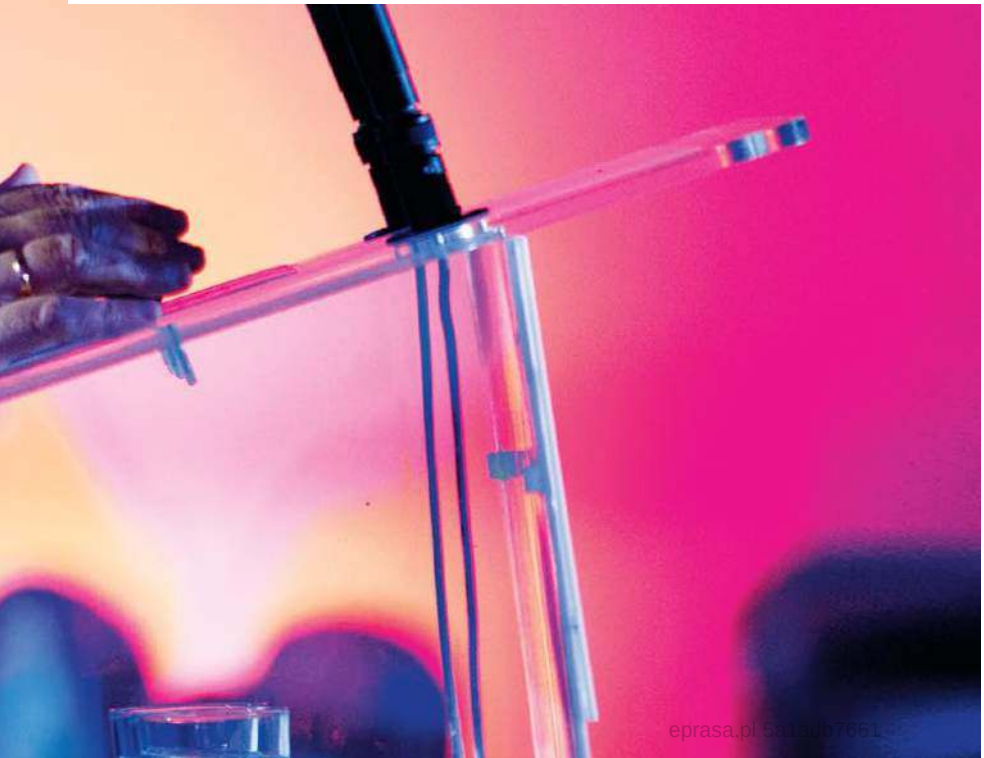

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1ad07661

dostał cios w szczękę z własnego obozu. Dlatego, jak twierdzą moi informatorzy w Brukseli, jest przekonany, że Jażdżewski został „wypuszczony" przez Schetynę. Po nieudanej manifestacji 18 maja Tusk już otwarcie oskarżał Schetynę o „wrobienie" go w „dziadowską imprezę". A 4 czerwca Tusk już nie mógł ogłosić żadnych swoich triumfalistycznych planów, np. powołania Ruchu 4 Czerwca, bo mógłby się po raz trzeci z rzędu ośmieszyć.

Jeszcze przed rocznicowymi uroczystościami w Gdańsku, a już po wyborach europejskich, Schetyna ponownie spotkał się z Tuskiem w Brukseli i mimo porażki wcale nie był potulny. Na propozycję Tuska, aby zastanowił się nad wycofaniem z polityki, zaatakował tym samym, czyli proponując byłemu szefowi, żeby to on odczepił się od polskiej polityki, a przede wszystkim od Platformy. Z tego wszystkiego wynika, że na progu przygotowań do jesiennych wyborów do Sejmu i Senatu Schetyna mógł zapomnieć o tym, że „nikt mu nie da drugiej szansy". Sam ją sobie dał i mógł sobie na to pozwolić wobec osłabienia Tuska. W PO sytuacja jest bowiem taka, że wewnętrzny opór wobec Schetyny zależy od siły Tuska i jego możliwości organizowania buntu przeciwko obecnemu liderowi partii. Co wcale nie oznacza, że Tusk już się poddał. Chodzi o to, żeby nawet mimo porażki w wyborach parlamentarnych były premier nie był w stanie wysadzić Schetyny z siodła. I żeby takiej zdolności nie miały też główne ośrodki medialne opozycji. Schetyna ma ich poparcie tylko warunkowo – jest po prostu mniejszym złem. Jednak przy pierwszej okazji skoczą mu do gardła. Dlatego musi partię skonsolidować i zdyscyplinować, żeby się oparła medialnym naciskom na usunięcie swego przywódcy. Także różne grupy interesów popierające Schetynę z braku lepszego wariantu po porażce rzucą się na niego, więc partia musi być w takim stanie, żeby się nie dać z zewnątrz sterować. Wbrew pozorom Schetyna ma znacznie więcej problemów wewnątrz własnego zaplecza niż ze strony PiS. Jego najbliższe otoczenie mówi, że od czasu objęcia stanowiska szefa partii (26 stycznia 2016 r.) Schetyna trzyma w dłoni granat bez zawleczki, a ta dłoń z każdym dniem jest coraz bardziej zmęczona.

Fot. Andrzej Wiktor

KASA I WŁADZA

Bardzo szeroka koalicja na wybory parlamentarne nie kleiła się od początku czerwca br. Przede wszystkim z powodu stanowiska PSL. Bardziej doświadczeni politycy PSL wiedzą, że skoro koalicja na wybory europejskie nic im nie dała, a wręcz zagroziła istnieniu partii i jej zdolności przekraczania progu wyborczego, to szeroka koalicja parlamentarna mogłaby się okazać gwoździem do trumny. Ludowcy byli przez pewien czas skłonni zaakceptować właściwie tylko jeden wariant koalicji, czyli z PO oraz mało już znaczącymi niedobitkami z Nowoczesnej. Nawet trójczłonowa koalicja, czyli jeszcze z SLD, byłaby zagrożeniem dla partii Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nie tylko on nie widzi dla PSL szans poza wariantem „chadeckim". Nie bez znaczenia są też pieniądze. Od 2001 r. PSL spłaca dług (22 mln zł) wynikający z odrzucenia przez PKW sprawozdania wyborczego. Ten stary dług stopniał już do kilkuset tysięcy złotych, jednak w 2018 r. PSL wzięło 2,5 mln zł kredytu, żeby móc funkcjonować. W prostym układzie koalicyjnym z PO dotacja i subwencja byłyby łatwe do podzielenia. W szerokiej koalicji rękę na kasie trzymałby Schetyna, a przez to mógłby prawie dowolnie wasalizować mniejszych koalicjantów, a niektórych po prostu wykończyć finansowo. A tego nikt w PSL nie chce. Po latach biedowania partia chce mieć znowu własne, „przyzwoite" pieniądze. Dla Schetyny szeroka koalicja byłaby optymalna także w związku z finansami. Im więcej koalicjantów pożarłby po wyborach (także w wersji kooptowania różnych osób do PO), tym więcej miałby pieniędzy. Ale „sprawa się rypła".

Jeśli nawet po wyborach parlamentarnych Platforma nie wchłonęłaby mniejszych partii, tak jak zrobiła to z Nowoczesną, to wyssałaby z nich to, co najlepsze ze swego punktu widzenia, a reszta nie przeżyłaby po romansie z partią Schetyny, więc i tak byłaby jej zapleczem albo by zniknęła. W PSL nie mają złudzeń, że Schetyna i PO w szerokiej koalicji byliby znacznie bardziej toksyczni, a wręcz zabójczo trujący, niż samodzielnie albo w wąskiej konfiguracji. Doświadczeni politycy PSL wiedzą, że Schetyna chce i może przeżyć tylko kosztem słabszych partnerów, czyli w roli wampira albo rzymskiego boga Saturna pożerającego własne dzieci ze strachu, że któreś w przyszłości mogłoby pozbawić go władzy. Wszystko to, co przedostaje się do opinii publicznej, to albo pozory, albo dezinformacja.

Najważniejsza gra toczyła się bowiem nie o jak najszerszą koalicję i wyborcze zwycięstwo, lecz o przetrwanie – przede wszystkim Schetyny i PO, ale także mniejszych ugrupowań opozycyjnych. Schetyna chciał się wzmocnić, wypijając ich krew, kiedy jeszcze są w niezłym stanie, bo z ich niejako „naturalnej" mar-

eprasa.pl 5a1adb7661

ginalizacji czy nawet anihilacji nie miałby żadnych korzyści i nie mógłby zrealizować swego głównego celu. Ten cel to przetrwanie kolejnych czterech, a nawet ośmiu lat w opozycji w takim stanie, żeby nie stracić zdolności do odzyskania władzy. Tak jak straciły ją Unia Demokratyczna i Unia Wolności, Akcja Wyborcza „Solidarność" czy Sojusz Lewicy Demokratycznej. Tylko PiS przetrwało osiem lat w opozycji, nie tracąc zdolności do przejęcia władzy. To dlatego Schetyna powtarza strategię Kaczyńskiego realizowaną od mniej więcej 2010 r.

IMPERIALIZM SCHETYNY

Barwne opowieści o tworzeniu jednej wielkiej koalicji albo trzech mniejszych (wokół PO, wokół PSL i pod patronatem Wiosny) przykrywały to, co się działo pod powierzchnią. Dwie mniejsze koalicje niezwiązane z PO są przede wszystkim związkami obronnymi przed – jak to nazywają w PSL – „imperializmem Schetyny". Chodzi o to, żeby nie dać się pożreć i zachować autonomię, nawet balansując na granicy progu wyborczego. Najwięcej do stracenia w związku z „imperializmem Schetyny" miało PSL, niezależnie od tego, czy historia tej partii liczy się od 1895, czy od 1990 r. Z kolejnej wielkiej koalicji ludowcy mogliby nie wyjść żywi. I mają tego pełną świadomość, dlatego ich kontredanse nie były czczym hamletyzowaniem, tylko walką o życie – z Saturnem Schetyną.

Trudno stwierdzić, czy świadomość zagrożenia miał Włodzimierz Czarzasty. On zapewne chciał ratować siebie i partię dzięki sile PO, ale i Schetyna, i inni politycy jego partii wiedzą, że wzmocnili Czarzastego po wyborach europejskich, nie uzyskując niczego w zamian. Realnie skłonność Schetyny do wchodzenia ponownie w układy z Czarzastym była więc niewielka. Choć z drugiej strony najlepszą formą zemsty za wykorzystanie Platformy jako wehikułu przez postkomunistów w wyborach europejskich byłoby zaproszenie ich do koalicji, a po wyborach zrealizowanie takiego scenariusza, jaki powiódł się z Nowoczesną. W każdym razie w otoczeniu Schetyny nie mają wątpliwości, że samodzielnie SLD nic już nie osiągnie, czyli partia Czarzastego jest już właściwie na równi pochyłej. Gdy chodzi o Wiosnę Roberta Biedronia, to Schetyna liczy na to, że „sama się wykończy", tzn. najpierw będzie balansować na granicy progu wyborczego, a potem akceptowalni dla PO działacze tej partii przyszliby do niego „po prośbie".

Wzmacniając się kosztem każdego, kogo Saturn Schetyna zdołałby pożreć, mógłby zrobić porządki w PO. Słabnięcie partii po wyborach parlamentarnych w 2015 r. sprawiło, że Schetyna zawiesił topór wiszący nad głowami co najmniej kilkunastu polityków tej partii, np. Waldego Dzikowskiego. Schetyna już wyrzucił Stefana Niesiołowskiego, Jacka Protasiewicza, Stanisława Huskowskiego i Michała Kamińskiego, potem wypchnął Marka Biernackiego i Jacka Tomczaka, teraz wypycha Bogdana Zdrojewskiego. A wzmocniony, mimo oczekiwanej porażki w wyborach parlamentarnych w październiku br., najpierw obroniłby się przed usunięciem ze stanowiska przewodniczącego, a po kilku miesiącach mógłby się rozprawić z wewnętrzną opozycją, którą oszczędził po 2015 r. Łatwo nie będzie, porażka zostanie bowiem wykorzystywana przede wszystkim przez Tuska oraz liberalne media, ale Schetyna będzie miał liczne sznurki w ręku. Już układanie list w wyborach do Sejmu i Senatu (na własnych warunkach, a nie dalece ulegając innym – jak w wyborach europejskich) pozwala mu wyeliminować część przeciwników i „ustawić" tych spoza PO, których chciałby przejąć, cały czas (także w kampanii) będzie również decydował o pieniądzach, a te dwa czynniki razem sprawią, że bardzo trudno będzie go wyeliminować. Cała zagrywka Schetyny ostatecznie ma doprowadzić do tego, żeby uczynić siebie nieusuwalnym – jako tego, który jednak uratował partię przed marginalizacją lub rozpadem i mimo porażki utrzymał ją w kondycji niezamykającej szans na powrót do władzy. Nie będzie zwycięzcą, ale nie będzie też pokonanym.

> Schetyna ma dostatecznie długie doświadczenie na szczytach polityki, żeby wiedzieć, iż kolejna porażka wywoła kryzys w partii, a przede wszystkim zanegowane zostanie jego przywództwo

Tyle że koalicjanci z wyborów europejskich w tym wszystkim się zorientowali. W efekcie nie doszło do zawiązania wielkiej koalicji. To ewidentna porażka Schetyny i częściowe fiasko jego planu. Lider PO tłumaczy to wyczerpaniem się formuły partyjnej i odwołaniem do wersji obywatelskiej, ale to tylko dobra mina do złej gry. Partii satelickich nie pożre, a za pokarm muszą mu wystarczyć samorządowcy, ludzie z tzw. ruchów obywatelskich oraz nieokreśleni „patrioci". To chyba jednak za mało, żeby zrealizować pierwotny plan, więc będzie on jeszcze modyfikowany.

Gry i zabawy opozycji z koalicjami na wybory parlamentarne nie były pomysłem na zwycięstwo, lecz na jak najlepszy wariant porażki. Tyle że nie dla wszystkich, ale właściwie wyłącznie dla PO. Nęcąc wielką koalicją, Schetyna chciał uśpić koalicjantów, żeby potem tym łatwiej ich pożreć. Lojalność i różne doraźne zobowiązania nie miałyby większego znaczenia. Istotne byłoby tylko obronienie przywództwa, i to w partii, która nie znajdzie się na drodze, jaką potoczyły się losy AWS i SLD, lecz na takiej, na jakiej PiS było przez osiem lat. Towarzyszące tej wojnie przedstawienia w postaci programów, konferencji, konwencji czy manifestacji to tylko mydlenie oczu. Że nie chodzi o władzę i zdolność jej odzyskania, a o Polskę. Chodzi wyłącznie o władzę, i to nawet nie w Polsce, ale w PO, a przez to o zachowanie choćby szczątkowej nadziei, że Grzegorz Schetyna kiedyś zostanie premierem. Gdy w październiku 2009 r. Tusk wyrzucał Schetynę ze swojego rządu, kpił z niego, że nigdy nie zostanie premierem. Schetyna chce Tuskowi udowodnić, że się mylił, a przy okazji odegrać się na nim za wieloletnie upokorzenia. Pierwszy etap jednak przegrał i innych partii na razie pożreć nie zdoła, bo uciekły z talerza.

eprasa.pl 5a1adb7661

Państwo musi być prawe i sprawiedliwe, a nie teoretyczne. Musi chronić ofiary, a nie naciągaczy. Jako polityk mam grubą skórę. Nie ugnę się z powodu nawet najbardziej perfidnych, dyskredytujących mnie kampanii

Minister kontra lichwa

Wojciech Biedroń i Jacek Karnowski rozmawiają ze Zbigniewem Ziobrą, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym

Skąd decyzja, by walczyć z rynkiem lichwiarskim? Są sygnały, że większość firm działa legalnie, płaci podatki, a wielu Polaków od lat korzysta z ich usług. Taką narrację możemy znaleźć w mediach.

Zbigniew Ziobro: Kiedy zostałem prokuratorem generalnym, trafiła do mnie sprawa pewnej kobiety z Gdańska, która została wyrzucona z domu tylko dlatego, że zaciągnęła pożyczkę w wysokości kilkuset złotych. Sprawę tej bezradnej, zrozpaczonej kobiety prokuratura, jeszcze za poprzednich rządów, umorzyła. Poleciłem ją ponownie zbadać. Jak się okazało, była to zwykła lichwa. Co więcej, stała za nią cała przestępcza grupa, w której skład wchodzili notariusze. Ofiarą przestępców padło ponad 400 osób, które straciły dach nad głową. Zleciłem jednocześnie analizę statystyki karnej pod kątem lichwy. Wynik był szokujący: średnio trzy wyroki skazujące za przestępstwa lichwiarskie rocznie. To oznaczało, że antylichwiarskie przepisy nie działają, mimo że skala problemu jest ogromna. Większość spraw, które napływały wcześniej do prokuratur, była umarzana, pomimo nieopisanych ludzkich dramatów i tragedii, nawet samobójstw. Oszukani ludzie, często najsłabsi, znajdujący się w trudnej sytuacji życiowej, nie znajdywali ani sprawiedliwości, ani wsparcia ze strony państwa. Podjąłem więc jeszcze jedną decyzję: by prokuratura występowała po stronie pokrzywdzonych przez lichwiarzy w sprawach cywilnych, np. o odszkodowania. Dziś prokuratorzy czynią to na masową skalę.

Spłata pożyczki lichwiarskiej stanowi wielki problem. Oprocentowanie sięga ponad 50 proc.

Dlatego postanowiliśmy zmienić prawo karne i ustawę o kredycie konsumenckim tak, by jasno określić limit, od którego zaczyna się lichwa. Przy okazji prac nad nowymi regulacjami zorientowaliśmy się, jak łatwo firmy pożyczkowe obchodzą obecne przepisy. Mimo limitów, ustalonych na poziomie 55 proc., przez luki prawne możliwe było obchodzenie ustawy. Rzeczywiste koszty umów pożyczkowych sięgają nierzadko kilkuset procent. Chcemy ucywilizować system, by Polacy nie byli strzyżeni jak owce przez firmy pożyczające pieniądze. Za pożyczkę o tej samej wartości w tej samej firmie Polak ponosi sześć razy wyższe koszty niż w swoim kraju Niemiec oraz trzy i pół razy większe niż Słowak. To są dane z raportów międzynarodowych instytucji.

> Mam zaufanie do fachowej wiedzy premiera Morawieckiego i do jego zaplecza eksperckiego, a nie do broniącego swoich interesów lobby lichwiarskiego. Cieszę się z inicjatywy pana premiera. Jestem pewien, że dzięki wprowadzonym zmianom znajdujący się w potrzebie Polacy będą mogli zaciągać pożyczki, ale wyłącznie na uczciwych zasadach

Przemysł lichwiarski?

Tak można to ująć. Dzielimy lichwę na tę „czarną", którą często zajmują się grupy przestępcze, i „szarą", którą parają się niektóre firmy pożyczkowe. To one łupią Polaków, narzucając im monstrualne koszty.

Lichwa to wielkie pieniądze, a co za tym idzie – wielki lobbing. Media publikują więc teksty, które uderzają w ustawę i mają na celu jej storpedowanie.

Bierzemy to pod uwagę. Pod drugiej stronie stoją przecież firmy, które dysponują olbrzymimi pieniędzmi. Bylibyśmy jednak teoretycznym państwem, gdybyśmy ustępowali ze strachu przed czarnym PR. Najważniejsza jest likwidacja patologii. Ich ofiarą padają osoby najsłabsze, często starsze, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej – brakuje im na leki, chcą spłacić zaległości w czynszu albo po prostu przeżyć do pierwszego. Nie możemy pozwolić na żerowanie na ludzkiej krzywdzie.

Państwo musi być prawe i sprawiedliwe, a nie teoretyczne. Musi chronić ofiary, a nie naciągaczy. Jako polityk mam grubą skórę. Nie ugnę się z powodu nawet najbardziej perfidnych, dyskredytujących mnie kampanii.

Co się zmieni po wejściu w życie waszych pomysłów?

Nie będzie więcej pozbawiania ludzi dachu nad głową za niespłaconą kilkusetzłotową pożyczkę. Jeżeli wartość długu nie przekracza 5 proc. wartości domu czy mieszkania, to nie będzie można przeprowadzać komorniczej egzekucji. Odsetki i koszty przekraczające limity określone przez ustawę będą bezprawne i niemożliwe z punktu widzenia prawa cywilnego, a jeśli ich wysokość przewyższy dopuszczalny limit dwukrotnie, to będzie to już przestępstwo ścigane karnie. Ta prosta i jasna zasada to potężny cios w lichwiarzy. Dotychczasowe przepisy pozwalające na uznaniową ocenę, które pożyczki mają charakter lichwiarski, były główną przyczyną bezkarności naciągaczy.

fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1adb7661

Jako maksymalny dopuszczalny limit kosztów w przypadku pożyczek i zakupów na raty, po licznych konsultacjach i uwagach m.in. ze strony resortów gospodarczych, zaproponowaliśmy ostrożnie 45 proc. Jednak w trakcie posiedzenia rządu pan premier Mateusz Morawiecki zaproponował, żeby wrócić do limitów, które legły u podstaw projektu, a więc do 20 proc. Jako były bankowiec z dużym doświadczeniem i wiedzą o świecie finansów potwierdził, że 20-procentowy limit, chroniąc Polaków przed lichwą, nie odbiera im możliwości zaciągania pożyczek i nie zagraża funkcjonowaniu uczciwych firm pożyczkowych.

A taką narrację słyszymy w części mediów.

Chwytliwą, ale kłamliwą. Mam zaufanie do fachowej wiedzy premiera Morawieckiego i do jego zaplecza eksperckiego, a nie do broniącego swoich interesów lobby lichwiarskiego. Cieszę się z inicjatywy pana premiera. Jestem pewien, że dzięki wprowadzonym zmianom znajdujący się w potrzebie Polacy będą mogli zaciągać pożyczki, ale wyłącznie na uczciwych zasadach. Nie będą zmuszani do płacenia horrendalnych odsetek. Państwo i prawo zapewnią im ochronę przed naciągaczami.

Dlaczego wasi poprzednicy nie przeprowadzili reformy tego systemu?

Wręcz ją sabotowali. W 2011 r. z przygotowanej już ustawy antylichwiarskiej wypadły dwa ważne przepisy dotyczące kredytu konsumenckiego. Jeden jasno precyzował, czym jest lichwa, a drugi wprowadzał karę do dwóch lat więzienia za żądanie wyższych kosztów pożyczki niż określone w ustawie.

Dlaczego te zapisy zniknęły?

Odpowiedzi trzeba szukać w kancelarii premiera, gdy szefem rządu był Donald Tusk. Tam powstał okrojony następnie projekt. Uznano, że ochroną przed pazernością firm pożyczkowych będzie... jeszcze więcej firm pożyczkowych i konkurencja między nimi.

Stało się wręcz odwrotnie.

Zleciały się do Polski firmy pożyczkowe z całego świata i urządziły sobie eldorado. W innych krajach regulowano i cywilizowano ten rynek, a u nas było odwrotnie.

> Donald Tusk i jego koledzy z PO dbali głównie o międzynarodowe korporacje, ich interesy i pieniądze. My stajemy po stronie Polaków. W przypadku lichwy jak w soczewce widać, kto walczy i upomina się o interesy zwyczajnych ludzi, a kto staje po stronie pazernych firm i korporacji

To pachnie korupcją.

Dlatego poleciłem wszcząć śledztwo w tej sprawie. Widać to jak na dłoni, że Donald Tusk i jego koledzy z PO dbali głównie o międzynarodowe korporacje, ich interesy i pieniądze. My stajemy po stronie Polaków. W przypadku lichwy jak w soczewce widać, kto walczy i upomina się o interesy zwyczajnych ludzi, a kto staje po stronie pazernych firm i korporacji, zwykle zagranicznych.

Co z kwestią rolowania długu? To także istotna zmiana.

Dłużnik, któremu pozostaje do spłaty kilka dni, otrzymuje „prezent" od firmy w postaci możliwości zaciągnięcia kolejnej pożyczki. Firmy nazywają to „odroczeniem spłaty pożyczki". Problem w tym, że przy kolejnej pożyczce dolicza się kolejny procent. W ten sposób dług rośnie w postępie geometrycznym. To wyjątkowo perfidny proceder. Zaproponowane przez nas zmiany w prawie likwidują ten proceder.

Rząd chciał, by Komisja Europejska notyfikowała zmiany w trybie pilnym. Tak się jednak nie stało.

To prowokuje pytania, które kierują do nas pokrzywdzeni – po czyjej stronie staje Komisja Europejska: nieuczciwych firm czy ich ofiar? Wolny rynek to nie jest wolnoamerykanka, a Polska to nie jest kraj Trzeciego Świata, by swobodnie hasały tu sobie zachłanne firmy pożyczkowe.

Walka z lichwą to także walka z wielkimi korporacjami, które coraz mocniej wpływają na kwestie nie tylko ekonomiczne, lecz również ideologiczne i społeczne. Znana jest sprawa zwolnionego z Ikei polskiego pracownika, który odważył się cytować Biblię na wewnętrznym forum firmy. Dyktatura ideologii?

Na pewno groźny precedens. Jako prokurator generalny natychmiast zleciłem wszczęcie śledztwa. Polska jest krajem gwarantującym wolność sumienia i wyznania. Tymczasem duża korporacja stosuje szantaż ekonomiczny w postaci groźby utraty pracy, który ma sprawić, by pracownicy pogwałcili własne przekonania i włączyli się w spór ideologiczny – w tym przypadku po stronie środowisk homoseksualnych. Mają one w Polsce równe prawa, mają swoje parady, księgarnie, kluby i media. Ale nie wolno nikogo zmuszać do tego, by podzielał ich system wartości: ani chrześcijan, ani muzułmanów, ani żadnej innej osoby. Łamanie sumień, przy wykorzystaniu uzależnienia od pracodawcy, to łamanie konstytucji.

Tymczasem wielkie korporacje korzystają w Polsce z wielu ułatwień, ulg i dobrodziejstw dynamicznie rozwijającej się gospodarki. Może to jest dobry moment, by wprowadzić zmiany ustawowe, które eliminowałyby ideologiczne szykany wobec polskich pracowników?

eprasa.pl 5a1adb7661

W pierwszej kolejności trzeba wykorzystać dostępne narzędzia, a więc Kodeks karny i Kodeks pracy. Dlatego zleciłem śledztwo. Nie może być tak, że łamie je dysponująca nawet największym kapitałem zagraniczna korporacja. Że stosuje wobec pracowników zasadę: „My wam płacimy i macie nas słuchać, a jak nie, to na bruk!". Szanujemy zagraniczny kapitał, ale on musi szanować nasze prawo i naszą konstytucję. Obowiązkiem rządu jest stać na straży wolności Polaków.

Na drugim biegunie mamy sprawę słynnego drukarza, który został ukarany za to, że nie wykonał usługi dla przedstawicieli środowiska LGBT. Trybunał Konstytucyjny wydał w tej sprawie orzeczenie, z którego treści jest pan raczej zadowolony, prawda?

Przykro mi, że ten człowiek został w ogóle skazany. I przykro mi z powodu medialnych manipulacji wokół tej sprawy, w których przodowała „Gazeta Wyborcza". Drukarz nie odmówił wykonania usługi, dlatego że klienci byli aktywistami homoseksualnymi. Ich orientacja seksualna nie ma tu nic do rzeczy. Nie chodziło o to, kto zleca, tylko co zleca. Zlecenie polegało na wydrukowaniu propagandowych materiałów środowisk LGBT, a to było sprzeczne z przekonaniami, wiarą, systemem wartości i sumieniem pracownika drukarni. Miał prawo odmówić. Czy „Gazeta Wyborcza" zgodziłaby się np. na publikację reklamy środowisk narodowych albo obrońców nienarodzonego życia, które zapamiętale zwalcza?

To środowisko podkreśla wagę tolerancji.

Ale ta tolerancja ma działać tylko w jedną stronę. Nie toleruje sprzeciwu, gdy są łamane sumienia i naruszane uczucia religijne osób wierzących. To zakłamanie, sprytnie ukrywane pod płaszczykiem wolności i tolerancji. Pachnie wręcz skłonnościami totalitarnymi. Jest praktykowane przy użyciu przymusu ekonomicznego, o czym świadczy przypadek pracownika Ikei.

Wasi przeciwnicy polityczni otwierają się na środowiska LGBT. Tak jest w przypadku Grzegorza Schetyny oraz prezydentów dużych miast, którzy wywodzą się z Platformy Obywatelskiej.

Legalizacja związków partnerskich to jedna z głównych wyborczych propozycji Platformy. Cieszę się, że będą się mogli odnieść do niej wszyscy Polacy, decydując jesienią w wyborach, kto będzie rządzić Polską.

> Polska, jak słusznie mówił Jarosław Kaczyński, musi być redutą wolności. Musimy chronić wolność rodziców do wychowania swoich dzieci. Musimy się bronić przed deprawacją najmłodszych i łamaniem sumień dorosłych Polaków. Decyzja jest w rękach wyborców

Ale Grzegorz Schetyna zapewniał o chadeckiej twarzy PO.

Nie wiem, czy chodzi o twarz... Podczas obscenicznej „parady równości" w Warszawie, którą wspierał reprezentujący PO prezydent miasta Rafał Trzaskowski, można było odnieść inne wrażenie. Ta „równość" i to „przywiązanie" do chadeckich wartości były najbardziej widoczne, gdy doszło do wulgarnej profanacji mszy świętej. Znamienne, że właśnie pan Trzaskowski jest wymieniany jako kandydat Platformy w wyborach na prezydenta Polski. To najlepsze podsumowanie intencji Grzegorza Schetyny i jego partii.

Tymczasem PO nie dogadała się z lewicą. A może to ruch pozorny? Wyobraźmy sobie na chwilę zwycięstwo wyborcze PO jesienią i wejście do Sejmu środowisk skrajnie lewicowych. Grzegorz Schetyna byłby w stanie tworzyć z nimi koalicję rządową?

To nie hipoteza, to rzeczywistość. Widać ją na ulicach rządzonej przez PO Warszawy, gdy podczas tzw. parady równości są obrażane uczucia katolików. Przejawia się nachalnym wpychaniem do szkół w stolicy pseudoedukacji seksualnej dla kilkulatków. Jest to widoczne również w Gdańsku, gdzie protegowana Donalda Tuska i Grzegorza Schetyny – prezydent Dulkiewicz wzięła udział w „tęczowym pikniku", podczas którego sparodiowano procesję Bożego Ciała, zastępując Najświętszy Sakrament wulgarnymi treściami. Dopiero po trzech dniach ogólnopolskiej krytyki i wyborach przegranych przez Koalicję Europejską zreflektowała się, że naruszone zostały uczucia katolików. To, co wspiera Platforma Obywatelska, to chrystianofobia i nietolerancja. Platforma podsyca pełzający zamach na wartości Polaków, a nade wszystko na wolność w obszarze sumienia i wychowania dzieci, które gwarantuje konstytucja.

Czy po wyborach uda się zagwarantować nam nasze prawa? Choćby do edukacji naszych dzieci, bo niebezpieczne ideologie wdzierają się dziś do szkół.

To ponura i niebezpieczna perspektywa, która może być konsekwencją zwycięstwa Platformy Obywatelskiej. Polska, jak słusznie mówił Jarosław Kaczyński, musi być redutą wolności. Musimy chronić wolność rodziców do wychowania swoich dzieci. Musimy się bronić przed deprawacją najmłodszych i łamaniem sumień dorosłych Polaków. Decyzja jest w rękach wyborców. Najbliższe wybory przesądzą o tym, czy dobra zmiana była tylko dobra, czy też trwała. Zarówno pod względem pielęgnowanych wolności i wartości, jak i w wymiarze socjalnym, a więc utrzymania osiągnięć w postaci programu 500 plus na każde dziecko czy wypłaty 13. emerytury. Wybory zdecydują o losach Polski i Polaków na długie lata.

eprasa.pl 5a1adb7661

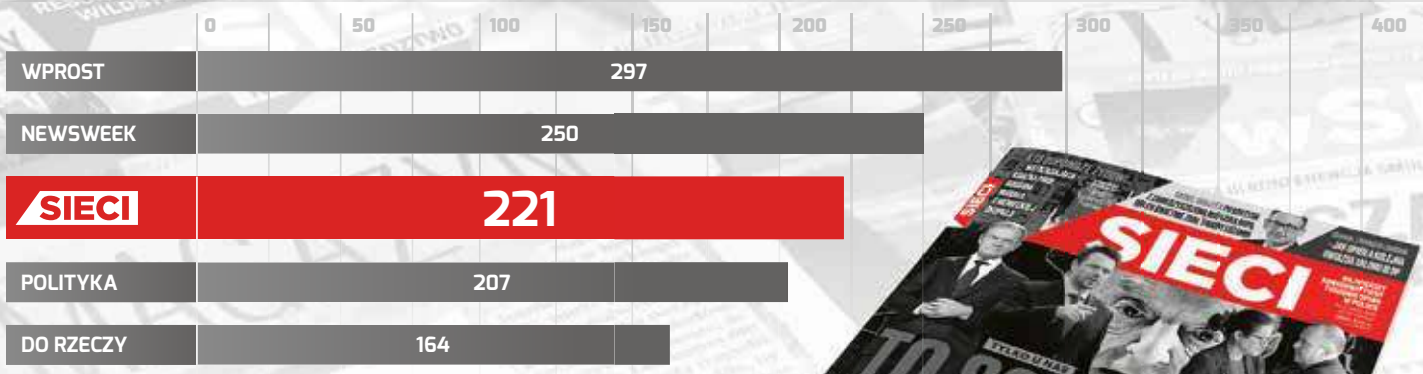

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe

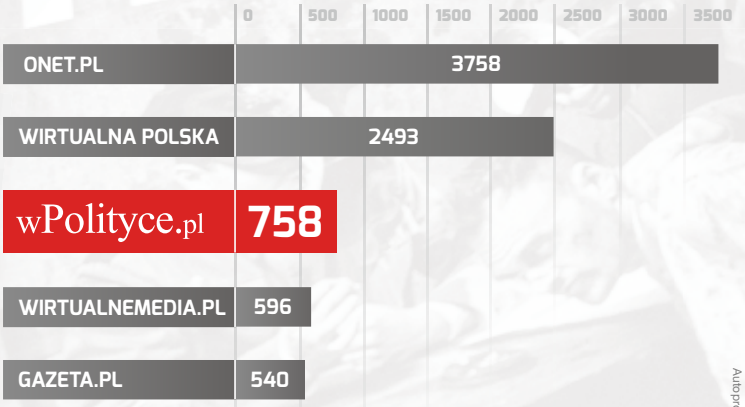

Autopromocja

ŹRÓDŁO: IMM, CZERWIEC 2019

eprasa.pl 5a1adb7661

Niemal nie ma protestu bez jej udziału. Elegancka, siwa, starsza pani broniła m.in. dzików, kornika, konstytucji, aborcji i praworządności

Fot. Andrzej Wiktor

Pikieciarze do wynajęcia

Różne protesty, różne miejsca, ale wiele tych samych, powtarzających się twarzy. To „lotni pikieciarze" gotowi stawiać opór na każde wezwanie

DOROTA ŁOSIEWICZ

Będą wybory, będzie się działo, kiedy od władzy odsuniemy PiS" – każdego dnia od godz. 19:30 do 20:30 wyśpiewuje pod budynkiem TVP przy pl. Powstańców Warszawy garstka przedstawicieli KOD i Obywateli RP. Na moją uwagę, że przecież niedawno były wybory i Koalicja Europejska je przegrała, usłyszałam odpowiedź: „Ale na jesieni będą kolejne i my tu będziemy chodzić do jesieni".

I chodzą. Większość twarzy demonstrantów jest już pracownikom i współpracownikom TVP, a nawet pojawiającym się w programach gościom dobrze znana. Nie tylko sprzed budynku Telewizji Polskiej, lecz także z wielu innych, antyrządowych protestów.

STARSZA PANI

Niemal nie ma protestu bez jej udziału. Broniła dzików, kornika, konstytucji, aborcji, praworządności i sama tylko wie, czego jeszcze. Elegancka, siwa starsza pani. Zimą ubrana w brązowe futro i dobrze dopasowany kapelusz (nie śmiem napisać beret), latem była widziana w zielonej kurtce, jasnym prochowcu (ostatnio np. w lipcu pod TVP, patrz zdjęcie) czy kwiecistej bluzce. Nieodzownym elementem garderoby jest gadżet związany z tematem protestu. I tak były to: zielona wstążka, korale

eprasa.pl 5a1adb7661

z napisem „Konstytucja", obowiązkowa biała róża, znaczek KOD. Na pierwszy rzut oka kobieta wygląda na spokojną, łagodną babcię. Jednak zacietrzewia się, gdy mówi o sprawach politycznych.

„Przepraszam, ale pan tu widział jakiegoś dziennikarza" – żachnęła się zapytana w lutym przez Macieja Zemłę, reportera telewizji wPolsce.pl, po napaści na Magdalenę Ogórek o to, czy wypada się tak zachowywać. „Tu są najemnicy! Tacy, którzy będą w tę tubę rządową trąbić. Tu nie ma dziennikarzy, niech mi pan daruje" – kontynuowała zirytowana.

Czołowa demonstrantka III RP wystąpiła zimą na proteście w obronie dzików. Trzymając w dłoni plakat z dzikiem i hasłem: „Jak żyć? Gdzie?", twierdziła, że zwierząt broni konstytucja.

„Konstytucja jest nasza, więc broni wszystko!" – odpowiedziała zapytana o to, czy ustawa zasadnicza broni dzików.

Z kolei z transparentem „Władza nie ma prawa niszczyć państwa prawa" występowała w letniej odsłonie – w koralach z napisem „Konstytucja". Wydrukowane hasło naklejone było na tekturę. Z drugiej strony plakatu inne hasło: „Jest konstytucja, nie możecie wszystkiego". W rozmowie z Mikołajem Januszem, twórcą pyta.pl, bojowniczka o wolność pochwaliła się całym zestawem innych haseł wyciąganych z podręcznej (niemałej) torby. „Stop dla faszyzmu w Warszawie. ONR wrócił" – głosił wyciągnięty niczym królik z kapelusza kolejny plakat. Na jego odwrocie był inny postulat: „Za hasła i deptanie Warszawy – delegalizacja". Na uwagę reportera, że przecież ona też ma hasła, więc i jej powinna grozić delegalizacja, pospiesznie wyciągnęła ze swej magicznej torby transparent z napisem: „Konstytucja. Art. 30, art. 32, art. 69. Rząd nie czyta, napisane jasno". Na rewersie z kolei można było przeczytać: „Mam dosyć łamania praw niepełnosprawnych. To nie demokracja". Rozochocona zainteresowaniem reportera starsza pani wyciągnęła jeszcze jeden transparent: „Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy! Nie wolno się bać". Na innej demonstracji pojawiła się z hasłami wspierającymi aborcję.

Zdjęcia Andrzej Skwarczyński

Macieja Bajkowskiego, przedstawiciela „opozycji chodnikowej", widzieliśmy m.in. 23 marca 2019 r. w Warszawie podczas protestu nauczycieli pod MEN…

Reporterzy TVP Info oraz wPolsce.pl potwierdzają, że widują ją regularnie na wszystkich demonstracjach. – Była na posiedzeniu stołecznej Rady Miasta, pod TVP, broniła sądów – wymienia Maciej Zemła.

W tym kontekście obecnej władzy można zapisać na plus wkład w aktywizację seniorów. Z naszą bojowniczką występuje bowiem stała grupa osób w podobnym wieku, równie chętnie pojawiająca się na różnych protestach.

Podczas jednej z pikiet zaangażowana we wszystko demonstrantka przyznała, że na wagary chodziła mądrze. Może więc chodzenie na wszystkie antyrządowe protesty to wyraz tęsknoty za młodością, a może przejaw szczerej niechęci do władzy. W każdym razie starszą panią pozostawimy tu bezimienną, ponieważ ona sama swoich danych personalnych publicznie nie ujawniła. Jej imię pojawia się co prawda w mediach społecznościowych, podawane jest przez działaczy KOD, nie zaistniało jednak w przestrzeni publicznej.

CHODNIKOWY OPOZYCJONISTA

To inaczej niż w przypadku Macieja Zbigniewa Bajkowskiego, który zwie się „przedstawicielem opozycji chodnikowej". Cechy charakterystyczne: potężny z siwą brodą i wąsami, nie stroni od rozmów z mediami. Zaczął protestować 16 grudnia 2016 r. na Wiejskiej. Pikietował wówczas w obronie konstytucji, wolności słowa, później w obronie sądów. Jednak poszerzył swą chodnikową działalność. Widziany był na wielu antyrządowych demonstracjach. M.in. 18 marca 2017 r. w Krakowie podczas demonstracji przed Wawelem, 13 maja 2017 r. w Warszawie podczas odsłonięcia pomnika Witolda Pileckiego. 23 marca 2019 r. podczas protestu nauczycieli krzyczał przyodziany w niebieską koszulkę z żółtymi gwiazdkami: „Oni się boją wyłącznie brutalnej siły i tą brutalną siłą możemy tę władzę zmusić do ustępstw. Wzywam do strajku generalnego wszystkie grupy społeczne". Prawie trzy tygodnie później podczas protestu przeciw strajkowi taksówkarzy ten sam Bajkowski miał już nowe hasło: „Precz z komuną taksówkarską".

Bajkowski należał kiedyś do KOD, jednak dziś współtworzy stowarzyszenie Obywatele Solidarnie w Akcji (OSA). Stowarzyszenie ma zapisane w statucie wspomaganie wszelkich ruchów prodemokratycznych i wolnościowych.

„Naprawdę działamy dość prężnie, choć jest nas stosunkowo mało" – chwalił się w rozmowie z portalem natemat.pl. „Historia opozycji chodnikowej jest dość zawiła. Wywodzimy się z istniejącego kiedyś Komitetu Obrony Demokracji przeciw PiS. Jesteśmy wyrzutkami z KOD-u, czyli ludźmi, którzy nie zgadzali się z ówczesną linią polityczną tej organizacji. Głosiła ona, że z PiS nie walczymy, tylko bronimy demokracji.

eprasa.pl 5a1adb7661

…3 maja 2017 r. pikietującego z Obywatelami RP odsłonięcie pomnika Witolda Pileckiego…

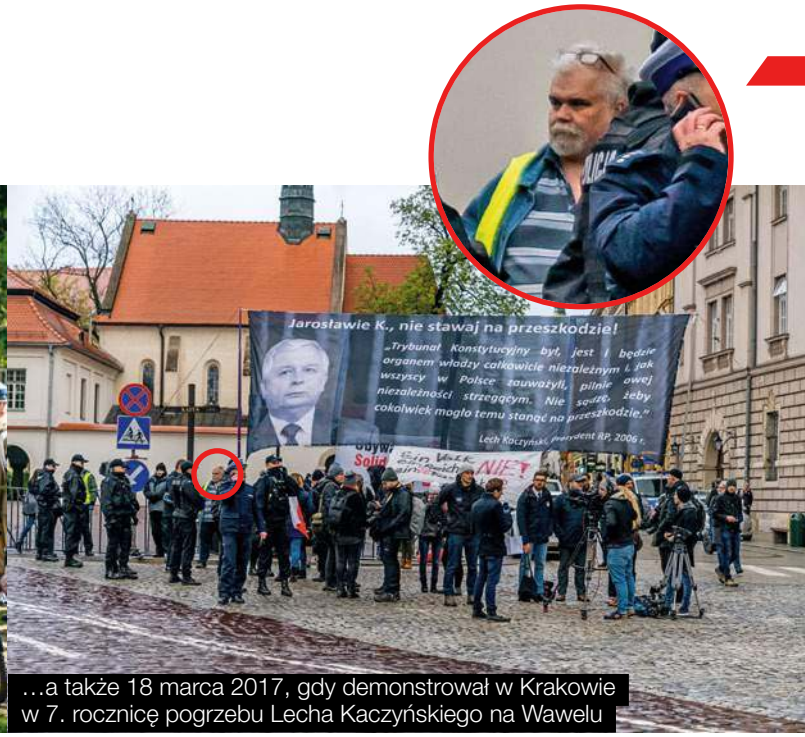

…a także 18 marca 2017, gdy demonstrował w Krakowie w 7. rocznicę pogrzebu Lecha Kaczyńskiego na Wawelu

My uznaliśmy, że nie da się obronić demokracji bez walki z tymi, którzy ją gwałcą. Zostaliśmy za to wyrzuceni z KOD".

Być może słowa o walce potraktował na serio, ponieważ był obecny przy głośnym, wulgarnym ataku „Farmazona" na Annę Machińską. Kiedy reporterka „W tyle wizji" zaapelowała o wzajemny szacunek, usłyszała: „O co mnie pani prosi?! Żebyśmy?! Jakie, kur...a, my, jakie my?! Ja i ty?! Więcej szacunku mam do k...wy spod latarni". Kamery zarejestrowały, jak Bajkowski z uśmiechem przyglądał się zajściu, choć wcześniej widziano go na demonstracjach w obronie praw kobiet w koszulce „Strajk Kobiet". Tamtego dnia praw kobiet jednak nie bronił.

Wróćmy jednak do stowarzyszenia Obywatele Solidarnie w Akcji. Ze strony internetowej możemy się dowiedzieć, że jego członkowie chętnie pojawią się tam, gdzie potrzebny jest sztuczny tłum demonstrantów. „Organizujemy lotne pikiety" – reklamuje się OSA. „Tam, gdzie pojawiają się ludzie niszczący rzecz wspólną. Tam pojawiamy się my. W Hajnówce. W Wyszkowie. W Piotrkowie Trybunalskim. W Częstochowie. W Gdańsku. Pod Wawelem. W wielu innych miejscach". Jak zamówić „lotną pikietę"? „Mamy do was prośbę – żebyśmy mogli wam pomóc, musicie nas o potrzebie takowej pomocy poinformować. Nie mamy swoich służb wywiadowczych. Jak dostajemy wiadomość, że np. w Wyszkowie konkretnego dnia odbywa się spotkanie z panią poseł Pawłowicz, a na miejscu nie ma dość zwolenników opcji przeciwnej i potrzebują wsparcia, to po prostu wsiadamy w samochody i jedziemy.

> Ludzie OSY są siłą do wynajęcia, gdy akurat nie ma pod ręką przeciwników władzy. „Organizujemy lotne pikiety" – reklamują się działacze stowarzyszenia Obywatele Solidarnie w Akcji

Jeżeli wiemy odpowiednio wcześniej, możemy zamówić odpowiednie banery, ulotki etc. Na takie okazje przygotowujemy oczywiście zestaw trudnych pytań i zazwyczaj okazuje się szybko, że delikwent odpowiedzieć nie umie, albo i nie chce, i spotkanie kończy się niezupełnie tak, jak sobie zaplanował. Jeżeli planujecie jakiś event – polityczny, prospołeczny, akcję protestacyjną – skontaktujcie się z nami. Pomożemy na miarę sił i możliwości. Nagłośnienie, scena, namioty, pomoc organizacyjna i fizyczna obecność np. w roli straży zgromadzenia jest do waszej dyspozycji. Nie wymagamy żadnych opłat, proste dziękuję aż nadto wystarczy, jeżeli nie macie środków. Nasza działalność już została zauważona i doceniona – niedawno zostaliśmy nominowani do nagrody Okulary Równości fundacji im. Izabeli Jarugi-Nowackiej, właśnie za udostępnianie nagłośnienia i pomoc innym". Dalej jednak pojawia się informacja, że pomoc finansowa owszem się przyda. „Wy możecie pomóc nam. Soros się ociąga, pieniędzy jak nie przysyłał, tak nie przysyła, nasza działalność opiera się głównie na waszych datkach. Wyżej znajdziecie namiar na nasze konto bankowe". Wróg OSY także został precyzyjnie opisany: „Obywatele Solidarnie w Akcji wyraźnie precyzują przeciwnika – jest nim pseudodyktator Kaczyński oraz prominentni członkowie jego bandy. I to Kaczyńskiego oraz jego akolitów dotyczą nasze działania. Dopadamy ich, gdy tylko pojawiają się publicznie, dokładnie tak samo, jak ich bojówki dopadały działaczy partii rządzących, gdy PiS był w opozycji".

Ludzie OSY są siłą do wynajęcia, gdy akurat nie ma pod ręką przeciwników władzy. Czy można się więc dziwić, że

eprasa.pl 5a1adb7661

co demonstracja, to te same twarze? Zresztą nie krył tego również Arkadiusz Szczurek z Obywateli RP, który w lutym przyznał w rozmowie z Maciejem Zemłą (podczas protestu pod TVP), że wiele tych samych osób regularnie bierze udział w protestach. Szczurek sam jest stałym bywalcem licznych antyrządowych demonstracji.

„LOTNA BRYGADA JEŹDZI I GADA"

Plan rozpisany na stronie stowarzyszenia OSA od miesięcy realizuje Piotr Łopaciuk, szeregowy działacz KOD. Podczas kampanii samorządowej dwoił się i troił, by nadążyć za politykami PiS spotykającymi się z wyborcami w terenie. Był na spotkaniu z Krystyną Pawłowicz, Piotrem Glińskim, Patrykiem Jakim, Adamem Lipińskim, Markiem Kuchcińskim, Ryszardem Terleckim i Mateuszem Morawieckim. Scenariusz zakłócania spotkań zawsze był ten sam. Łopaciuk siadał w pierwszym rzędzie i zadawał pytania, doprowadzając do przekształcenia się spotkania w awanturę. Portal natemat.pl pisał o Łopaciuku: „Nazwano go »prowokatorem« i »zadymiarzem«. A on tylko jeździ za politykami PiS i zadaje pytania". Po co to robił? Sam w jednym z wywiadów tłumaczył, że nie zgadza się z przekazem, który kieruje do Polaków partia rządząca. Jego zdaniem nie chodzi o żadne programy dla obywateli, tylko o oplecenie mackami wszystkich możliwych urzędów oraz instytucji i korzystanie z fruktów władzy.

Ten przedsiębiorca, który prowadzi w Żanęcinie pod Sokołowem Podlaskim przydrożną karczmę, podobnie jak wyżej opisani bohaterowie, pojawiał się na wielu demonstracjach. Zaczynał w 2016 r. od koordynacji demonstracji KOD w Siedlcach, bronił wolnych sądów, praw kobiet, konstytucji, demonstrował pod TVP. W lutym 2018 r. Łopaciuk chciał zostać wiceszefem KOD Mazowsze. Przegrał. Działania Łopaciuka i ekipy „Gazeta Polska" ochrzciła mianem „Lotnej Brygady Opozycji". Kilka tygodni później biznesmen przyznał, że brygada liczy wiele osób, a on sam nie jest w stanie określić jej liczby, bo wielu osób po prostu nie zna. Nazwa „lotna brygada" tak przypadła działaczom KOD do gustu, że na kanale YouTube postanowili pod tym tytułem komentować rzeczywistość. I tak od czterech miesięcy powstają nagrania „Lotna Brygada jeździ i gada". Do dziś powstało 14 odcinków. Piotr Łopaciuk i Adam Wiśniewski, siedząc za kółkiem samochodu, komentują rzeczywistość polityczną. Bywa że zabawnie.

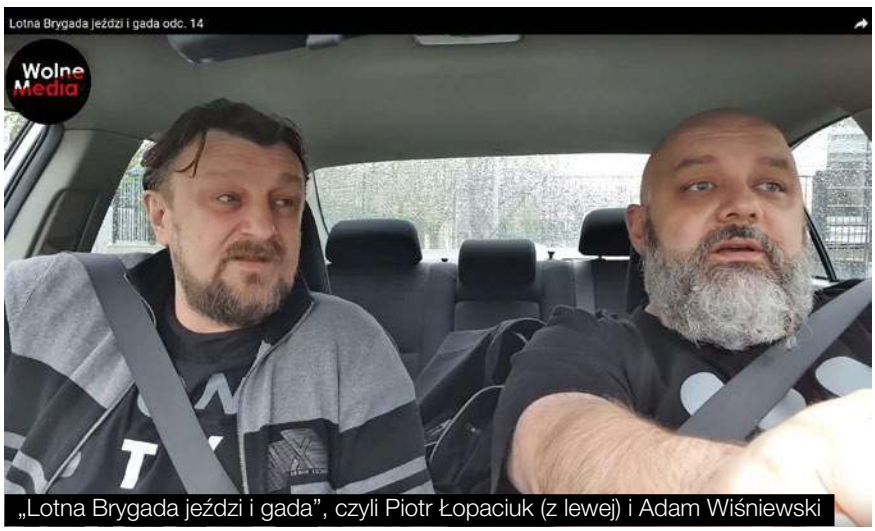

„Lotna Brygada jeździ i gada", czyli Piotr Łopaciuk (z lewej) i Adam Wiśniewski

CAŁA RESZTA

Nie ma sensu wspominać w tym miejscu o tych bojownikach o wolność, którzy z racji funkcji, jako organizatorzy, na każdej demonstracji być muszą, czyli o szefach KOD czy Obywateli RP. Jednak wspierających opozycję lotnych demonstrantów obstawiających antyrządowe pikiety i organizujących antyrządowe eventy jest znacznie więcej. O wielu z nich było już nieraz głośno. Jest i Magda Aleksandra Klim (Ruda), która w mediach społecznościowych właśnie skrzykuje ludzi na kolejną akcję: „Miałam pomysł, żeby tydzień urlopu wykorzystać we wrześniu na wycieczkę po wschodniej ścianie, na jazdę od GS-u do GS-u, od przysłowiowej budki z piwem do budki z piwem po to, by porozmawiać, przekonywać, powiedzieć, o czym nie mówi telewizja publiczna. Taki przedwyborczy tour".

Jest Dawid Winiarski, znany z przepychanek pod Sejmem, był też pod TVP, gdy doszło do ataku na Magdalenę Ogórek. Jest Iwona Wyszogrodzka, związana z Obywatelami RP, Monika Twarogal, kiedyś związana z SLD, Ruchem Palikota, później KOD, jest psychoterapeutka Magdalena Podleśna, przez kilka dni liderka protestów pod TVP, wcześniej opiewana za niepokorną postawę przez „GW". Ostatnio przypomniała o sobie akcją z wizerunkami Matki Boskiej Częstochowskiej z tęczową aureolą. Wiele nazwisk „niepokornych obywateli" czy przeciwników rządu można znaleźć na stronie archiwumosiatynskiego.pl/alfabet-buntu. Portal oko.press tak opisywał tę inicjatywę: „Archiwum Osiatyńskiego przedstawia sylwetki blisko 200 osób – organizatorek demonstracji, aktywistów obywatelskich, niepokornych prawników, obrońców przyrody, feministek, ludzi walczących z różnymi formami dyskryminacji i uprzedzeniami. Wszelkiego sortu buntowników i buntowniczek. Pomóżcie nam uzupełnić Alfabet. To jest – uwaga! – inicjatywa obywatelska". To właśnie tu ujawniono tożsamość wielu osób protestujących pod TVP, o co potem oskarżono telewizyjne „Wiadomości".

Czy nie wolno im okazywać niezadowolenia? O ile nie obrażają uczuć religijnych lub nie krzywdzą innych, oczywiście wolno. Każdy ma prawo wyrażać swoje zdanie. Lech Wałęsa nie doczeka chyba jednak obiecanych przez opozycję milionów na ulicach, bo wciąż powtarzają się te same twarze. Objazdowa rewolucja na razie nie spełniła pokładanych w niej nadziei i stała się własną karykaturą.

22/0619/F

eprasa.pl 5a1adb7661

TERAZ POLSKA

PGNiG z godłem „Teraz Polska”

Technika przedeksploatacyjnego pozyskiwania metanu z pokładów węgla otrzymała prestiżowe godło „Teraz Polska” w XII edycji Konkursu dla Przedsięwzięć Innowacyjnych. Metoda została opracowana przez Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo oraz Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy. Godło jest przyznawane produktom i usługom, które mogą być wzorem dla innych.

Nagrodzone przedsięwzięcie jest pierwszym tego typu projektem w Europie. Metoda opracowana przez PGNiG i PIG-PIB otwiera perspektywę dla przemysłowej eksploatacji metanu z pokładów węgla.

Realizacja tego przedsięwzięcia to:

- większe bezpieczeństwo energetyczne Polski;
- większe bezpieczeństwo pracy górników;
- ochrona środowiska naturalnego.

PGNiG

epr.pl 5a1adb7661

Nikt mnie do odejścia nie zmusił

Praca parlamentarzysty jest bardzo absorbująca i czuję, że już nie mam na to siły – przecież nie mogą mnie nosić po korytarzach sejmowych na noszach

Z prof. Krystyną Pawłowicz, posłanką Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Jakub Maciejewski

To nie może być prawda. Prof. Krystyna Pawłowicz odejdzie z polityki? Nie będzie kandydować ani do Sejmu, ani do Senatu?

Krystyna Pawłowicz: Po raz pierwszy zapowiedziałam to już pół roku temu. Jestem trochę zmęczona i uznałam, że 68. rok życia to dobry czas, by z czynnej polityki odejść.

Dla polityka to wcale nie jest późny wiek. Może są jakieś inne powody, dla których pani ustępuje?

To wyłącznie moja, suwerenna decyzja, nikt mnie do niej nie zmusił. Praca parlamentarzysty jest bardzo absorbująca i czuję, że już nie mam na to siły – przecież nie mogą mnie nosić po korytarzach sejmowych na noszach (śmiech).

Może zaważyła presja i ataki medialne?

Pewne zwątpienie w sens kontynuowania działalności politycznej miałam w styczniu 2013 r. podczas swojej pierwszej kadencji, po zaprezentowaniu w Sejmie stanowiska klubu parlamentarnego PiS wobec pięciu lewacko-lewicowych projektów ustaw o związkach partnerskich. Byłam wtedy świeżo upieczonym posłem i tamto swoje wystąpienie wygłosiłam bez politycznej poprawności, tak jak się rzeczy prawnie mają. Było ono zdecydowanie krytyczne wobec „związków partnerskich", pokazywało ich bezpodstawność w polskim prawie. Przedstawiłam je językiem jasnym dla wszystkich. Reakcje środowisk lewackich i homoseksualnych udowodniły, że te pozornie roześmiane środowiska, którym rzekomo chodzi

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1ddb7661

tylko o „miłość", trzymanie się za ręce na ulicy i łatwe dziedziczenie swojej własności – wylały z siebie falę nienawiści i pogardy wobec mnie. Cała ta aura „niewinności" pękła i pokazała się prawdziwa, agresywna twarz tych zaburzonych środowisk. Wszystkie późniejsze wymierzone we mnie kampanie medialne miały swój początek w tym sejmowym wystąpieniu.

Czym się różni prof. Pawłowicz sprzed posłowania od parlamentarzystki Pawłowicz po dwóch kadencjach w Sejmie?

Przede wszystkim nabyłam w Sejmie uzupełniającego doświadczenia praktycznego, uzupełniającego teoretyczną wiedzę pracownika naukowego. Wcześniej jako wykładowca akademicki miałam swoje tylko abstrakcyjne wyobrażenia o legislacji; przekonanie, że wszystko jest znacznie łatwiejsze i prostsze; że wystarczy tylko swój punkt widzenia dobrze uargumentować i precyzyjnie przedłożyć. W Sejmie zderzyłam swoją teoretyczną wiedzę z politycznymi realiami i faktycznymi procedurami. Mój radykalizm został nieco skorygowany. Prezes Kaczyński kiedyś tłumaczył posłom, że polityka to skuteczne osiąganie celów, powtarzam: skuteczne osiąganie celów, a nie rzucanie się na oślep z choćby najlepszymi pomysłami w nieodpowiednim czasie oraz bez wystarczających sił i cierpliwości.

O konieczności mierzenia zamiarów według aktualnych politycznych możliwości przekonywałam się w Sejmie przy okazji kolejnych ataków unijnych wobec Polski. Wcześniej napisałam kilka artykułów prawno-naukowych o niedemokratycznej organizacji i zasadach działania Unii Europejskiej w zestawieniu z regułami państwa demokratycznego. Wydawało mi się, że nic prostszego, jak natychmiast zacząć radykalną walkę o usuwanie unijnych patologii. Dziś rozumiem, że nie jest to ani proste, ani łatwe i skuteczność zależy od wielu innych okoliczności. Niedawnym przykładem jest utrącenie kandydatury premier Beaty Szydło na przewodniczącą unijnej komisji ds. zatrudnienia i spraw socjalnych, mimo że racje i prawo są po stronie Polski, to niedemokratyczne zasady funkcjonowania Unii uniemożliwiają Polsce zgodne z traktatem członkostwo w UE.

Innym przykładem jest blokada przez Unię reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości, mimo iż Polska stoi na gruncie prawa traktatowego, faktycznie jest podmiotem bezprawnych ataków najsilniejszych państw UE i nic dziś nie możemy z tym zrobić. Widzimy tę patologię, ale wiemy, że zmiana tej sytuacji będzie wymagać odpowiednich warunków, czasu i konsekwencji w działaniu. W UE ciągle jesteśmy szantażowani gadką: „Wy macie rację, ale my mamy fundusze". Polityka pokazała mi, jak bardzo poza racjami liczą się cierpliwość i konsekwencja.

> Nie jestem żadną wojowniczką, tylko w zwyczajny sposób bronię swej osobistej kobiecej, poselskiej godności oraz godności Polki i państwa polskiego

Co jeszcze panią zaskoczyło w polityce?

Stanowczo potępiam akty zdrady politycznej motywowane interesami osobistymi, zdrady tak państwa polskiego, jak i swoich środowisk politycznych, z list których poseł dostał się do Sejmu. Wyjątkowo negatywnie oceniam nasilenie się takiej zdradzieckiej postawy ze strony dzisiejszej opozycji oraz jej drastycznej nielojalności wobec Rzeczpospolitej za granicą. Ze zdziwieniem obserwuję również, z jaką łatwością w opozycji poszczególni posłowie przeskakują z klubów do klubów, nie szanując wartości, z którymi szli do parlamentu. Robią to zwłaszcza posłowie stosunkowo młodzi, ale również starzy wyjadacze, np. Michał Kamiński i Jacek Protasiewicz. Z perspektywy ośmiu lat bycia posłem doceniam grę zespołową, lepiej rozumiem wyborcze hasło PiS, które często powtarzała premier Szydło, iż jesteśmy jedną „biało-czerwoną drużyną". Sukces może przyjść tylko w wyniku wspólnego działania.

I teraz z tej drużyny pani się wycofuje.

Przecież nie wylatuję w kosmos ani nie schodzę do grobu (śmiech). Nie chciałabym już być czynnym politykiem. Muszę wypocząć, posprzątać i wyremontować mieszkanie, trochę zwolnić. Mogę jednak uspokoić swoich czytelników i słuchaczy, że nadal będę aktywna na Twitterze i będę kontynuowała swoje felietony w Radiu Maryja w czwartki po wakacyjnej przerwie.

Z jakim myśleniem o Polsce wchodziła pani do polityki?

Mam wrażenie, że nasza Polska wciąż jeszcze nie powstała. Otrzepujemy się i usuwamy złogi komunistyczno-peerelowskie. Uważam, że dopiero rządy PiS od 2015 r. stawiają fundamenty pod państwo demokratyczne i względnie wolne. W blokadach i przeszkodach, które ciągle się pojawiają, widać, że praca jeszcze jest przed nami. Wojna i komunizm odebrały nam wcześniejszy dorobek, z jednej strony zmiażdżyli nas Niemcy, a potem Rosjanie. Ci ostatni przynieśli ogromne poniżenie Polski i Polaków, wykorzenienie tak wielkie, iż musimy odbudowywać podstawy tożsamościowe. Pierwszym powiewem wolności po 1945 r. był rok 1980, czuło się inną atmosferę, ale złamano to stanem wojennym. Kolejne nadzieje były w 1989 r., ale ciągle silniejsza postkomuna nie pozwoliła nam się rozwinąć.

Ma pani na myśli gospodarkę?

Coś znacznie więcej. Rękami liberałów pokroju Leszka Balcerowicza, Jana Krzysztofa Bieleckiego czy Janusza Lewandowskiego i Donalda Tuska dotknęła nas ogromna

eprasa.pl 5a1adb7661

niesprawiedliwość społeczna, wyprzedawanie majątku polskiego za bezcen. Skupił je zagraniczny biznes, likwidując tym samym potencjalnego polskiego konkurenta. Nie dano szansy rozwoju średniej polskiej przedsiębiorczości. Prawie dekada rządów PO jedynie pogłębiła tę degradację. Za tym poszło upokorzenie i odebranie Polakom osobistej i narodowej godności.

W jakim miejscu jesteśmy teraz?

Po tej skali zniszczeń mam wrażenie, że jesteśmy dopiero na etapie podnoszenia się z kolan, budowania klasy średniej i przywracania godności rodzinie, człowiekowi, co odbywa się przy akompaniamencie szyderstw ze strony środowisk postpeerelowskich, liberalnych lewaków obyczajowych, celebrytów czy kasty sędziowskiej. Polacy, którzy otrzymują transfery społeczne, nie są żebrakami. PiS po prostu stosuje się do treści ustrojowego art. 1 Konstytucji RP, który mówi, że Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich Polaków, a to oznacza że wszyscy Polacy mają prawo brać udział w zyskach i w lepszej sytuacji państwa. Nadal jest wiele do zrobienia, np. grupy rolników z byłych PGR wciąż czekają na lepszy los.

Czego pani żałuje, odchodząc z polityki?

Żałuję, że nie doczekałam zakończenia reformy wymiaru sprawiedliwości oraz reformy na rynku mediów w Polsce. Uważam, że obecny stan, w którym media o przewadze zagranicznego kapitału toczą bezczelną i otwartą wojnę z polskimi legalnymi, demokratycznie wybranymi, władzami, jest nie do przyjęcia i nie do utrzymania w praworządnym państwie, zwłaszcza że walczą one z polskim suwerenem, z Polakami. Decyzje polskich władz i programy reform są kłamliwie przedstawiane i bezkarnie atakowane przez prywatne media. Naprawy państwa nie da się w takich warunkach prowadzić. Nic więc dziwnego, że polskie władze stanowczo korzystają z mediów publicznych, gdyż bez tego demokracja w Polsce zostałaby zakłamana i zagłuszona.

Ale to chyba normalne, że media mają różne zdanie o rządzie.

Różne opinie o polskim rządzie w Polsce powinny mieć **polskie media** [podkr. – prof. Pawłowicz], reprezentujące opinie i interesy **Polaków**, a nie interesy ośrodków zagranicznych otwarcie i z zewnątrz walczących z polskimi władzami, a tym samym z suwerenną katolicką Polską. Na rynku prasowym ponad 90 proc. tytułów należy do trzech niemieckich koncernów. Czyje interesy prezentuje w tych „niepolskich" własnościowo mediach np. zespół tabloidu „Fakt", sterowany przez jakiegoś Marka Dekana z zagranicy? A pani Katarzyna Kolenda-Zaleska bezczelnie z Sejmu podburzająca Polaków do antyrządowego buntu czy Tomasz Lis wzywający na Twitterze do otwartego wystąpienia przeciwko polskim legalnym władzom (słynne: „Polacy, jak nie teraz, to kiedy?") – czyje interesy reprezentują? W Polsce media prywatne, własnościowo zagraniczne, nie pełnią żadnej funkcji kontroli władzy, tylko funkcję zwalczania tej władzy, manipulowania czytelnikami i widzami oraz wprowadzania ich w błąd w interesie ośrodków spoza naszego kraju.

> To, że PiS udało się przeprowadzić tak wiele fundamentalnych zmian, również w mentalności i świadomości społecznej, uważam za cud

Unia Europejska odrzuciła projekt naszej ustawy medialnej, przedstawionej na początku kadencji. Lewicę i urzędników unijnych najbardziej drażnią słowa „repolonizacja", suwerenność itp. Jednak my chcemy po prostu podobnych rozwiązań jak w Niemczech czy we Francji, które nie tolerują u siebie przewagi kapitału zagranicznego w mediach.

Czy dziś nie mamy żadnych sposobów ograniczania antypolskich działań mediów?

Formalnie istnieje Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ale jej nieskuteczność w egzekwowaniu przestrzegania prawa przez agresywne media jest zadziwiająca. Skoro artykuł 18 ustawy o radiofonii i telewizji zakazuje propagowania działań sprzecznych z prawem, polską racją stanu oraz szkodzących dobru społecznemu, i artykuł 36 wspomnianej ustawy zakazuje udzielania koncesji, jeśli stanowiłoby to zagrożenie „interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa", to dlaczego lewackim mediom uchodzi to bezkarnie? KRRiT jest w tych sprawach bierna. Z jakichś powodów nie jest w stanie stwierdzić, że ustawa została złamana ani też nałożyć kary czy odebrać koncesji.

Czyli batalie o sądy i media są jeszcze przed nami.

Tak, ale żałuję również, że nie udało się w tej kadencji z ustawy o planowaniu rodziny wykreślić czynnika eugenicznego jako umożliwiającego dokonanie aborcji. Przecież mówimy o życiu dziecka, a nie o zlepku komórek. Skoro przyznajemy, że według ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka dzieckiem jest istota ludzka od chwili poczęcia, a prawo cywilne przewiduje ochronę dziecka jeszcze nienarodzonego (nasciturusa), to oczywiste jest, że powinno mieć to odbicie również w ustawie o planowaniu rodziny. Z kolei konstytucja udziela ochrony życiu człowieka, obejmując pojęcie życia w sposób nieograniczony, więc powinno to mieć logiczne uzupełnienie w tejże ustawie.

Co by pani chciała przekazać parlamentarzystom kolejnej kadencji?

Jestem tylko zwykłym posłem, nie poczuwam się do pozostawiania spe-

eprasa.pl 5a1adb7661

cjalnych testamentów. Chciałabym, żeby posłowie kolejnych kadencji nie zmarnowali szansy, jaką otworzyło swą wygraną PiS, które rozpoczęło pierwsze prawdziwe po 1945 r. reformy odbudowujące polskie państwo w kierunku takim, w jakim byśmy niemal wszyscy chcieli. Reformy są utrudniane przez opozycję wewnętrzną i zewnętrzną, ale fundamenty Polski powoli się rysują. Bardzo bym chciała, aby tego przyszli posłowie nie zaprzepaścili, by uchronili to wszystko, co udało się zrobić.

Przeszła pani do historii jako wojowniczka z mediami.

Nie jestem żadną wojowniczką, tylko w zwyczajny sposób bronię swej osobistej, kobiecej, poselskiej godności oraz godności Polki i państwa polskiego. Wobec agresywnych i chamskich ataków na mnie jako na kobietę, pracownika naukowego, osobę starszą, na człowieka, zmuszona jestem niekiedy zareagować ostrzej. Zawsze jest to jednak tylko reakcja na cudze brutalne ataki, których doznawałam nieomal przez osiem pełnych lat. A że atakowały mnie lewackie media, więc obśmiewałam je ze sporą dawką ironii.

Chyba skala tych ataków także była dla pani profesor czymś nowym. Naukowiec z uniwersytetu przechodzi na Wiejską i nagle musi uczestniczyć w dyskusji, której poziom jest dramatycznie niski.

Zaskoczył mnie niezwykle niski poziom poselskiej młodzieży opozycyjnej, takiej jak Krzysztof Brejza, Sławomir Nitras, Michał Szczerba, Agnieszka Pomaska i podobni. Np. poseł Brejza, dając dowód swojej całkowitej ignorancji, chcąc mnie zawstydzić, cytował na sali sejmowej tytuł mojego ważnego artykułu z „Życia Gospodarczego" z 1987 r. Drwił z tytułu, który brzmiał „Wspólne przedsiębiorstwa polsko-radzieckie", choć nie znał w ogóle tekstu i chodziło tylko o szczucie na mnie. Tymczasem to jest jeden z najlepszych i najodważniejszych w tamtym czasie artykułów, jaki napisałam, i był wymierzony w metody pasożytowania przez ZSRR na polskiej gospodarce, w okresie gdy po stanie wojennym

Polska objęta była zagranicznymi restrykcjami gospodarczymi. Rosjanie wpadli na pomysł, iż mogą na bazie polskich przedsiębiorstw państwowych powoływać „spółki", w których mieliby mniejszościowe wkłady, ale za to większościowe udziały w zyskach. Sprawa została opisana w niepublikowanym postanowieniu ówczesnej Rady Ministrów. Udało mi się zdobyć ten projekt i go krytycznie opisać. Tekstem zainteresowała się nawet ambasada amerykańska i za zgodą redaktora naczelnego Stanisława Chełstowskiego spotkałam się z jej przedstawicielem w siedzibie redakcji „Życia Gospodarczego". Wiem, że artykuł ten został przetłumaczony na język angielski do dalszego wykorzystania. Próba ośmieszenia mnie przez niedouczonego posła Brejzę pokazuje, jak wielkie braki merytoryczne, intelektualne i kulturalne mają – zwłaszcza młodzi – posłowie opozycji, którzy na sam tytuł artykułu, nie znając jego treści, rechoczą szyderczo, sugerując, że to ja powinnam się tego wstydzić. Nie spodziewałam się, że w Sejmie zostanę skonfrontowana z tak wielkim stopniem infantylizacji polityki po stronie opozycji.

Jednak widać w Polsce wiele zmian na lepsze.

Przez ostatnie osiem lat miałam możliwość przyjrzenia się – najpierw niemal dobijaniu Polski czasami rządów PO-PSL-SLD i Palikota, potem, po 2015 r., procesom odradzania Polski i uszlachetniania stylu władzy, którą podjął prezes Kaczyński wraz z Prawem i Sprawiedliwością. Podkreślanie znaczenia uczciwości, patriotyzmu, odradzanie ducha narodowego, poczucia tożsamości i przyznawanie się publiczne do katolicyzmu przez najważniejszych polityków obecnej władzy stoi w drastycznym kontraście do postawy opozycji, która w tym samym czasie przyznaje się do swoich prawdziwych lub rzekomych zaburzeń seksualnych i chwali się aktami zdrady interesów Polski w organach unijnych. Cieszę się też, że mogłam brać udział w zmianie charakteru organizacji i funkcjonowania Krajowej Rady Sądownictwa, w której – w moim przekonaniu – zasiadają obecnie rzeczywiści reprezentanci środowiska sędziowskiego, przejęci swoją rolą i zaangażowani w odbudowę autorytetu sędziego. To, że PiS udało się przeprowadzić tak wiele fundamentalnych zmian, również w mentalności i świadomości społecznej, uważam za cud. Degradujące warunki materialne w większości polskich rodzin i osób starszych zostały radykalne poprawione, a badania opinii publicznej pokazują wzrost optymizmu Polaków co do ich przyszłości.

eprasa.pl 5a1adb7661

Nie bronię tego, co było przed rokiem 2015

– Być może w mojej działalności było czegoś za mało, coś było spóźnione, jakiejś interwencji zabrakło. Mogę za to tylko przeprosić – mówi Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Z Adamem Bodnarem, rzecznikiem praw obywatelskich, rozmawia Marcin Fijołek

Mówią, że jest pan w swoich działaniach ślepy na jedno oko. Albo przynajmniej niedowidzący.

Adam Bodnar: Każda osoba pełniąca funkcję publiczną musi z jednej strony postępować rzetelnie, być ponad wszelkimi podziałami, a z drugiej – dokonywać wyboru, co jest ważniejsze, pilniejsze, bardziej wymaga pomocy. Ponadto jako rzecznik praw obywatelskich chcę działać w taki sposób, by jednoczyć, a nie dzielić obywateli. Mam tego świadomość i mój pomysł polega na tym, by robić to na bazie wartości konstytucyjnych. Jestem do nich przywiązany i chcę do nich przekonywać innych, a niekoniecznie podążać ścieżką wytyczaną przez tych czy innych polityków. Stąd często bierze się wybór tematów i spraw, którymi się zajmuję.

Piję do tego, że niektóre pana interwencje znajdują duże echo medialne, a inne nie.

Tak, to rzeczywiście pewien problem. Najczęściej moją działalność ocenia się w kontekście spraw medialnych: praw kobiet, środowisk LGBT, walki o sądy. Nie doczekałem się przez całą moją kadencję – zwłaszcza w mediach, które na co dzień mnie raczej krytykują – jakiejś szerszej analizy podejmowanych przeze mnie bardzo licznych tematów społecznych, zdrowotnych czy dotyczących ochrony środowiska.

Proszę uprzejmie, mamy trochę czasu i miejsca na łamach. O jakich tematach pan mówi?

To na przykład fermy hodowlane, które lokalnie powodują wielki smród i realne utrudnienie dla życia mieszkańców. Pisaliśmy do ministra środowiska, a gdy próbowaliśmy zainteresować media, to byliśmy w dużej mierze niezrozumiani. Bo w dużych miastach temat nie występuje. Choć akurat przy okazji ferm jest i tak postęp, bo kolejna ferma budowana jest akurat w okolicach Kruszynian i z tego powodu zaczyna być o niej coraz głośniej w mediach.

Mogę też, na przykład, godzinami rozmawiać na temat problemów psychiatrii dziecięcej: krzyczy zresztą w tej sprawie ze mną i Rzecznik Praw Dziecka, i Rzecznik Praw Pacjenta. I co? I nic. Nie widać burzy medialnej.

Może dlatego, że to tematy mało polityczne.

Jeden temat na szczęście się przebił. Od lat sporo mówiłem o problemie wykluczenia transportowego. Dlatego miałem satysfakcję, że gdy w pewnym momencie ten temat trafił do programów PiS i Wiosny. Zbiegło się to też z publikacją Klubu Jagiellońskiego informacji z badań naukowych. Ale znów – są prawdopodobnie małe szanse na zrobienie w głównych mediach serii przebojowych materiałów o tym, że 16-latek ma do szkoły 30 km i nie ma czym tam dojechać.

eprasa.pl 5a1adb7661

Fot. Andrzej Wiktor

Z ręką na sercu – z taką samą pasją walczy pan o prawo tego 16-latka, jak i środowisk LGBT?

Absolutnie tak. Widzi pan za moimi plecami mapę Polski usianą pinezkami – to wszystko to 2–3-godzinne spotkania z mieszkańcami małych i większych miejscowości. Przyjeżdżam, siadamy, rozmawiamy i wie pan, że tematy ideowe były na całkowitym marginesie spotkań? O LGBT w zasadzie nikt nie pyta, o prawach kobiet było trochę, bo zbiegło się to akurat w czasie z „czarnymi protestami". Ale rozmawiamy głównie o osobach starszych, niepełnosprawnych, o ochronie środowiska, czasem o osobach pokrzywdzonych przez sądy i prokuraturę, i właśnie o problemach transportowych.

Jak rozumiem, wrzuca pan tutaj kamyczek do ogródka medialnego.

Trochę też. Mam bowiem wrażenie, że zbyt często ulegamy owczemu pędowi – jak rzucimy się jako opinia publiczna na dany temat, to wałkujemy go intensywnie przez 3–4 dni, a później sprawa po prostu znika.

To tak zwane trzydniówki wzmożenia medialnego.

Coś w tym jest. A przecież problemy nie znikają, ciągną się dalej, jak przy okazji tortur na posterunkach policji. Sprawa Igora Stachowiaka była faktem – my wtedy pokazaliśmy raport, z którego wynika, że na przestrzeni kilku lat kilkudziesięciu policjantów zostało skazanych za tortury. Nie za przekroczenie uprawnień, ale za tortury. Miałem nadzieję, że to spowoduje głębszą refleksję, być może poważne reformy, ale tak naprawdę jedynymi rzeczami, które się wtedy udało osiągnąć, to była eliminacja używania prywatnych paralizatorów przez funkcjonariuszy i wprowadzenie systemu nagrań na kamerkach policyjnych.

Czyli coś drgnęło.

Tak, i to cieszy. Lecz wielka szkoda na przykład, że zupełnie nie przebiła się obecność adwokatów na posterunkach. Nie było nawet dyskusji. A chodzi o adwokata podczas pierwszej godziny po zatrzymaniu – cierpią na tym przede wszystkim osoby biedniejsze.

Zacząłem o tej ślepocie na jedno oko, bo wśród osób na prawicy dominuje przekonanie, że o ile każdy drobny występek wobec LGBT pan odnotuje, o tyle gdy mamy kwestie katolików czy ofiar reprywatyzacji w Warszawie, to pana nie ma. Bo mogłoby to zaszkodzić Platformie.

Tak, znam te hasła: „A gdzie był rzecznik, kiedy...". Tylko proszę zwrócić uwagę, że ostatnie moje interwencje w związku z zakazami marszów równości uderzały w prezydentów miast jakoś tam związanych z opozycją: Kielce, Gniezno, Rzeszów, Lublin... Swoją drogą, nie jestem w stanie zrozumieć tych decyzji, bo mamy w tej sprawie orzecznictwo, standardy są dla wszystkich jasne, a mimo to prezydenci wciąż próbują się zasłaniać względami bezpieczeństwa.

Ale w Warszawie tak mocno się pan nie zaangażował, gdy prezydent Rafał Trzaskowski zakazał marszu narodowcom.

Jeśli dobrze pamiętam, nie chodziło wtedy o zakaz, tylko o rozwiązanie marszu.

Nie. Mam na myśli zakaz Marszu Suwerenności. Sąd potem uchylił ten zakaz – podobnie jak w przypadku Parad Równości. Daleki jestem od jednych i drugich, ale w jednych sprawach mówi pan twarde „nie", a w analogicznych pana nie ma albo jest to trzy razy bardziej delikatne.

Żeby to wyjaśnić, musielibyśmy omówić każdą sprawę oddzielnie. A jeżeli już mówimy o narodowcach, to proszę pamiętać o moim mocnym wystąpieniu, gdy miało dojść do manifestacji przed ambasadą Izraela i prewencyjnie zamknięto trzy ulice. Rozumiem, że to mogło mieć konsekwencje dyplomatyczne, ale ambasady w pewnym sensie są także po to, by przed nimi móc protestować, korzystając z prawa do wolności zgromadzeń.

eprasa.pl 5a1adb7661

Zostawmy narodowców. Co z katolikami, chrześcijanami, ich uczuciami, prawami?

Dokładnie tak samo. Jeżeli na przykład mamy przypadki ataków na kapliczki, to podejmujemy interwencje.

A w przypadku ataków na księży?

Których ataków?

W kwietniu w Warszawie, w czerwcu we Wrocławiu. W Rypinie rozerwano siekierą ołtarz w trakcie mszy. Nie chcę mówić, że to jakaś tendencja, ale nie było pana interwencji, apeli, wywiadów. Idę o zakład, że gdyby dotknęło to – nie daj, Boże – osób LGBT, to taka aktywność byłaby większa.

Zawsze w ramach moich uprawnień staram się reagować, ale być może było czegoś za mało, coś było spóźnione, jakiejś interwencji zabrakło. Mogę tylko przeprosić. Chcę jednak przy okazji coś wyjaśnić. Otóż jak odbywały się ostatnio niektóre Parady Równości, to w czasie tych marszów pojawiły się sprawy, które mi się nie podobają. Nie chodzi o sprawę dla prokuratora, ale raczej o smak, estetykę, uczciwość wobec innych. Słowo daję, że mam już napisany tekst na ten temat z taką oto tezą: jeżeli chcemy zabiegać o szacunek innych, to należy to prowadzić w duchu przekazania sobie znaku pokoju. Dlatego jak widzę słynną imitację procesji [z waginą w miejscu Najświętszego Sakramentu – przy. red.] czy hasło o „prawdziwym chrzcie Polski", to zaczynam się zastanawiać: po co to robić? Czemu to służy? Bo sprawie równego traktowania i wzajemnego szacunku na pewno nie.

> To, co zrobił rząd PiS – przez program 500+ i akcentowanie innych spraw – przyczynia się do zwiększania jakości życia i obniżania poziomu ubóstwa, a w wielu miejscach do wyrównania szans. I to jest znaczące osiągnięcie

Co z tym pana tekstem? Nie pamiętam go z żadnej gazety.

Gdy przygotowywałem go do publikacji, pojawiła się historia z Mrowin, więc na razie odpuściłem, ale wrócę do tego. Dużo o tym myślę, bo choć może nie zawsze się to przebija, to naprawdę staram się być człowiekiem w każdym wymiarze dążącym do pokoju i współpracy.

Mówił pan kiedyś, że temperatura zagrożenia demokracji osiąga dziś poziom 39,5 stopnia. Czy naprawdę uważa pan, że jakość demokracji, życia publicznego, praw obywatelskich jest gorsza niż przed rokiem 2015?

Zależy, na jakim poziomie. O ile na tym instytucjonalnym, wolności i praw politycznych, jest zdecydowanie gorzej, o tyle na poziomie ochrony praw socjalnych jest zdecydowanie lepiej. To, co zrobił rząd PiS – przez program 500+ i akcentowanie innych spraw – przyczynia się do zwiększania jakości życia i obniżania poziomu ubóstwa, a w wielu miejscach do wyrównania szans. I to jest znaczące osiągnięcie. Doceniam też większą aktywność Państwowej Inspekcji Pracy czy poszerzenie praw pracowniczych. Główne rzeczy, których mi tutaj zabrakło, to nierozwiązywane problemy służby zdrowia i bardzo słaba realizacja postulatu mieszkaniowego.

Nie brzmi to jak 39,5 stopnia, czyli stan prawdziwej gorączki.

I tu musimy wrócić do kwestii praw politycznych. Ograniczenie niezależności TK, upolitycznienie prokuratury, kwestie ograniczenia przestrzeni debaty publicznej – także wobec organizacji pozarządowych. No i sądownictwo. Jestem zdania, że sądy trzeba reformować, ale nie w tym kierunku, który został zaproponowany.

Obiecuję osobną rozmowę o sądach, ale ciekawi mnie ta przestrzeń debaty publicznej. Do roku 2015 mieliśmy układ domknięty: trzy telewizje mówią jednym głosem, prokuratury i sądy nie były mniej upolitycznione (vide: afera w Warszawie), a duża część opinii była na marginesie debaty. Rok 2015 – przy wszystkich ułomnościach – przyniósł zmianę na lepsze.

Dobrze, ale rozłóżmy to na czynniki pierwsze. Weźmy media publiczne. Gdyby było tak wspaniale, jak pan mówi, to nie byłoby np. listu Roberta Mazurka do Danuty Holeckiej, nie byłoby tak mocnej i coraz powszechniejszej krytyki TVP.

Możemy porozmawiać o jakości TVP, ale oferta medialna jest dziś szersza. Wiosną 2015 r. mieliśmy front jednolitego przekazu.

Musimy się zrozumieć. Nie bronię wszystkiego tego, co było wcześniej, ale odnoszę swoją opinię do misji, jaką media publiczne powinny pełnić zgodnie z konstytucją oraz ustawą o radiofonii i telewizji.

Media prywatne też mają pewne obowiązki, korzystają z dóbr publicznych, koncesji, rynku reklam.

Ale nie mają dokładnie tak samo sformułowanego obowiązku misji publicznej. To jest bardzo jasno zapisane w ustawie. Rozumiem jednak, że pije pan do tezy: mamy TVP, mamy TVN, więc to się jakoś wyrównuje.

Mniej więcej.

Tylko że rola mediów publicznych w państwie jest inna, są finansowane z pieniędzy podatników i mają dodatkowe obowiązki wobec całego społeczeństwa, nigdy nie powinny służyć tylko jednej partii. Nie bez przyczyny podajemy przykład BBC jako pewnego wzoru.

Mnie też czasem zęby bolą, jak oglądam „Wiadomości" czy „Fakty", ale proszę pana o refleksję w szerszej perspektywie. Przed rządami PiS mamy sytuację domykania rynku

eprasa.pl 5a1adb7661

Fot. Andrzej Wiktor

medialnego, niewygodne tytuły ukręcane są przy śmietniku w rozmowach polityków z oligarchami medialnymi. A pan dziś podnosi alarm, bo Eliza Michalik odchodzi z Superstacji. Chodzi o proporcje.

Mój tweet na temat redaktor Michalik to inny kłopot. To temat, który powinienem był poruszyć w jakimś dłuższym i poważnym tekście, a nie poprzez jeden wpis na Twitterze. Nie chodzi mi konkretnie o obronę pani Elizy Michalik...

... gdyby był pan konsekwentny, to zwróciłby pan też uwagę, że TVP zakończyła współpracę z Wojciechem Cejrowskim.

Reagowałem w sprawie redaktora Memchesa, w sprawie Olszańskiego...

Proszę, nie grajmy w ping-ponga. Jest pan inteligentny, wie pan, o co mi chodzi.

Dziękuję. Pan też jest inteligentny, więc proponuję spojrzeć na sprawę jako na pewien proces. Obserwując przykład Węgier, widzimy, jak poszczególne przestrzenie do dyskusji były obcinane. Obecnie nie ma tam mediów niezależnych od ośrodka rządowego, a jeśli już, to są one rozrywkowe albo działające gdzieś na marginesie prasowym jako pojedyncze listki figowe.

Ale to właśnie rok 2014 w Polsce! Dwa krytyczne wobec władzy portale, dwa tygodniki, jedna niewielka telewizja. A dzisiaj zmienia się profil prywatnej stacji o zasięgu 0,15 proc. i mówi pan o kurczącej się dyskusji. Litości.

Dobrze, ale bądźmy uczciwi. Tematem wolności mediów zajmuję się na poważnie od 2006 r. Zaczynałem w Fundacji Helsińskiej, z mojej inicjatywy powstało Obserwatorium Wolności Mediów. Prowadziliśmy liczne debaty na temat mediów lokalnych, artykułu 212 w Kodeksie karnym, a nawet sprawy wolności w kontekście kapitału właścicieli. W rankingu Reporterów bez Granic poszliśmy wtedy do góry, a teraz znów w dół...

Metodologia tego rankingu to temat na osobny wywiad.

Być może, ale na razie nie ma innego rankingu. Ponadto jeśli chodzi o wolność mediów, to warto zwrócić uwagę na pogarszającą się sytuację lokalnych redakcji. Ograniczenie wydawania prasy przez samorządy jest bardzo ważne, bo to betonuje lokalne układy i układziki.

Zgoda. Moje pytanie dotyczyło szerszej perspektywy.

Jak już powiedziałem, do sytuacji mediów i przestrzeni do debaty przed rokiem 2015 nie podchodzę bezkrytycznie. To nie jest dla mnie ten wzór i punkt odniesienia. Ale nawet z tego, co pamiętam, prawicowi publicyści mieli przecież programy w mediach publicznych...

Jeden Jan Pospieszalski. Jako listek figowy, przenoszony co tydzień bliżej północy, a później wysłany do TVP Info.

A Bronisław Wildstein?

Wycięty przez Platformę bardzo szybko.

No dobrze. To może opowiem o moich doświadczeniach. Pracowałem w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, zajmowałem się tam tematami nietypowymi i trudnymi – jak więzieniami CIA, jak sprawami kibiców, aresztów etc. Przez wiele lat nie miałem jednak poczucia, żeby mnie jakieś medium specjalnie nie zapraszało. Mogliśmy być maksymalnie krytyczni wobec rządu, ale nie odczuwaliśmy problemu z medialną komunikacją.

Mówi pan o pojedynczych drzewach, a ja o lesie, który tworzyli panowie Graś czy Hajdarowicz jako naczelnodaktorzy.

Ale przyzna pan, że sytuacja, w której przedstawiciel organizacji pozarządowej, krytyczny wobec władzy, chodzi do mediów publicznych, to jest jednak sytuacja bliższa pewnej normalności i dbania o rzetelność informacyjną.

Tak. Ale z szerszej, bardziej politycznej perspektywy to było Komorowski Info – cytowany przez pana Robert Mazurek używa tego określenia.

Mówię tu o faktach i moich doświadczeniach. Co do innych ocen zostawmy to może widzom i czytelnikom?

Pozwoli pan na historię sprzed dekady?

Bardzo proszę.

eprasa.pl 5a1adb7661

Rok 2008, Piotr Gontarczyk ze Sławomirem Cenckiewiczem piszą książkę o agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy. Spada na nich lawina oskarżeń, premier chce wysyłać kontrole na uczelnie, gdzie magistranci piszą o Wałęsie. A pana środowisko – HFPC – dociska ich jeszcze bardziej, wysyła pisma do PAN z prośbą o interwencję, dołącza się do nagonki.

Skoro o tym mówimy, to pamięta pan wpis Sławomira Cenckiewicza? Napisał, że Bodnara pamięta, bo wyzywano go wtedy od robactwa. To absolutne nadużycie, jakaś manipulacja, gra słów, tym bardziej absurdalna, że ja nigdy nie używam takich słów i nie miałem z tym nic wspólnego. Gwoli ścisłości, nie było to oświadczenie Fundacji, ale Komitetu Helsińskiego.

Przecież to bez większej różnicy.

Oczywiście, nie chcę się bynajmniej odcinać, bo to moja grupa ideowa, chodzi tylko o to, że nie zajmowałem się tym osobiście. Także dlatego, że byłem w tamtym czasie bardzo młodym człowiekiem, dopiero zaczynałem swoją działalność publiczną.

Proszę przewertować cytaty. Na przykład ówczesny wicemarszałek Sejmu pan Niesiołowski solidnie dorzucał do pieca.

Rozumiem, ale nigdy nie podzielałem ani nie podzielam tego stylu. Sam zawsze staram się unikać słów obraźliwych, nie wchodzić w osobiste połajanki, raczej nawołuję do umiarkowania i dialogu.

> Do sytuacji mediów i przestrzeni dla debaty publicznej przed rokiem 2015 nie podchodzę bezkrytycznie. To nie jest dla mnie ten wzór i punkt odniesienia

Nie tego dotyczy oskarżenie. Chodzi o perspektywę. Czy po latach przyzna pan, że tego rodzaju zaangażowanie HFPC było błędem?

Mogę odpowiedzieć jedynie w ten sposób: 11 lat później wszyscy jesteśmy mądrzejsi i mamy inną perspektywę, inaczej patrzymy na pewne rzeczy. Podam może przykład z innej parafii: w tym roku 4 czerwca brałem udział w debacie na temat kosztów transformacji; tego, kto zyskał, kto stracił, kto został zapomniany, kto był ofiarą. To była trudna rozmowa, bo łatwo nam, młodszym ludziom, mądrzyć się po 30 latach tego procesu, ale gdy ktoś był głęboko zaangażowany w roku 1989, to ma prawo mieć inną perspektywę.

Ja to wszystko rozumiem, namawiam tylko pana do nieco innej perspektywy, naciskam pana prawe oko. To naprawdę nie była idealna demokracja.

Idealna? Nie była, tu się zgodzimy. Problem w tym, czy obecnie ją poprawiamy, czy bardziej psujemy. A jeśli chodzi o przeszłość, to pamiętam, że gdy mieliśmy w fundacji interwencję ws. akcji służb we „Wprost", przy zabieraniu laptopa Latkowskiemu, to miałem głosy ze strony proprezydencko-rządowej: „Po co się tym zajmujecie?!".

Właśnie. Zostawmy to. Po co bronił pan Jakuba A.? Nie można było najpierw poprosić policji o wyjaśnienia?

Uznaliśmy, że trzeba reagować szybko, bo już na podstawie posiadanych informacji widzieliśmy zagrożenia z punktu widzenia praw zatrzymanego, w tym przede wszystkim prawa do godności. Widać było też zastosowanie przez policję nieproporcjonalnych środków, noszących znamiona poniżającego traktowania.

Jest pan pewien? Takich filmów z wyprowadzania podejrzanych jest sporo – i to we wszystkich serwisach informacyjnych.

Możliwe, ale nie natknęliśmy się na aż tak radykalny przykład. Jeśli już, to podejrzani byli raczej ubrani.

Nie przemawiają do pana argumenty, że nie zawsze policjanci mogą dać się spokojnie ubrać, bo gdyby coś się stało, to posypałyby się gromy, że są nieporadni, nieskuteczni?

W tym konkretnym przypadku interwencja była przygotowana, policjantów było dziesięciu. Jeżeli chodzi o ubranie się, to jeżeli musieli to zrobić, to mogli chociaż narzucić koc. Rozmawiałem ze specjalistami z kryminalistyki; nie zmieniłoby to w żaden sposób zasobów dowodowych. Dochodzi sprawa braku adwokata czy publikacji wizerunku zatrzymanego. Będę bronił tego oświadczenia.

I nawet jeżeli ktoś jest niemal pewnym sprawcą zbrodni, to pan musi stanąć w jego obronie?

Dokładnie tak uważam. Poza tym, wie pan, w tym samym czasie mieliśmy dość podobną historię z Olecka, gdzie mężczyzna po jakimś czasie został jednak zwolniony przez prokuraturę. Musimy szanować prawa każdego – niezależnie, kogo dotyczy historia.

Pieniędzy na to wystarczy? Co rusz mamy historię sporów o budżet RPO.

To wyjątkowo przykra historia nieuczciwego postępowania władzy wobec obywateli. Nie będę tu rzucał liczbami, ale proszę mi wierzyć, budżet Biura RPO jest systematycznie, realnie obcinany. Płace zatrzymały się wiele lat temu, gdzieś ok. 2008 r. A w tym czasie nakłada się na urząd nowe zadania, m.in. KMPT, monitorowanie wdrożenia zasady równego traktowania i Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych czy od ubiegłego roku rozpatrywanie wniosków o skargę nadzwyczajną do Sądu Najwyższego. I to wszystko bez dodatkowych środków. A przecież co roku spływa do nas kilkadziesiąt tysięcy skarg od obywateli, którym staramy się pomóc. Nie poddajemy się, nawet w tych skrajnie pogarszających się warunkach nie opuścimy nikogo w potrzebie.

eprasa.pl 5a1adb7661

Liceum, którego nie ma

Głośne nawoływanie, że każdy uczeń znajdzie miejsce w liceum, to edukacyjny populizm i strzał w stopę. Chyba taniej byłoby go zastąpić zwyczajnym sprzedawaniem świadectw maturalnych

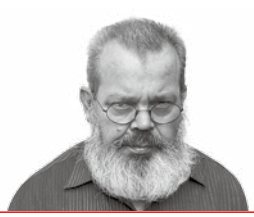

ALEKSANDER NALASKOWSKI

Dzisiejszy spór o rekrutację do szkół średnich ogranicza się w zasadzie do wskazywania winnych. Bo toczy się wszak kampania wyborcza, a młodzież to niezwykle wrażliwy temat. Właśnie w przededniu przeróżnych wyborów troszczymy się o młodzież najbardziej. Potem nam to bezboleśnie mija, bo polityczna walka przenosi się w zupełnie inne rejony.

Dziwić musi to, że w tym sporze znalazło się sporo polityków, dziennikarzy i innych tzw. ekspertów od amatorskich teoryjek edukacyjnych, a nie było tam pedagogów akademickich, których wśród popierających strajk nauczycielski jakoś specjalnie nie brakowało. To potwierdza tylko przypuszczenie, że obecna pedagogika (w przeciwieństwie do tej międzywojennej) rzadko próbuje rozwiązywać rzeczywiste problemy edukacji, pławiąc się najchętniej w marginaliach ulokowanych na manowcach prawdziwych zmagań o edukację. Nazwiska osobistości pedagogiki, jak Sośnicki, Hessen czy nawet młody wówczas Suchodolski, znajdujemy wśród najżarliwszych dyskutantów o kształt polskiej oświaty okresu międzywojnia. Poszukiwano optymalnej koncepcji szkoły, ale posługiwano się przy tym głęboką jak Rów Mariański i szeroką jak Atlantyk wiedzą teoretyczną, znajomością przeróżnych koncepcji kształcenia. Rzecz dzisiaj, nawet na profesjonalnych sympozjach akademickich, niemal niespotykana. Misja pedagoga akademickiego uległa istotnej zmianie. Badacze zajmują się wyłącznie tym, co ich interesuje, pozostawiając na marginesie rozwiązywanie problemów rzeczywistych. Może też dlatego byłem po 1989 r. jednym z nielicznych pedagogów badaczy, którzy zdecydowali się na utworzenie własnego laboratorium, czyli niepublicznej szkoły, a na pewno jedynym z habilitacją.

Piszę o tym nie bez przyczyny. Bo naukowa samodzielność (czyli habilitacja właśnie) była i jest przepustką do zajmowania się problemami nierzadko tak wydumanymi, że aż nieważnymi, i zwalniała od zaangażowania w realny kształt polskiej szkoły. Zapewne dlatego ministrami edukacji zostawali specjalista od prawa rolnego, adwokat, inżynier od mechaniki, chemik, filolog klasyczny czy dziennikarka. To pokazuje z jednej strony sposób traktowania edukacji, a z drugiej moc sprawczą i siłę przebicia zawodowych pedagogów. Zaangażowanie w praktykę było więc rodzajem autodegradacji, bo prawdziwy uczony pedagog zajmuje się tożsamością płciową nauczycieli, seksualnością niepełnosprawnych, wielokulturowością, tolerancją, poszukiwaniem humanistyki w pedagogice czy ambiwalencją. To oczywiście ironia. Ale w rzeczy samej pedagogów mających do zaoferowania szkole coś ważnego jest dramatycznie mniej niż ludzi z tytułami naukowymi. Nie dziwi zatem, że gdy jako trzydziestoparolatek zostawałem dyrektorem instytutu, to

eprasa.pl 5a1adb7661

ówczesny dziekan wyraźnie sugerował, że powinienem odejść z własnej szkoły, bo to nie przystoi powadze funkcji. Tworzenie szkoły odbierało zatem powagę mówieniu o szkole na wykładach? Interesujące, prawda?

Obecny kryzys licealny nie wziął się znikąd. Jest konsekwencją całego splotu procesów, które zapętlone stanowią istny węzeł gordyjski. Co gorsza, niewielu próbuje ten węzeł rozsupłać lub przeciąć, bo większość zainteresowanych go bodaj nie widzi, chociaż się o niego potyka i wywraca. Można go scharakteryzować w punktach, co poniżej spróbuję zrobić.

NIEOKREŚLONOŚĆ WYKSZTAŁCENIA OGÓLNEGO

Już przed wojną trwały głębokie dyskusje prowadzone przez filozofów i pedagogów (chociaż po prawdzie różnica między nimi była wtedy płynna), co oznacza termin „wykształcenie ogólne", co ma stanowić jego rdzeń i zawartość, a co podbudowę. Po wojnie spory te prowadzili głównie uczniowie uczniów szkoły lwowsko-warszawskiej, chociaż nie tylko oni. Duży, chociaż wciąż mało znany, wkład do tej dyskusji wnieśli doc. Maria Lipowska z UMK, uczennica wielkiego Kazimierza Sośnickiego, a także mój ojciec Stanisław pochodzący z tej samej szkoły. Z tych rozważań wyłania się obraz liceum, szkoły średniej ogólnokształcącej jako „małej akademii", czyli miejsca zgłębiania wiedzy o świecie w całej jej złożoności i różnorodności. Twórcy międzywojennej koncepcji wykształcenia ogólnego wychodzili z założenia, jakże aktualnego i dzisiaj, że szkoła podstawowa winna uczyć centralnych kompetencji kulturowych, czyli pisania, czytania i liczenia w języku ojczystym, natomiast w starszych klasach (wówczas ekstrapolowano to także na gimnazjum) winna umieć wskazywać obszary wiedzy, ich wzajemne relacje i strukturę. Natomiast wypełnianie ich szczegółową treścią miało następować w starszych klasach gimnazjum i w liceum. Słusznie dostrzegano, że jest to ostatnia okazja, aby dać ogólny, szeroki ogląd świata. Studia wyższe go już mocno zawężają, rzucają nań światło specjalistyczne.

Moje pokolenie, ale także ci nieco młodsi, pamięta, że do liceum zdawało się egzamin i tylko najlepsi byli z niego zwolnieni

Po wojnie funkcje gimnazjum przejęły starsze klasy szkoły podstawowej jednolitej i pierwsze klasy czteroletniego liceum. Po wprowadzeniu ośmioklasówki liceum miało się zająć tylko swoją właściwą funkcją, czyli budowaniem szerokiej wiedzy ogólnej. Był to też sposób na odtwarzanie zasobów inteligencji, grupy poddanej szczególnej eksterminacji przez niemieckich najeźdźców.

W chwili obecnej spory o zadania liceum ogólnokształcącego i kształt wiedzy ogólnej na poziomie akademickimi w zasadzie nie istnieją, a licea robią wiele, aby od ogólności odstąpić i o niej zapomnieć. Pojęcie „małej akademii" zostało już zupełnie rozmyte, a przypisanie im kreowania nowych pokoleń polskiej inteligencji może wywołać konsternację.

ZMIANA REGUŁ, ZMIANA SZKOŁY

Moje pokolenie, ale także ci nieco młodsi, pamięta, że do liceum zdawało się egzamin i tylko najlepsi byli z niego zwolnieni. W trosce o wysoki poziom nauczania, uzależniony mocno od „materiału wyjściowego", do liceum trafiali ci najlepiej rokujący. Oczywiście przedstawianie tej strategii jako idealnej byłoby nieuzasadnionym uogólnieniem. Ale prawdą jest, że wielu chętnych odchodziło z kwitkiem. Skończyło się na tym, że do liceum wystarczy się zapisać. Bo czymże innym jest obiegająca media informacja o nadmiarze miejsc, jeśli nie wskazaniem, że nie wyniki, lecz wola nauki w liceum decyduje. Ostatecznie wszyscy, a przynajmniej większość z obecnych kandydatów za kilka lat otrzyma świadectwa maturalne i zapisze się na studia. Na tym poziomie jakakolwiek selekcja występuje tylko na nielicznych kierunkach. Ma się to zmienić za sprawą ustawy 2.0, ale poczekamy, zobaczymy. Bo w końcu są godziny, pensum, nadgodziny – a to wszystko w sporej mierze zależy od liczebności naborów na uczelnie. Ograniczenie limitów przyjęć w sposób zasadniczy wzmocni pozycję uczelni niepublicznych. I nie tylko tych najbardziej znanych, ale tych małych, zatrudniających

eprasa.pl 5a1adb7661

partyjnych emerytów, byłych oficerów politycznych LWP czy przyuczonych, przypadkowych wykładowców.

A wszystko za sprawą idei, a właściwie utopii, upowszechnienia wykształcenia średniego i w następstwie wyższego. To trwałe dziedzictwo propagandy sukcesu okresu gierkowskiego, a potem likwidacji resztek niezależnego myślenia obecnego wśród młodzieży licealnej w okresie „nocy Jaruzelskiego". Wówczas dochodziło do łączenia liceów w tzw. zespoły szkół. Tak powstawały molochy zawodowo-ogólnokształcące, które ledwie zdążyły się otrząsnąć z tego eksperymentu, a już zamieniły się w trzyletnie licea będące kursem przygotowawczym do testu końcowego. I tak zniszczyliśmy własną szkołę i własną tradycję.

INNA SZKOŁA, INNE POKOLENIE

Niedawny niż demograficzny i mnogość liceów spowodowały, że nie uczeń walczył o miejsce w szkole, ale szkoła zabiegała o ucznia, a to z kolei wykoleiło pojęcie i istotność wykształcenia ogólnego. Stało się ono anachroniczne. Zwłaszcza jego humanistyczna część. Ogólność wykształcenia trąciła myszką, co za kilka dekad miało się zemścić namnożeniem analfabetów ortograficznych, historycznych czy kulturalnych. Jeszcze w latach 70. słynna reforma Kuberskiego wprowadziła profile klas w liceach. Były klasy humanistyczne (z łaciną), klasy matematyczno-fizyczne i klasy ogólne. Potem wprowadzono profil biologiczno-chemiczny. To był pierwszy błąd! Nie należało tego robić, można było zostawić na zasadzie eksperymentu w niektórych szkołach klasy profilowane, ale nie czynić regułą powszechną. Złamano bowiem istotność i spójność wykształcenia ogólnego. Po latach mamy „ogólnokształcące" dziwolągi, które trudno nazwać inaczej niż idiotyzmami. W ofertach liceów są klasy o profilu informatyczno-menedżerskim, biznesowym, biznesowo-bankowym, teatralnym, ale też ratowniczo-turystycznym, policyjno-prawnym, społeczno-prawnym, matematyczno-lingwistycznym i inne tego typu kurioza. Najczęściej są to zwykłe wabiki, bo już sama formuła ogranicza jakąkolwiek szerszą transmisję wiedzy specjalistycznej. Ale za to jakże ładnie to brzmi, jak nowocześnie. I tak doniosłość oraz ważność wykształcenia ogólnego, z którego mogły być dumne poprzednie pokolenia, uległa ostatecznemu rozmyciu i zatarciu, a liceum ogólnokształcące stało się polem realizacji ambicji dyrektorów wyścigu do miana szkoły elitarnej, obowiązkowo ścigającej się w rankingach. Owe starania o atrakcyjność, zabieganie o uczniów skutecznie jednak tę elitarność anihilują. Atrakcyjne, a czasem udziwnione nazwy profili, fasadowe działania na zewnątrz mają bowiem zastąpić mechanizm selekcyjny, który w dużej mierze zapewniał szkole jakość. Głośne nawoływanie, że każdy uczeń znajdzie miejsce w liceum, to edukacyjny populizm i strzał w stopę. Chyba taniej byłoby go zastąpić zwyczajnym sprzedawaniem świadectw maturalnych, jak towaru, który „się wszystkim należy".

> Liceum ogólnokształcące to obecnie szkoła bez wizerunku, bez właściwości. Filozoficzna mądrość ogólności została wyśmiana i zastąpiona „europejskością"

LICEA ELITARNE, SZKOŁY RENOMOWANE

To wielki honor móc uczyć i uczyć się w szkole uznanej za elitarną albo przynajmniej renomowaną. Zwłaszcza gdy taką szkołą jest liceum ogólnokształcące w dużym albo wielkim mieście. Tyle że znakomity, potwierdzany wynikami w testach zewnętrznych, poziom tych szkół nie zawsze, a właściwie w znakomitej mniejszości, jest rezultatem pracy pedagogicznej. Kilka lat temu przy pomocy kilkorga współpracowników dokonałem rozpoznania procesu dydaktycznego w takich szkołach. Badanie było dwuetapowe. Najpierw wysondowaliśmy, które szkoły (w czterech dużych ośrodkach akademickich) są uznawane przez uczniów ostatnich klas gimnazjów za renomowane, a następnie uczniów tychże szkół dokładnie odpytaliśmy, jaki jest przebieg poszczególnych lekcji. Szkół było 20. Otóż okazało się, że proces dydaktyczny był w przytłaczającej mierze zdominowany przez zadawanie i odpytywanie. W niewielkim stopniu i tylko w zakresie niektórych przedmiotów polegał na wykładzie nauczycielskim, mozolnym tłumaczeniu zawiłości czy odpowiadaniu na pytania. Tak naprawdę dzieciaki uczyły się same, a nauczyciele byli permanentnymi sprawdzaczami, czy im to dobrze wychodzi. O ile nie ma innego sposobu, jak wkuć słówka z języka obcego czy z geografii nazwy rzek, o tyle zadawanie do samodzielnego opanowania procesów historycznych czy specyfiki okresów literackich wydaje się absolutnym niezrozumieniem idei szkoły. Tutaj pojawia się, jakże często animowany przez szkołę, wyścig szczurów, wszechobecne korepetycje, nerwice żołądka i liczne (chociaż będące tajemnicą poliszynela) sugestie, żeby „syn poszukał sobie innej szkoły".

Szkoła renomowana czy elitarna to nader często szkoła stojąca dokręcaniem śruby i własnym zarozumialstwem jako metodami dydaktycznymi. Dzieciaki kandydaci sądzą, że dobre wyniki wyrażane procentami testowymi to zasługa szkoły i jej kompetencji dydaktycznych, a tymczasem to jakże często wyłączna zasługa uczniów i ich rodziców.

Jest bowiem spora grupa uczniów, których rodzice, tradycja rodzinna, rodzeństwo, nauczyli systematycznej pracy, którym przekazali kult rzetelności, szacunek dla wiedzy. Im nawet najbardziej renomowana szkoła nie zaszkodzi. W każdej będą dobrymi uczniami. Ale jest spora grupa młodzieży, zwłaszcza z małych ośrodków i ze wsi, która oczekuje, że ją ktoś nauczy, że

Fot. Magdalenagalkiewicz/Shutterstock.com

eprasa.pl 5a1adb7661

Obecnie do liceum wystarczy się zapisać. Wszyscy, a przynajmniej większość do nich uczęszczających, za kilka lat otrzyma świadectwa maturalne i zapisze się na studia

Fot. Shutterstock

ktoś w istocie da szansę na rozwinięcie uzdolnień, których w domu rozwinąć szansy nie miała. I tę grupę elitarna placówka może bardzo rozczarować. A jest to wciąż ogromny potencjał. Ale wiadomo – wiocha w Warszawie nie ma czego szukać.

BEZ IDEI I PERSPEKTYW

Zadziwiająco mało miejsca w dyskusjach nad koniecznością zreformowania oświaty zajmuje kwestia właściwego, a tak naprawdę jakiegokolwiek wyrazistego, kształtu liceum ogólnokształcącego. To obecnie szkoła bez wizerunku. Szkoła bez właściwości. Filozoficzna mądrość ogólności została wyśmiana i zastąpiona „europejskością". Wystarczy popatrzeć na strój licealistów, posłuchać ich języka, wysondować ich wiedzę o świecie, aby się o tym przekonać. Jestem w tej sytuacji, że od lat prowadzę zajęcia ze studentami pierwszych lat i corocznie mogę zaktualizować stan ich wiedzy, albo lepiej – niewiedzy. Bywa naprawdę paraliżujący.

Reforma i uzdrowienie liceów mogą nastąpić jednak tylko przy zreformowaniu całego systemu edukacji. Wiara w to, że reforma Gowina odmieni oblicze polskiej nauki bez dogłębnej rewizji systemu edukacji, jest naiwnością. Tu jest jednak pewien problem – ten proces musi być zaplanowany na minimum 10–15 lat. Inaczej się po prostu nie da. Tworzenie miraży, że to kwestia roku lub dwóch, jest albo niekompetencją urzędników i polityków, albo służącą doraźnym celom nieuczciwością. Ale to temat na oddzielny opis.

Pozostaje jeszcze kwestia wychowawczej funkcji liceum. Wydaje się ona zapomniana. Przedwcześnie traktuje się tę młodzież jako dorosłą i ukształtowaną. Taką, której już wychowywać nie trzeba. Tę funkcję bardzo chętnie, chociaż nieświadomie, przejmują grupy rówieśnicze, a także wszelkiej maści uzdrawiacze społeczni. Nie brakuje więc w szkołach średnich rozmaitych trenerów, coachów czy innych zapiewajłów ideologii LGBT, lewackości, ateizmu czy multikulti. Pogoń placówek za nowoczesnością plus niefrasobliwe albo wynikające z nieuctwa decyzje władz lokalnych coraz szerzej otwierają drzwi do ogólniaków tym zupełnie nowym „wychowawcom" młodzieży. W jakiejś mierze może to zwalniać pedagogów od dawania przykładu czy podejmowania działań wychowawczych. Permisywizm obyczajowy, fetysz prywatności ucznia powodują, że obowiązujący w szkole zakaz palenia przestaje często działać tuż za jej furtką i na oczach nauczycieli.

Kwestia rozwoju społeczeństwa i jego pomyślności, ale także pozycji na arenie międzynarodowej ma swoje korzenie w tym, co nazwano tu wykształceniem ogólnym. Tylko na tak umocnionych i dobrze skonstruowanych fundamentach można osiągać rezultaty w wysoko specjalistycznych dziedzinach życia, nauki, przemysłu. To, co nas często drażni u posłów, polityków, dziennikarzy czy celebrytów, to brak ogólnokształcącej kindersztuby, fatalna polszczyzna i nieznajomość faktów historycznych czy kamieni milowych kultury. Można być bowiem sprawnym banksterem, ale ośmieszyć się na zawsze „sześcioma królami". Jeśli dobra zmiana chce przejść do historii nie jako efemeryda i miły epizod, ale jako wielki początek odbudowy, musi chętniej i z większym pietyzmem zająć się najmłodszym pokoleniem i szkołą. A tutaj wiele ścieżek prowadzi do czekającego na odbudowę liceum ogólnokształcącego. I nie idzie tu bynajmniej o powrót do starego kształtu, ale o wymyślenie go po prostu na nowo. Byle sensownie.

eprasa.pl 5a1adb7661

Russell Crowe, zmieniony nie do poznania, portretuje republikanina Rogera Ailesa, znienawidzonego przez amerykańskie liberalne elity szefa pierwszej prawicowej stacji w USA

Gladiator w Fox News

Fot. Denis Makarenko/Shutterstock.com

eprasa.pl 5a1adb7661

ŁUKASZ ADAMSKI

To jedna z tych liberalnych produkcji, które mają opowiedzieć liberałom o sukcesie „tych strasznych konserwatystów". Nieraz pisałem, że liberalni amerykańscy filmowcy próbują przy tym być wyważeni, mimo eksponowanej niechęci do pokazywanego obozu politycznego. Próbują zrozumieć posunięcia bohatera i dojść do sedna jego motywacji

Russell Crowe (po lewej) jako Roger Ailes i Simon McBurney w roli Ruperta Murdocha na planie serialu „Na cały głos"

Fot. JoJo Whilden/SHOWTIME x2

To wiele w kraju tak spolaryzowanym politycznie jak USA. Tak było w znakomitym „Nixonie" Olivera Stone'a, ale również (choć już w znacznie mniejszym stopniu) w jego pamfletowym „W". Również Adam McKay we wściekle antyprawicowej satyrze „Vice" chciał pokazać zdiabolizowanego przez lewicową prasę Dicka Chaneya jako człowieka, a nie komiksowego villaina. „Chcieliśmy opowiedzieć tę historię tak uczciwie i prawdziwie, jak tylko umieliśmy. Nikogo nie demonizowaliśmy. Mając w filmie Christiana Bale'a, Amy Adams, Steve'a Carella i Sama Rockwella, jestem pewny, że wtłoczyli oni w swoje postaci człowieczeństwo. To bardzo ważne. Dlaczego? Bo widownia nie tylko powinna się skupiać na faktach, lecz również przywiązać do postaci. Dziś zapominamy, że wszystkie wielkie, historyczne zmiany dzieją się przez ludzi" – mówił McKay w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem dla „Sieci".

Miniserial „Na cały głos", nadawany właśnie przez HBO GO, wpisuje się w ten sposób narracji. Jest to oczywiście produkcja uderzająca w obóz republikanów, pokazująca amerykańską prawicę jako pełną makiawelicznych, przebiegłych i bezwzględnych typów. Jednak wpływowy producent telewizyjny, szef stacji Fox News, Roger Ailes w wykonaniu otyłego i totalnie przemienionego dzięki znakomitej charakteryzacji Russella Crowe'a (wyglądem przypomina Christiana Bale'a w roli Chaneya w „Vice") jest tutaj nie tylko cynicznym graczem, lecz również ideowcem. Amerykanie są mistrzami we wchodzeniu za kulisy swojej polityki. Nawet jeśli nie zgadzamy się z ideologicznym przekazem twórców tego politycznego kina, to trudno im odmówić pasji w opowiadaniu o swoich przywódcach. Russell Crowe (to niesamowite, że ten otyły facet był niegdyś „Gladiatorem") nie imituje Ailesa. Widać w każdej scenie, że próbuje go zrozumieć i oddać jego osobowość. Zarówno jej ciemną, jak i jasną stronę.

Kinomani, którzy interesują się polityką, będą mieli wielką frajdę, oglądając lubianych aktorów w rolach osób znanych z telewizji. Poza Russellem bardzo ciekawe role tworzą: komik Seth MacFarlane, Naomi Watts czy Sienna Miller. Nie parodiują znanych postaci ani nie stygmatyzują, co jest tak nagminne w pokazywaniu polityków choćby w Polsce.

MAKIAWELICZNY POLITYK

Roger Ailes zmarł w wieku 77 lat w maju 2017 r. Wcześniej musiał odejść z funkcji szefa Fox News po oskarżeniach o molestowanie seksualne wobec pracownic stacji. Podobno spadł na cztery łapy, dostając 40 mln dol. odprawy. Ailes to ważna postać w obozie republikanów. Był konsultantem do spraw mediów w administracjach Richarda Nixona, Ronalda Reagana i George'a H.W. Busha. Na początku 1996 r. przyjął propozycję potentata medialnego Ruperta Murdocha, by stworzyć telewizję, która miałaby konkurować z CNN. Prawicowa odpowiedź na liberalną narrację większości amerykańskich mediów prędko stała się najsilniejszym telewizyjnym graczem w USA. To Ailes stał za karierą dzisiejszych gwiazd prawicowej telewizji takich jak Sean Hannity, który po jego śmierci napisał, że Ameryka „straciła jednego ze swych wielkich patriotycznych wojowników".

„Happy Holidays" – mówi kelnerka do objadającego się w typowym amerykańskim dinerze Ailesa. Ten zniesmaczony odpowiada jej „Merry

eprasa.pl 5a1adb7661

Christmas". Ta krótka scena wyraża całą politykę twórcy potęgi Foxa. Nie przez przypadek jedną z pierwszych decyzji Donalda Trumpa po zdobyciu prezydentury było przywrócenie choinki przed Białym Domem i słów „Merry Christmas" na prezydenckich pocztówkach. Było to symboliczne posprzątanie po politycznie poprawnej ekipie Baracka Obamy.

To niesamowite, że ten otyły facet był niegdyś „Gladiatorem"

Na końcu trzeciego odcinka serialu Ailes mówi do mieszkańców miasteczka Warren w Ohio, gdzie sam się wychował, że Ameryka znów musi być wielka. Mówi to do sfrustrowanych Amerykanów oczekujących zmiany, pozbawionych pracy w fabrykach, które przeniosły się do rajów z tanią siłą roboczą. Część z nich nadzieję widziała w krzyczącym o „zmianie" Obamie. Ailes zupełnie szczerze uważał, że Obama to niebezpieczny socjalista chcący redystrybuować bogactwo niczym... Stalin. Nie na tym ma polegać według niego wielkość Ameryki. Ona ma polegać na patriotyzmie, wolnym rynku i wierze w Boga. Mimo uwypuklonych przez twórców serialu (jednym z nich jest zdobywca Oscara za „Spotlight" Tom McCarthy) osobistych wad twórcy potęgi Fox News (romanse, molestowanie podwładnych), nie jest ten serial pozbawiony uczciwego spojrzenia na jego szczery patriotyzm.

SZCZERY PATRIOTA

„Nigdy nie pozwól, by flaga dotknęła ziemi" – mówi, pokazując, jak codziennie rano i wieczorem wieszać i zdejmować z masztu przy domu amerykańską flagę. To samo kiedyś usłyszałem od mojego amerykańskiego przyjaciela – patrioty i wyborcy Trumpa. Taki patriotyzm jest solą amerykańskiej ziemi. Prosty, wychodzący z wychowania w domu i tradycji wyrażanej w symbolice. Do ludzi manifestujących taki patriotyzm została stworzona telewizja Fox News.

Brytyjski król tabloidów Rupert Murdoch zatrudnił byłego doradcę trzech amerykańskich prezydentów przez jego związki z politykami. Jednak Ailes od początku miał konkretny plan na budowę prawicowej telewizji, która nie tylko reprezentowałaby poglądy odtrąconej przez CNN widowni, lecz wręcz przejęłaby większość rynku. „60 proc. społeczeństwa uważa, że media kłamią. Ponad połowa Amerykanów ma konserwatywne poglądy. Wszystkie media mają lewicowe nachylenie. OK, niech sobie mają. My weźmiemy tę drugą połowę" – peroruje w serialu charyzmatyczny Ailes. Wymyśla hasło o obiektywności przekazu w Fox News i wpada na pomysł, by je wykrzykiwać widzom. Ma być głośniej niż w CNN, dobitniej i agresywniej.

Oczywiście spojrzenie na budowanie potęgi Fox News jest naznaczone ślepotą na lewe oko twórców „Na cały głos". Niespecjalnie chętnie widzą agresywny ton CNN czy MSNBC i innych lewicowych mediów wspierających przez lata demokratów. Zepsucie standardów debaty publicznej widzą tylko po jednej stronie. Naprawdę to tylko Fox News jest odpowiedzialne za tabloidyzację przekazu i agresywną publicystykę? CNN nie ma absolutnie żadnych trupów w szafie? Nie wymagam pełnego obiektywizmu od twórców serialu mającego obnażyć twarz jednego z bogeymanów z lewicowych bajek. Jednak minimum symetryzmu zawsze jest pożądane. W imieniu prawdy. „Ludzie nie chcą być informowani. Chcą się czuć, jak by byli informowani" – mówi w serialu Ailes, ujawniając tym samym swoje podejście do biznesu medialnego. „Idź pracować do Clinton News Network [CNN – przyp. Ł.A.]" – krzyczy na polityczną reporterkę sprowadzoną za ogromną pensję przez Murdocha. Zaraz jednak widzimy, że ten autorytarnie prowadzący telewizję potwór jest oddany swoim wartościom.

ZAWSZE NA WOJNIE

Gdy wyrachowany Murdoch na finiszu kampanii wyborczej zakopuje topór wojenny z maszerującym po zwycięstwo Obamą, upokarzając przy tym Ailesa, ten grozi odejściem. Kartą przetargową jest pełnia władzy nad przekazem Fox News. On z pełnym przekonaniem kazał podkreślać na antenie drugie imię Obamy, brzmiące wyjątkowo znacząco w czasie wojny z terroryzmem. To imię to Hussein. „Róbmy to z szacunku, jak w przypadku Martina Luthera Kinga – mówi bezczelnie, cicho dodając: – Albo Johna Wayne Gacy'ego [seryjny morderca i pedofil – przyp. Ł.A.]".On naprawdę uważał, że Obama jest socjalistą, który rozbije amerykańską gospodarkę i, tworząc „państwo niańkę", będzie zabijał amerykańskiego ducha.

„Na cały głos" najbardziej intryguje jako opowieść o rodzeniu się konserwatywnych mediów budowanych przez faceta, który zamiast narzekać, jak to „źli liberałowie go prześladują", w hegemonii lewicowo-liberalnej agendy dostrzegł szansę. „Przez 50 lat lewica budowała swoją narrację, by kontrolować przekaz. I wiecie co to spowodowało? Możliwości" – mówi. Chodziło mu o możliwość dania głosu milczącej większości i tym, którzy coraz bardziej alienowali się od liberalnych elit. On, poprzedzając erę Trumpa, dojrzał siłę populizmu.

Widać to było również po atakach z 11 września 2001 r., gdy jako jedyny zdecydował się pokazać Amerykanów skaczących z budynków WTC. „Niech świat zobaczy, co nam zrobili". Jego Fox News pierwsze głośno mówiło o Al-Kaidzie, gdy nie było pewność, kto dokonał zamachów. Gdy serialowy Murdoch tłumaczy mu, że to nie czas na robienie polityki, on ripostuje, że „to coś więcej niż polityka. To wojna".

Roger Ailes był na wojnie. Chciał zrobić coś przeciwnego, niż robi CNN. Według niego oni chcieli zadowolić cały świat. On chciał zadowolić Amerykanów. O tym jest ten krytycznie oceniający go i intrygujący serial.

eprasa.pl 5a1adb7661

Wczoraj, dziś, jutro?

Jak połączyć nowoczesność i tradycję. Jakim językiem mówić do Polaków, żeby dzieła były postrzegane jako swojskie, ale nie anachroniczne, żeby zachować więź z tradycją, lecz nie stracić kontaktu z dniem dzisiejszym? Spotkanie z pracami Ewy Urniaż-Szymańskiej to wędrówka po jej własnym tajemniczym świecie, pełnym napięć, kontrastów i aluzji.

Ewa Urniaż-Szymańska

Ewa Urniaż-Szymańska próbuje znaleźć rozwiązanie problemu w grafikach, które mówią o tym, co trwa i mija jednocześnie – o polskiej tożsamości. Wspomina o jej zakorzenieniu w historii, ale i o współczesnych zagrożeniach. Dlatego mimo eksperymentalnej, często wręcz zaskakującej, formy jej prace wydają się swojskie, są ważne i aktualne. Pokazują, że tożsamość to coś, co ostaje się w czasie, ale również czego trzeba bronić.

Już kilku krytyków porównało grafiki artystki do prac Goi. Koszmary Goi straszyły we śnie, gdy rozum spał. Koszmary uchwycone przez autorkę wylazły w Polsce wprawdzie nocą, ale opanowały dzień, zostały wprowadzone przeciw emocjom i marzeniom przez racjonalne umysły twórców stanu wojennego, zniekształcając rzeczywistość do dzisiaj.

Artysta plastyk i nauczyciel. Jest absolwentką Instytutu Wychowania Artystycznego na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie zgłębiała tajniki grafiki w pracowni prof. Danuty Kołwzan-Nowickiej, zakończone w 1982 r. dyplomem z zakresu litografii. Po studiach zajęła się pracą z dziećmi i młodzieżą oraz twórczością własną. Efektem tego był udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i Europie. Jej prace znajdują się w wielu prywatnych zbiorach. Przez pewien czas artystka związana była z grupą malarsko-teatralną skupioną wokół malarza Henryka Starzewskiego. Potem nawiązała współpracę z grupą Barbakan. Z natury jest jednak indywidualistką i najchętniej pracuje w zaciszu własnej pracowni pod Warszawą. Stale też współpracuje z galeriami w Wiedniu. Jej ulubioną techniką jest rysunek ołówkiem.

Święto Strzelca Konnego

Wachmistrz Kawalerii Ochotniczej Artur Brzozowski z Zamościa, jeżdżący w barwach 9 Pułku Ułanów Małopolskich, uzyskał najwyższą lokatę w pokazach władania lancą i szablą, jakie odbyły się w ramach V Święta Strzelca Konnego zakończonego w niedzielę 14 lipca 2019 w Hrubieszowie. Otrzymał w nagrodę replikę polskiej szabli oficerskiej wz. 1921, ufundowaną przez Fundację Niepodległości.

Podczas dwudniowych uroczystości upamiętniających 2 Pułk Strzelców Konnych odbyła się rekonstrukcja święta pułkowego i pokazy kawaleryjskiej sprawności, w których wzięło udział kilkunastu jeźdźców i amazonek w barwach pułków przedwojennej jazdy polskiej z całego kraju. Wydarzenie odbyło się pod narodowym patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości. Honorowy patronat objął marszałek województwa lubelskiego Jarosław Stawiarski oraz burmistrz Hrubieszowa Marta Majewska.

W tym roku upłynęło sto lat od chwili, gdy polscy kawalerzyści z Błękitnej Armii pod dowództwem gen. Józefa Hallera przybyli z Francji na Lubelszczyznę, by już po niecałym tygodniu wziąć udział w walkach o kształt granic odradzającej się Rzeczypospolitej. Po zwycięstwie w wojnie bolszewickiej, w roku 1920, otrzymali oni garnizon w Hrubieszowie i miano 2 Pułku Strzelców Konnych. Pułk słynął z wysokiego wyszkolenia kawaleryjskiego, czego ukoronowaniem była organizacja w Hrubieszowie w 1934 r. Konnych Mistrzostw Wojska Polskiego – tzw. Militari. Do dzisiaj zachowała się z tamtych zawodów nad rzeką Huczwą słynna ze swej trudności przeszkoda – sześciometrowy rów z wodą. Kilkunastu uczestników tegorocznych pokazów pokonywało go ze szczególną starannością.

Wydarzenie współorganizowali: lubelska Fundacja Niepodległości, Stowarzyszenie Szwadron Ziemi Hrubieszowskiej im. 2 Pułku Strzelców Konnych, 2 Hrubieszowski Pułk Rozpoznawczy oraz Miasto Hrubieszów.

V Święto Strzelca Konnego zostało dofinansowane ze środków Programu Wieloletniego „Niepodległa". Uzyskało też wsparcie finansowe Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Zarządu Województwa Lubelskiego.

Patronami medialnymi byli: TVP Info, portal TVP Info, TVP3 Lublin, Radio Lublin, tygodnik „Sieci", miesięcznik „wSieci Historii", portal wPolityce.pl i telewizja wPolsce.pl.

eprasa.pl 5a1adb7661

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Czekając na wybory

Wybory niedługo, a już potężne awantury obejmują także świat filmu. Pierwsza dotyczy „Polityki", nowego obrazu Patryka Vegi. Pisałem, że jeśli ktoś jest w stanie obrzydzić zwykłym Polakom obraz partii rządzącej, to nikt z celebrytów – ani Krystyna Janda, ani Maciej Stuhr. Ale Vega to co innego. On czuje wrażliwość ludu. Czy wpłynie na wynik wyborów, jak zapowiada? Z pewnością przyciągnie przed ekrany miliony ciekawych.

Chyba nikt jeszcze nie nakręcił w Polsce filmu tak bezpośrednio, niemal z prawdziwymi nazwiskami, opowiadającego o realnej, bieżącej rzeczywistości. Kino zachodnie częściej niż polskie zajmuje się prawdziwymi postaciami, ale z reguły bierze je na warsztat choćby z lekkiego dystansu czasowego. Vega szuka efektu kabaretowego. Może się zresztą – o ile serio mówi o wpływaniu na wybory – przejechać na tym, bo gdy widzowie zobaczą doraźny pamflet na Jarosława Kaczyńskiego, Krystynę Pawłowicz, ojca Rydzyka, mogą mieć wrażenie, że wszystko to już widzieli. W kabarecie czy w internecie.

Zarazem jeśli Vega pokazuje konkretną postać, Bartłomieja Misiewicza, bijąc w niego insynuacją... Nawet najbardziej wolnościowa wersja artystycznych swobód przewiduje prawne konsekwencje oszczerstwa. Vega opowiada, że PiS wypuścił Misiewicza z aresztu, żeby ten zablokował jego film. I traktuje te skargi jako dalszy ciąg zręcznej kampanii promocyjnej. A ja, choć chętnie obejrzałbym krwisty film o ciemnych stronach „dobrej zmiany", pamiętam, że granice wyznacza krzywda osoby pomawianej.

„Gazeta Wyborcza" znalazła własny temat. Oto zła TVP ma położyć rękę na „Solid Gold", filmie Jacka Bromskiego. I wykorzystać go w kampanii przeciw PO. Film opowiada historię podobną do afery Amber Gold. Bromski protestuje, że nie chodziło mu o wypowiedź w sprawie konkretnej partii. Jeśli ktoś kręci taki film z telewizją publiczną jako współproducentem, jego żale wydają się trochę spóźnione. Ale nie chciałbym, aby dzieło artystyczne było używane jako propagandowa maczuga.

Tyle że TVP nic jeszcze nie zrobiła, a „Wyborcza" już rozpoczęła kontrkampanię. „»Solid Gold«, tyłka nie urywa" – tak gazeta chwali się, że film widziała. Nawet jeśli istotnie jest on banalną sensacją, takie nieeleganckie wypowiedzi nie są wiarygodne. Bo w oczywisty sposób uwikłane w logikę walki politycznej.

No i trzecia historia. Na miesiąc przed wyborami odbędzie się festiwal filmów fabularnych w Gdyni. W ostatnich latach bywał on widownią starć nie tylko o wartości artystyczne. Tym razem Komitet Selekcyjny złożony z artystów oskarża Komitet Organizacyjny, złożony z przedstawicieli różnych szacownych gremiów, że ten nie dopuścił filmu „Mowa ptaków" Xaverego Żuławskiego. Protestuje Gildia Reżyserów sugerując motywacje polityczne. Ze streszczeń dziennikarzy wynika, że w filmie jest sporo wycieczek przeciw prawicy.

Filmów młodego Żuławskiego nie lubię, a streszczenia zalatują toksyczną publicystyką. Ale też filmu broni szacowny krytyk o konserwatywnych poglądach Piotr Kletowski. Niedopuszczanie dzieła, tylko dlatego bo kontrowersyjne, byłoby ruchem samobójczym. Przeglądam listę Komitetu Organizacyjnego i nie widzę na niej samych osób bliskich obecnej władzy. Ale też zasiadający w Komitecie wielki reżyser Wojciech Marczewski sprzeciwiał się, jak sam mówi, decyzji o pominięciu filmu Żuławskiego, więc te kwasy zaciążą na całym festiwalu. Niewiele więc rozumiem. A to pewnie jedno z wielu zdziwień, które mnie czekają.

Kadr z filmu „Mowa ptaków" Xaverego Żuławskiego

Piotr Zaremba

epaasa.pl 5a1dub7661

Wojciech Stanisławski

Obłęd w sowieckim Wilnie

„Wileński poker" to wielkie dziady odprawione za straszną historię XX-wiecznej Litwy

Oszaleć? To może się zdarzyć każdemu. Oszaleć w następstwie śledztwa? Tak, i to się zdarza, szczególnie może często po dochodzeniach prowadzonych przez fachowców z Moskwy. Jeden ze znanych w Polsce autorów, pochodzący – traf chciał – z okolic Wilna, opisał to wiernie, przywołując w „Dziadach" osobę Cichowskiego:

Utył, ale to była okropna otyłość:
Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość;
Witam: on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie;
Mówię, kto jestem: patrzy na mnie bezprzytomnie.

Wiemy to – ale mimo to nie jesteśmy zwykle przygotowani ani na spotkanie z obłędem, ani na jego zapis. Literatura zresztą, tak chętnie sięgająca po wątki drastyczne, z tym akurat zadaniem radzi sobie zazwyczaj słabo. Także dlatego „Wileński poker" będzie dla nas wyzwaniem, i to podwójnym, czytelniczym i poznawczym. Ričardas Gavelis, już pośmiertnie uznany za jednego z największych litewskich prozaików XX w., każe nam doświadczać monologu głównego bohatera, który przechodzi całą skalę ekstremalnych doznań: od podręcznikowej paranoi po flashbacki pamięci, od chwil katatonii po wyostrzenie doznań, od urojeń po natręctwa. Wszystkie one potrafią go na chwilę opuścić, by dostrzegł świat jasno i w przerażeniu: Litwa ginie i gnije.

Na tym jednak nie koniec wyzwań: autor w akcie swoistej rashomoniady rozpisuje ciąg wydarzeń rozgrywających się w parszywiejącym Wilnie końca lat 70. na głosy czworga bohaterów i dopiero zderzenie tych czterech relacji uzupełnianych o wspomnienia, zapiski, wyniki prywatnych śledztw pozwala nam uzyskać szerszy, choć nadal niepełny, obraz całości. Podmuchy paranoi, której doświadcza główny bohater i narrator Vytautas Vargalis, rozpoznamy niemal od razu, ale ze skali jego urojeń i mitologizacji zdamy sobie sprawę dopiero, kiedy dotrzemy do ostatniej części tomu. To mistrzowski zabieg: od czasu „Białego króla" Nabokova nie pamiętam powieści, która tak potrafiłaby sprowadzić czytelnika na manowce.

Tych mistrzów literackich Gavelis miał więcej: największy, przywołany przezeń zresztą lojalnie z nazwiska, to Konwicki. Ale nie idzie tu o nostalgiczną „wilejskość" pana Tadeusza, trudno zresztą o dwa bardziej różne obrazy jednego miasta niż polskie (z innymi narodami w tle), czułe i romantyczne mimo całej autoironii Wilno z „Kroniki wypadków miłosnych" i litewskie (z innymi narodami w tle), udręczone, spływające brudną krwią i pijackim potem (by pozostać przy dwóch najprzyzwoitszych w tej książce płynach ustrojowych) Wilno Gavelisa. Nie, myślę o Konwickim najmroczniejszym, tym od zapomnianego trochę „Sennika współczesnego". Przeplatanie się czasów, kresowy zaśpiew i partyjny gbur, winy trwające przez pół wieku, dawne wyroki śmierci, uderzające poczucie pogrążenia w dręczącym, nierealnym, nieciągłym śnie – tak, widać, że polskiego pisarza czytano uważnie w jego dawnym mieście.

Czytano – ale po to, żeby opowiedzieć zupełnie inną historię. „Wileński poker" poprzez krzywe soczewki urojenia, wyparcia, obsesji przedstawia nam całe bez mała XX-wieczne doświadczenie litewskie. Nie raz i nie dwa się zastanawiano, dlaczego w Polsce znacznie trudniej przyjmujemy je do wiadomości niż losy innych narodów środkowoeuropejskich doświadczonych przez Moskwę i Berlin: czy chodzi o polskie XIX-wieczne marzenie o Litwie, które XX-wieczni Litwini uznali za oplatającą ich pajęczynę, czy o gorzki orzech Wilna?

Jeśli nie przyswoimy litewskiej wizji przeszłości (niekoniecznie po to, by zgodzić się z nią bez reszty, ale bodaj po to, by uświadomić sobie jej kształt) za pośrednictwem tej powieści, to prawdopodobnie nie uda nam się to już w ogóle – bo żaden podręcznik historii, żaden wywiad rzeka nie będzie miał tej chorobliwej niemal intensywności zapisu. „Po nocy nasyp wygląda jak ośnieżony, jest biało, biało po horyzont – jakby bydlęce wagony roztaczały śmiertelny mróz" – to początek sceny opisującej pierwsze wywózki 1940 r. i dwóch smarkaczy brodzących po kostki w tysiącach wyrzuconych przez szpary litewskich listów. Przerysowane? Oczywiście, ileż grypsów można w końcu

eprasa.pl 5a1adb7661

wyrzucić na jednym zakręcie torowiska z 40 nawet wagonów? Ale to właśnie jest literatura.

Z podobną intensywnością, nieznośną, bolesną, opisane jest to, co formowało Gavelisa, jego rodziców, rówieśników i czytelników: polsko-litewska granica, nieoczekiwana i zbrojna, przecinająca na pół wieś, którą potrafi przeskoczyć bodaj tylko dziedziczka amazonka; nienawiść litewskiego oficera wywiadu do wszystkich Lachów, nienawiść zapiekająca się przez ćwierć wieku, której jednak nie wystarczy, by wydać akowców oficerom gestapo. Żydowskie dzieci, zagłodzone na śmierć, wyciągane z getta. Gwałty krasnoarmiejców, znane z tylu relacji – i brutalniejsze nawet od nich tortury NKWD, których opis poruszy nas, dzisiejszych czytelników, znacznie bardziej niż liczne sceny erotyczne. Tortury „leśnych ludzi", litewskich wyklętych – nie mniej okrutne. Łagry – znów z brutalnością niewiarygodną, której nie spotkałem w żadnej z syberyjskich relacji, ale w których od śmierci głodowej straszniejsza jest trawiąca zesłańców litewska obsesja zsyłkowa: że wystarczy jeszcze kilka eszelonów i zginie naród.

A wszystko to – i to właśnie ostatni krąg piekła stworzonego przez Gavelisa – szeptane, uderzające do głowy, wpędzające w obłęd w Wilnie lat 70., już spokojnym, gnijącym i pogodzonym z losem. Być może to jeszcze jeden dług zaciągnięty u Konwickiego, obraz małej apokalipsy i małej stabilizacji zarazem.

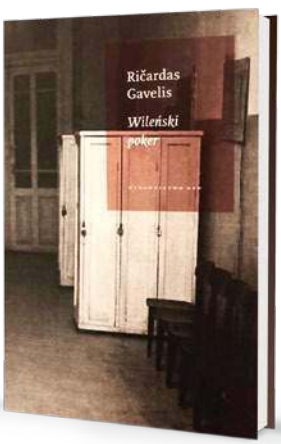

Ričardas Gavelis, „Wileński poker", przeł. Kamil Pecela, Kolegium Europy Wschodniej, 2019

Domy i bloki próchnieją i walą się, w dawnych kościołach – muzea ateizmu albo wytwórnie taniego wina. W sklepach brakuje wszystkiego: od śmierdzącej świniny po watę, ale sportowcy i aparatczycy przywożą już pierwsze dżinsy. Inteligencja spełnia się na podziemnych koncertach jazzowych lub na wspinaczce w Ałtaju, w prywatnej rozmowie można nawet przywołać Orwella, siwi pułkownicy NKWD dosiadują swoich dni na schodkach podmiejskich daczy; ale Konwicki nie wymyśliłby pewnie ofiary i kata rozpijających kolejną flaszkę na kwaśno pachnącym klepisku.

Takich scen jest więcej. W 1987 r., gdy Gavelis kończył 10-letnią pracę nad powieścią, były pewnie szokujące, dziś rażą nas trochę – czy będzie to scena wyjątkowo okrutnego gwałtu, czy morderstwa, czy skatologiczna mantra, od której nie może się uwolnić jeden z bohaterów – swoim przerysowaniem, „literackością" rodem z pulp fiction: być może tak wyobrażano sobie w pierestrojkowym Wilnie postmodernizm. Ale wynagradzają nam to z nawiązką dziesiątki zdań, które mają w sobie inkantację: „Niepokoił mnie tylko stary drewniany dom ze ścianami poczerniałymi od deszczu. Dom jak przestroga, ostrzeżenie wyszeptane przez ukryte usta". Także za ich sprawą „Wileński poker" to dzieło niezwykłe: wielkie dziady (zbyt pogańskie, by były to zaduszki!), odprawione za straszną historię XX-wiecznej Litwy.

Z socjologa Sabała

Gdzie przebiega granica między bandytyzmem, „janosikowaniem" a partyzantką? Albo inaczej: czy człowiek dokonujący napadów rabunkowych z bronią w ręku może mieć poglądy polityczne? Może, oczywiście: co drugi bohater opowiadań i powidoków Marka Nowakowskiego nie znosi psów i czerwonych, stawia się prokuratorom, a czasem, jak niezapomniany Kwadratowy, rzuca wyzwanie systemowi, które prowadzi go do śmierci. Czy z tego tytułu uznamy ich za działaczy antykomunistycznych, stawiając obok Anny Walentynowicz, czy tylko za ludzi, którzy weszli w kolizję z systemem, nie czyniąc z tej kolizji celu swojego działania?

To nie prowokacja, lecz poważne pytanie badawcze. Marek M. Kamiński, dziś socjolog na University of California, a przed trzydziestu kilku laty wydawca bibuły osadzony na Rakowieckiej, dokonuje w tej kwestii jednoznacznego wyboru, wpisując w tradycję zbrojnego sprzeciwu Józefa Koryckiego – „skłóconego z życiem Janosika", dokonującego licznych napadów rabunkowych na Podlasiu przełomu lat 70. i 80., aresztowanego przez MO po wielomiesięcznych obławach i zmarłego w więzieniu w 1986 r.

Jedną z motywacji autorów było z pewnością spotkanie Kamińskiego ze sparaliżowanym w wyniku akcji MO Koryckim w celi na Rakowieckiej. Inną – chęć odkłamania życiorysu wulgarnie mitologizowanego najpierw przez pismaków na usługach PZPR, a potem łowców sensacji. Te dobre chęci nie wystarczyły, by ocalić książkę przed licznymi błędami warsztatowymi: zbyt mało w niej kwerendy archiwalnej i nowych ustaleń badawczych, zbyt wiele – podręcznikowych informacji o PRL i stanie wojennym, wpisywania Koryckiego w tradycje „niepokornego Podlasia" oraz groteskowo szczegółowych dociekań o granicach obowiązywania grypsery i więziennych tabu w odniesieniu do cieszącego się mirem wśród przestępców, ciężko rannego „Janosika". A jednak pytanie o granice sprzeciwu wobec PRL, o to, czy trzeba było ostrzej, czy mądrzej, wraca za sprawą tej książeczki – i w tym jej największa pewnie zaleta.

Marek M. Kamiński, Ernest Szum, „Janosik podlaski. Józefa Koryckiego prywatna wojna z komunizmem", Oficyna Naukowa, 2019

eprasa.pl 5a1adb7661

Adamski

To w końcu Jarmusch!

Kino

Jim Jarmusch może nie jest w formie sprzed dwóch dekad, kiedy dawał nam takie perełki jak „Truposz", „Mystery Train" czy „Ghost Dog. Droga samuraja". Jednak genialnym „Patersonem" (2016) dowiódł, że wciąż potrafi magnetyzować, nawet opowiadając o poezji kierowcy autobusu.

Teraz czas na jego wizję zombiaków. Czy cokolwiek nowego można powiedzieć w kinie o zombie po serialu „The Walking Dead", który przeorał całą mitologię żywych trupów? Twórca serii zapoczątkowanej „Nocą żywych trupów" (1968) George R. Romero narzekał, że serial zniszczył zainteresowanie kinem o zombie, które zawsze służyło Romero przecież jako przenośnia jego społecznych, politycznych i ideologicznych spostrzeżeń. Liczyłem, że Jarmusch chwytający się tego tematu powie nam coś nowego w gatunku. Niestety wyszło trochę jak w przypadku jego wampirycznych „Tylko kochankowie przeżyją", gdzie dostaliśmy, choć jarmuschowsko podaną, wyświechtaną opowieść o samotności długowiecznych krwiopijców. No, ale była w tym filmie scena spożywania sorbetów z zamrożonej krwi, co przypomniało mi o bezczelnej ironii twórcy „Broken Flowers".

„Truposze nie umierają" bronią się właśnie przez taki rodzaj humoru. Jarmusch poszedł na łatwiznę i postanowił ponarzekać na pożerający naszą cywilizację konsumpcjonizm. To samo opowiedział zarówno Romero w „Świcie żywych trupów" w wersji z lat 70., jak i Zack Snyder w remake'u z początku tego wieku. Jarmusch wyśmiewa nasze przywiązanie do mediów społecznościowych, ale nie wychodzi ponad sprawdzony schemat wbijania szpil w uwiązanie do kapitalizmu. Centra handlowe z filmu Romero stały się po prostu wirtualne.

Małe miasteczko gdzieś na amerykańskiej prowincji. Dwóch zblazowanych gliniarzy (Bill Murray, Adam Driver) traci czas na patrolowaniu sennej mieściny z hipsterami (Selena Gomez), uzbrojonymi w strzelby rasistami (Steve Buscemi) i miejscowymi dziwakami z lasu (Tom Waits). Ale apokalipsa dochodzi nawet do tej nudnej mieściny i zostaje zapowiedziana głosem spikerów z prawicowego Fox News. Pole magnetyczne Ziemi się zepsuło, kosmici się wkurzyli i wszystko pomieszali tak, że martwi wstali z grobów. Jeden z gliniarzy oglądał filmy o zombie, więc wie, że to „nie może się dobrze skończyć".

Zombie nie tylko szukają pożywienia wśród żywych, lecz potrzebują też wi-fi, Nintendo, Starbunia i tabletek na depresję. Tak im podpowiada instynkt zachowany w ich martwym mózgu. Ba, nawet sam Iggy Pop przemyka tutaj z gracją swoich scenicznych występów z czasów The Stooges.

Jarmusch ma swój rytm i cieszy się mruganiem okiem do fanów. Skoro Adam Driver z „Patersona" gra teraz Petersona niebojącego się aż tak bardzo zombie, bo widział w kinie, jak się je zabija, a zombiaki szukają kawy jak bohaterowie „Kawy i papierosów", to znaczy, że mamy do czynienia z filmem przeznaczonym dla fanów ekscentrycznego filmowca. Dodajmy do tego kilka ironicznych żartów, igranie z gatunkiem (Tilda Swinton z mieczem samurajskim!) i cytatami z Romero i mamy typowego późnego Jarmuscha. Bardziej bawiącego się kinem niż mającego cokolwiek ważnego do powiedzenia.

„TRUPOSZE NIE UMIERAJĄ", REŻ. JIM JARMUSCH, DYSTR. UIP

Arcydzieło Fosse'a

VOD

Klasyka na wakacje – „Cały ten zgiełk". Stanley Kubrick miał powiedzieć po premierze „All That Jazz", że to najlepszy film, jaki widział w swoim życiu. Możliwe, że te słowa są tylko legendą. Jednak obsypany wcześniej 10 Oscarami za „Kabaret" Bob Fosse dostał za niego Złotą Palmę w Cannes w 1980 r. Nie jest to musical, raczej muzyczna tragikomedia o samym Fossie, w którego alter ego – Gideona – genialnie się wciela Roy Schneider. To film z tej samej półki co „Osiem i pół" Felliniego. Brawurowo nielinearny, oniryczny, zachwycająco sfotografowany, z mocnym, niejednoznacznym i jednocześnie ekshibicjonistycznym dla jego twórcy bohaterem. Gideon jest reżyserem z Broadwayu. Gwiazdą i niemal bogiem. Tabuny kochanek, jedno ukochane dziecko, kawa, papierosy, tablety z rana i strumienie alkoholu. Perfekcjonista Gideon powoli umiera. Nie panuje nad swoim ciałem, a może poprzez autodestrukcję reżyseruje własną śmierć? Ten film się smakuje i odbiera wszystkimi zmysłami. Oglądajcie na dużym telewizorze.

„CAŁY TEN ZGIEŁK" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 5a1adb7661

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

DVD

Piękna wydmuszka

„Terminator" spotyka „Desperado"? „Avatar" łączy się z „Sin City"? Można było tak marzyć po tym, gdy się okazało, że James Cameron połączył siły z Robertem Rodriguezem w ekranizacji kultowej mangi od Yukito Kishiro. Na marzeniach się skończyło.

„Alita. Battle Angel" jest filmem Jamesa Camerona, któremu nie chciało się tracić czasu, by go reżyserować, i wynajął sobie Rodrigueza. Ten konsultował każde ujęcie z Cameronem zajętym kolejnymi „Avatarami", rezygnując przy tym ze swojej urwisowskiej radości z robienia filmów, która stoi za sukcesem „Pewnego razu w Meksyku" i wskrzeszeniem grindhouse'owej pulpy („Planet Terror", „Maczeta"). Jest „Alita" wizualnym majstersztykiem. To nie zaskakuje, kiedy film robią spece od Camerona pracującego obecnie nad nowymi „Avatarami". Problemem „Ality" jest sztampowy i podziurawiony scenariusz. Rok 2563. Katastroficzna wojna zwana „The Fall" zdewastowała Ziemię. Metropolie zamieniły się w złomowiska. Z podniebnych miast przetrwało tylko jedno. Zalem jest niedostępnym dla pospólstwa rajem. Nadzieja na dostanie się do miasta wybrańców jest jedna. Trzeba wygrać morderczy wyścig Motorball. Tyle że jest to możliwe tylko w przypadku cyborgów. Doktor Dyson Ido (Christoph Waltz) nawet w upadłym świecie zachowuje człowieczeństwo. Bezpłatnie pomaga zdekompletowanym cyborgom. Po znalezieniu na wysypisku resztki „żyjącego" wciąż cyborga o pięknej twarzy młodej kobiety odzywa się w nim Gepetto. Naprawia go i nazywa Alita (Rosa Salazar). Okazuje się, że nie jest to zwykły robot, ale wytrenowana maszyna do zabijania, która w końcu rzuci wyzwanie łotrom z Zalemu. Walki w Motorball, bitwy między wymyślnymi cyborgami (uroczy Ed Skrein jako narcystyczny robot) i konstrukcja miasta – to nie są zwykłe efekty CGI. Duet Cameron/Rodriguez dopracował świat w najdrobniejszych szczegółach, by nie razić nas sztucznością. Twórcom nie zależy na snuciu dystopijnych proroctw i dysput o transhumanizmie. Słusznie. Po co mają naśladować „Łowcę androidów"?

Jednak po połowie interesująco rozwijanych wątków bombardują nas scenariuszowe skróty i wyświechtane rozwiązania. Akcja pędzi jak szalona, motywacje bohaterów idą w kąt, Waltz korzysta wyłącznie zestawu min, które dały mu dwa Oscary w filmach Tarantino, a czarne charaktery są irytująco plakatowe. Trudno zaakceptować to, że nie wykorzystano potencjału zdobywców Oscara Jennifer Connelly i Mahershali Alego, którzy błąkają się po pięknie wykreowanych plenerach i w komiksowy sposób wypowiadają swoje villainowskie kwestie. „Alita..." prędko uleci wam z głów.

„ALITA. BATTLE ANGEL", REŻ. ROBERT RODRIGUEZ, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Wolę oryginał

Celowo obejrzałem „Suspirię" na podwójnym seansie. Najpierw włączyłem wersję z 1977 r. autorstwa maestro europejskiego horroru Daria Argenta i zaraz po nim remake Luki Guadagnina z 2018 r., który przegapiłem w kinach. Moje serce zostaje przy surowym, szokującym i uroczo pokracznym filmie Argenta. Obie wersje są zupełnie różne, ale łączy je wspólny motyw: wchodzimy do świata czarownic żyjących pod przykrywką prestiżowej berlińskiej akademii tańca. Reżyser „Nienasyconych" porzuca kolorowe barwy Argenta i kieruje się bliżej psychoanalizy (poza makabrycznym finałem godnym kina Argenta) niż metafizyki zła oryginału. Doceniam choreografię nowej wersji. Podoba mi się Dakota Johnson w roli amerykańskiej studentki, która

została o wiele lepiej nakreślona niż u Argenta. Tilda Swinton w potrójnej roli (w tym męskiej!) kradnie show. Nie zmienia to faktu, że dostaliśmy przerost formy nad treścią, pozbawiony na dodatek niepokojącego klimatu lat 70.

„SUSPIRIA", REŻ. LUCA GUADAGNINO. FILM DOSTĘPNY NA AMAZON PRIME

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 5a1adb7661

Timmermans byłby nieszczęściem

Donald Trump wyraźnie postawił na koncepcję wiodących sojuszników regionalnych. Na Dalekim Wschodzie są to Korea Południowa i Japonia, a w naszym regionie Polska i Rumunia

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Przemysławem Żurawskim vel Grajewskim, politologiem, doradcą ministra spraw zagranicznych

Minister Jacek Czaputowicz odwiedził w zeszłym tygodniu Gruzję i Mołdawię. Polska dyplomacja jest bardzo aktywna w rejonie zarówno postsowieckim, jak i bałkańskim. Jak można określić cele polskiej polityki w tych regionach? Czy możemy być skuteczni, mając za rywali największe potęgi i globalne, i europejskie?

Przemysław Żurawski vel Grajewski: Na pewno nie możemy nie próbować. Zwracam uwagę, że to wszystko dzieje się w warunkach bardzo dużej dynamiki politycznej w wielu krajach. Jest Macedonia, która przyjmując nową nazwę kraju – teraz jest to już Macedonia Północna – zakończyła konflikt z Grecją, co otworzyło jej drzwi do NATO. Jesteśmy tym zainteresowani, bo próżnia byłaby obszarem destabilizującej aktywności Rosji. W Mołdawii z kolei mieliśmy niedawno zmianę rządu.

W okolicznościach dość dramatycznych: uciekł oligarcha Władimir Płachotniuk, a w rozgrywkę jawnie zaangażowali się przedstawiciele Rosji i USA.

Ale nowy układ polityczny, bardzo barwny, oparty na egzotycznej koalicji, jest żądny kontaktów i jednocześnie plastyczny. To jest ten moment, gdy warto dać się zapamiętać jako ci, którzy szybko wyrazili zainteresowanie, przedstawili swoje propozycje, podjęli współpracę z nowym rozdaniem politycznym. To jest też moment, gdy nowy układ dopiero tworzy swój program w zakresie polityki zagranicznej. Teraz najłatwiej wpływać na sytuację.

Były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski pyta jednak: „Czy dziś, kiedy zabiegamy o nowe rozdanie w Unii, szef MSZ powinien być w Mołdawii czy raczej w Brukseli lub w rozgrywających stolicach Unii Europejskiej? Ot, taki dylemat".

Nie wszystko dzieje się w Brukseli. W spotkaniu w Batumi, w którym wziął udział minister Czaputowicz, uczestniczyli jego odpowiednicy ze Szwecji, Czech, Węgier, przedstawiciel Niemiec, także ustępujący szef Rady Europejskiej Donald Tusk. Spotkało się tam duże grono unijnych polityków i byłoby niedobrze, gdyby zabrakło tu ważnego przedstawiciela Polski. Pamiętajmy też, że podział najważniejszych stanowisk unijnych został dokonany już kilkanaście dni temu, a podział tek w Komisji Europejskiej dopiero przed nami. Wszystko ma swój czas i swoje procedury. Nie jest tak, że nieustannie trzeba czuwać w Brukseli. Trzeba wiedzieć, kiedy być, a kiedy można podjąć inne działania.

Czy Polska może odegrać na Bałkanach lub w sferze postsowieckiej poważną rolę, jeśli nie będzie wykładała na ten cel większych pieniędzy? Nie tylko w zakresie bezpośredniej pomocy państwom od nas biedniejszym, ale także w obszarze tzw. soft power, a więc różnych fundacji, stypendiów, programów?

Polityka zagraniczna polega na używaniu własnych zasobów do osiągania wyznaczonych celów. Nie ma polityki, która nic nie kosztuje i którą można ograniczyć do retoryki, choćby najlepszej, co nie znaczy, że słowa nie mają znaczenia. Ale zapleczem polityki zawsze są pieniądze i siła. Różna siła – wojskowa, ale także gospodarcza i kulturowa. Byłoby naiwnością wyobrażać sobie, że my będziemy mieli świetne pomysły, a ktoś inny za to zapłaci, bo my nie chcemy nic wydać. Tak się sukcesu nie osiągnie. Ale trzeba też pamiętać, że mówimy o pieniądzach obywateli polskich. One muszą być wydawane sensownie, być traktowane jako inwestycja, one muszą się zwracać, muszą przynosić korzyść Rzeczypospolitej.

Czy Polska jest w krajach wschodu i południa Europy traktowana wciąż jako co najwyżej dobry przykład udanej transformacji i pewnego sukcesu gospodarczego, czy też dys-

eprasa.pl 5a1adb7661

ponujemy już siłą, która pozwala na coś więcej, na jakąś grę?

Znaczenie Polski wyraźnie rośnie, zwłaszcza obecnie. Nie możemy zapominać o skali Polski w regionie. W chwili rozszerzenia w 2004 r., Unia Europejska powiększyła się o 38 mln Polaków i 36 mln obywateli pozostałych dziewięciu państw. Mołdawia ma nieco ponad 3 mln obywateli...

...przynajmniej oficjalnie.

Tak, oficjalnie. Gruzja to podobna skala, Macedonia – 2 mln, Serbia – 8 mln. Polska dla Mołdawii jest większa niż Rosja dla Polski. Zatem z tej perspektywy, bez zbędnej megalomanii, możemy uznać, że mamy status swoistego „półmocarstwa". Gdyby był on poparty odpowiednim potencjałem ekonomicznym, zdolnością do przyciągania za pomocą programów gospodarczych, to nasz status byłby jeszcze wyższy. Jestem przekonany, że do tego zmierzamy.

Polska musi nabrać gospodarczego tłuszczyku?

Już szybko go przybywa. Dźwignią polskiej polityki zagranicznej w regionie, zwłaszcza w krajach, które odczuwają zagrożenie rosyjskie, są także znakomite relacje polsko-amerykańskie. Każdy rozumie, że protekcji przed zagrożeniem rosyjskim należy poszukiwać w strukturach NATO.

Polska ściąga do siebie bezpieczeństwo w postaci sił amerykańskich i je „dystrybuuje" w regionie, pobierając swego rodzaju prowizję polityczną?

To widać w relacjach z państwami bałtyckimi, Rumunią, Gruzją, potencjalnie także z Ukrainą, choć ten ostatni kraj to oczywiście inna skala.

Jak bardzo szkodzi nam w szeroko pojętym regionie napięcie w relacjach z instytucjami unijnymi i kilkoma państwami zachodnimi? Podczas konferencji w Batumi Gruzini bardzo celebrowali Donalda Tuska, w którym widzą reprezentanta zjednoczonej Europy.

Z gruzińskiego punktu widzenia nie ma powodu, by nie wystawić kompanii honorowej, by oszczędzać na celebrze w związku z wizytą wysokiej rangi przedstawiciela Unii Europejskiej. Jaki byłby z tego zysk polityczny zysk? Żaden. Sądzę jednak, że Gruzja dysponuje dobrymi analitykami, którzy wiedzą, jaka jest dystrybucja mocy politycznej, gdzie zapadają realne decyzje polityczne, kto je podejmuje i kto ogłasza. Szefowanie Radzie Europejskiej – a mówię teraz o funkcji, a nie o konkretnym polityku – nie oznacza przecież uprawnień do podejmowania najważniejszych decyzji. I tak zresztą powinno być.

prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Podczas panelu dyskusyjnego w Batumi wystąpił również węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó, który podkreślał, że Węgry zawsze za drzwiami mówią to samo co publicznie i że są za dużym rozszerzeniem Unii. Jak można opisać politykę Budapesztu wobec świata postsowieckiego? Czy to jest to sama gra, którą prowadzi Warszawa?

Myślę, że nie zawsze. Trzeba pamiętać, że polityka zagraniczna Węgier jest w przemożnym stopniu determinowana tym, że 3 mln Węgrów żyje poza granicami kraju, i to w bezpośredniej jego bliskości. To rozstrzyga o naturze relacji Budapesztu ze Słowacją, Rumunią, Ukrainą i Serbią. Duże znaczenie ma też to, że rząd Viktora Orbána nadał szerokie uprawnienia wyborcze Węgrom żyjącym w krajach sąsiednich, więc to jest także jego elektorat, o który musi i chce zabiegać.

To ci wyborcy są najważniejszym podmiotem polityki?

Mówiąc inaczej: wyobraźmy sobie, że Polska miałaby tuż za swoimi granicami 12 mln Polaków. Nie ma wątpliwości, że taka sytuacja w sposób znaczący wpływałaby na polską politykę zagraniczną i nasze relacje z sąsiadami. Ale to, że rozumiemy tę sytuację, nie oznacza, że podzielamy w pełni tę politykę. Proszę zauważyć, że spór wokół ukraińskiego systemu oświatowego Polska rozwiązała na drodze porozumienia, a nie mocnych słów lub sięgania po blokowanie rozmów

eprasa.pl 5a1adb7661

Ukraina-NATO. W tym zakresie jesteśmy na rozbieżnych kursach. Jednak Węgry są z nami członkami bukareszteńskiej dziewiątki i choć same nie wystąpiły o wzmocnienie sojusznicze, to poparły postulaty tych krajów, które – tak jak Polska, Rumunia i państwa bałtyckie – tego chciały. W zakresie twardego bezpieczeństwa okazały nam solidarność. Pełna zbieżność z Węgrami występuje natomiast na kierunku unijnym. Tu presja ze strony mainstreamu unijnego zbudowała dosyć daleko posuniętą solidarność polsko-węgierską, a ostatnio także wyszehradzką.

W sferze twardego bezpieczeństwa blisko nam za to do Rumunii, która też czuje się państwem frontowym, do tego zagrożonym. Problem w tym, że w Bukareszcie trudno o ambitnych partnerów w polityce zagranicznej.

Rumunia jest potencjalnie bardzo interesującym partnerem, o tożsamym z Polską postrzeganiu natury zagrożenia rosyjskiego, z silną orientacją proamerykańską. To stało się jeszcze wyraźniejsze po aneksji Krymu, który leży bardzo blisko rumuńskiego wybrzeża. Rumuni znają też, miejmy nadzieje już nieaktualne, scenariusze rozwinięcia się agresji rosyjskiej przeciw Ukrainie z użyciem terytorium Naddniestrza i ewentualnym lądowaniem w Odessie, a potem próbą uzyskania połączenia lądowego z tzw. Nową Rosją. To wszystko należy też odnosić do systemu światowego.

W jakim sensie?

Stany Zjednoczone są dziś demokracją w 18. roku wojny, licząc od 2001 r. Żeby wygrywać wybory, politycy muszą obiecać swoim wyborcom redukcję kosztów i ciężarów stabilizacji globalnej, którą ponosi supermocarstwo. Donald Trump wyraźnie postawił na koncepcję dużych sojuszników regionalnych. Na Dalekim Wschodzie są to Korea Południowa i Japonia, a w naszym regionie – Polska i Rumunia, zwłaszcza po tym gdy Niemcy nie wydają się tą rolą zainteresowane, bo wciąż nie chcą ponosić strategicznych kosztów utrzymania bezpieczeństwa europejskiego. Polska i Rumunia to z kolei jedyne kraje, które dysponują niezbędnym potencjałem, są więc naturalnym oparciem dla amerykańskiej koncepcji, a to z kolei stwarza dobrą płaszczyznę współpracy między Warszawą a Bukaresztem. Tu są powody do optymizmu, z zastrzeżeniem niepewności co do rozwoju sytuacji wewnętrznej w Rumunii, która jest dość skomplikowana.

> Na Ukrainie narastało społeczne zapotrzebowanie na wymianę elit rządzących. To stwarzało niebezpieczeństwo wrzucenia kandydata pozasystemowego przez Rosję. Postać Zełenskiego ten scenariusz zablokowała

W naszej rozmowie przewija się także Ukraina. W jakim stopniu nowy prezydent Wołodymyr Zełenski jest już czytelną kartą?

Częściowo już coś widać. Od dłuższego czasu było wiadomo, że na Ukrainie narasta społeczne zapotrzebowanie na wymianę elit rządzących. Kampania wyborcza zaczęła się w sytuacji, w której czołowi kandydaci, czyli Tymoszenko i Poroszenko, mieli po 7–8 proc. poparcia przy 70 proc. elektoratu negatywnego. Dawało to szansę zaistnienia kandydata pozasystemowego. To z kolei stwarzało niebezpieczeństwo wrzucenia tego typu aktora przez gracza zewnętrznego, czyli przez Rosję. Postać Zełenskiego, startująca z poparciem oligarchy Ihora Kołomojskiego, ten scenariusz zablokowała. Przypomnijmy, że Kołomojski przyczynił się do zatrzymania rosyjskiej agresji na Ukrainie, finansując część batalionów ochotniczych i powstrzymując rebelię w Charkowie. Dopiero później skonfliktował się z Poroszenką w sferze biznesowej.

Kołomojski jest ukraińskim patriotą?

Oligarchowie są patriotami swoich pieniędzy. Jednak wie, jak pisał Mickiewicz: „Kto z ruskim carem raz się zwadził, ten już z nim na tej ziemi nie zgodzi się szczerze i musi albo bić się, albo gnić w Sybirze". Kołomojski doskonale więc rozumie, co go czeka, gdyby Ukraina wróciła pod rosyjski parasol.

Czyli zwycięstwo Zełenskiego jest scenariuszem relatywnie pozytywnym?

Myślę, że tak. Dziś na Ukrainie można mówić o „pozytywnej niepewności". Co ważne, obóz Poroszenki był mocno zorientowany na Niemcy jako na główne mocarstwo mogące ułatwiać Ukrainie zbliżenie z Unią Europejską. To skutkowało przyjęciem opinii, że relacje z Warszawą są w istocie nieważne, niewarte wysiłku. To było także powodem mało intensywnych stosunków z Polską na wysokim szczeblu, mimo bardzo intensywnej współpracy praktycznej, nie zawsze dostrzegalnej przez opinię publiczną.

U Poroszenki było widać jednak pewne napięcie w podejściu do Polski, zwłaszcza w kontekście oceny historii. Zełenski wydaje się szczerze niezainteresowany tą sferą. O Polsce też zresztą wiele nie mówi.

Trzeba pamiętać, że nowy prezydent pochodzi ze wschodniej Ukrainy, z najpierw zrusyfikowanej, a potem politycznie zukrainizowanej rodziny żydowskiej. W jego rodzinie nie ma pamięci o konfliktach z Polską i Polakami. Co z tego wyniknie, zobaczymy dopiero po wyborach parlamentarnych, które Zełenski niemal na pewno wygra. Jednak rozbudził tak wielkie nadzieje, że nieuchronnie będzie się też mierzył ze społecznym rozczarowaniem, pewnie już w drugiej połowie roku. Po prostu nie może spełnić, często sprzecznych, oczekiwań i nadziei.

W maju minister Czaputowicz spotkał się w Helsinkach z szefem MSZ

eprasa.pl 5a1adb7661

Rosji Siergiejem Ławrowem. Czy to próba wejścia w nowy etap w relacjach polsko-rosyjskich?

Odbieram to raczej jako demonstrację tego, że Polska nie jest doktrynalnie nastawiona antyrosyjsko, demonstrację dobrej woli. Nie miałbym jednak złudzeń co do wyniku takich spotkań. Rosja jest państwem agresywnym i nie widać, by zmieniała swoją politykę, także w odniesieniu do Polski. Nie ma dziś żadnego potencjału, który mógłby zmienić obecną naturę relacji polsko-rosyjskich.

Podczas panelu w Batumi nie zabrakło rytuału znanego dobrze z ostatnich lat, a więc przytyków pod adresem Polski i Węgier. Chodzi oczywiście o rzekomy „regres demokracji". Czy możemy się pozbyć tego ogona, czy też taki już będzie los obecnej ekipy rządzącej, atakowanej przede wszystkim za swoją specyfikę ideową?

Ważne, kto był autorem tego przytyku. Otóż był to głos z sali w wykonaniu osoby z Polski. Podział wewnętrzny w Polsce jest na tyle silny, a opozycja na tyle bezwzględna w zakresie forsowania takiego obrazu naszego kraju, że to może jeszcze potrwać. Moim zdaniem rozstrzygną najbliższe wybory parlamentarne. Jeśli dojdzie do przekonującego zwycięstwa obozu rządzącego, nastąpi dekompozycja obecnego układu opozycyjnego i być może wyłoni się coś innego. Coś, co będzie prowadziło bardziej konstruktywną politykę. Każda zdrowa demokracja potrzebuje sensownej opozycji. Opozycja bezsensowna jest objawem choroby kraju.

Jak można podsumować unijną rozgrywkę, która zakończyła się wyborem i zatwierdzeniem Ursuli von der Leyen na stanowisko szefa Komisji Europejskiej?

Moim zdaniem jest to w sumie bardzo poważny sukces dyplomacji polskiej. Gdyby Komisji szefował Frans Timmermans, Polska nie mogłaby chyba normalnie funkcjonować w Unii Europejskiej, a na pewno byłoby to bardzo trudne. Nasz zysk polega także na tym, że wykazaliśmy, iż walka z Polską szkodzi w unijnej karierze, i każdy następny wysoki urzędnik dwa razy się zastanowi, zanim spróbuje budować swoją pozycję na tego typu pomyśle. Zyskiem jest także zbudowanie szerokiej koalicji z udziałem Grupy V4, państw bałtyckich, Chorwacji i Włoch. Jeśli ta grupa ma za sobą doświadczenie zwycięstwa w takim starciu, to namówienie jej do podobnej gry w przyszłości będzie już łatwiejsze. Wreszcie złamaliśmy pozatraktatową umowę z Osaki czterech państw, a więc Niemiec, Francji, Hiszpanii i Holandii. Gdybyśmy tego nie zrobili, byłby to groźny precedens. Decyzje unijne muszą zapadać w ciałach traktatowych, w których jesteśmy reprezentowani.

> Co do stanowisk, to nie mieliśmy w tym rozdaniu żadnych szans. Cały nasz potencjał, i to na wiele lat, zużył Donald Tusk, teraz w kolejce są inni

Opozycja powie, że Polska powinna być w grupie tych kilku państw, które ustalają co i jak, a potem to wdrażają. Platforma przypomina, że za jej czasów wysokie stanowisko zajął Donald Tusk.

To też nie byłoby w naszym interesie, bo oznaczałoby naszą izolację w regionie. A co do stanowisk, to nie mieliśmy w tym rozdaniu żadnych szans. Cały nasz potencjał, i to na wiele lat, zużył Donald Tusk, teraz w kolejce są inni. Poza tym bijmy się o to, co ważne, a więc o wpływy, a nie o same stanowiska. Tak robią silne kraje, które często wręcz wolą działać za pośrednictwem polityków z małych państw, takich jak Luksemburg, niż bezpośrednio.

Z głębokim żalem zawiadamiamy że zmarł

WOJCIECH BOGACZYK
(1958–2019)

uczestnik opozycji antykomunistycznej w PRL, historyk i publicysta.

Przez całe niemal dorosłe życie, z niezwykłą energią i poświęceniem, walczył o Niepodległą Polskę.
Działalność antykomunistyczną podejmował już w latach 70-tych XX w.
W czasach licealnych, w ramach nieformalnej grupy „Wolność i Niezawisłość",
a później jako współpracownik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela
i Studenckiego Komitetu Solidarności.
Po narodzinach NSZZ Solidarność w 1980 r. jako student KUL-u
organizował w Lublinie Niezależne Zrzeszenie Studentów.
Internowany w stanie wojennym przez reżim Jaruzelskiego.
Po wyjściu z więzienia w Białołęce nadal aktywnie działał
w strukturach konspiracyjnych Niezależnego Zrzeszenia Studentów.
Po 1989 roku aktywnie działał w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym,
a później w Ruchu Trzeciej Rzeczpospolitej.
W czasach III Rzeczpospolitej nigdy nie przyłączył się do grona beneficjentów transformacji.
Żegnamy zakochanego w polskiej historii gorącego i odważnego patriotę.

Cześć Jego Pamięci

Przyjaciele z opozycji antykomunistycznej i Niezależnego Zrzeszenia Studentów

eprasa.pl 5a1adb7661

K jak koncentracja medialna

Dr Hanna Karp, medioznawca

Wolne słowo i wolne media nie rodzą się w próżni. Polskie media budowane po roku 1989 to nieustanne zderzanie się i konfrontacja z medialnym molochem, który wykreowany w warunkach zachodniego kapitalizmu zjawił się u nas, by z rynku wyssać wszystko, co najlepsze. Łącznie z tortową wisienką. A więc tym, co jest poszukiwane najbardziej ze względu na obietnicę zysków i dochodów. W tym wypadku mówimy o mediach audiowizualnych. To one są niezmiennie na rynku mediów najbardziej pożądanym kąskiem.

SIŁA ZACHODNICH MOLOCHÓW

Media, jak każde przedsięwzięcie, wymagają kapitału i ludzi. Kapitał – zwłaszcza jeśli jest prawdą, iż nie ma narodowości – można przy pewnym szczęściu i dobrych pomysłach zdobyć niemal z dnia na dzień. Gorzej może być z ludźmi, czy jak powiedzieliby ekonomiści – z kapitałem ludzkim. A konkretnie z dziennikarzami, którzy budują siłę mediów i realizują ich misję. Są oni tak ważni, bo od jakości ich pracy, bez względu na rozwój medialnych technologii, zależy prawo realizacji odbiorców do informacji.

A jakość przekazów ostatecznie nie zależy od pracowitości, talentu ani nawet zawodowych kompetencji dziennikarzy, ale ich zawodowej niezależności. Tego, co nazywa się także wewnętrzną niezależnością redakcji. Mówiąc inaczej – chodzi o tzw. sprzeczność interesów. Czy informacje niewygodne dla właściciela podmiotu medialnego mogłyby ujrzeć światło dzienne, będąc wydobyte przez redakcję, której zapewnia on miejsca pracy? Przykładowo, czy amerykańska nadająca w Polsce komercyjna stacja TVN 24 ujawniłaby informacje godzące w interesy jej właściciela, ale zgodne z dobrem polskim? Powiedzmy szczerze, trudno to sobie dziś wyobrazić.

Wchodzimy zatem na teren aksjologii i świata wartości właścicieli podmiotów medialnych. Jasne jest, że przedsiębiorstwo ma przynosić zysk. W tym celu zostało powołane. Jednak czy w wypadku podmiotu medialnego może chodzić wyłącznie o dochód? Na to pytanie odpowiedziano sobie w wielu krajach na Zachodzie, konstruując prawo medialne. Uznano, że nie może być zbudowane jedynie na podstawowych zasadach rynkowych, gdyż dotyczy spraw szczególnie wrażliwych. Zgodzono się, że instytucja medialna nie może działać na podstawie prawa zbudowanego dla handlarzy zboża czy stali. Uznano, że w tym wypadku zwykłe prawo ochrony konkurencji i konsumentów, dobre dla producenta mebli, tu nie będzie wystarczające. Zwłaszcza gdy mówimy o niebezpieczeństwie gospodarczych monopoli. Na rynku każdy monopolista jest groźny. Zaczyna się niebezpiecznie zachowywać, niszczyć konkurencję. Dyktuje ceny, ustawia różnego rodzaju zmowy handlowe. Zgodzono się także co do tego, że na rynku mediów jest to po wielokroć groźniejsze i nieprzewidywalne w skutkach.

SŁABOŚĆ POLSKIEGO PRAWA

Podobnej refleksji jednak w latach 90. w Polsce nie podjęto. A był na to dobry moment podczas transformacji ustrojowej, kiedy likwidowano monopol medialny PZPR. Gdy budowano rynek mediów dualnych – państwowych i prywatnych. Konkurencję na rynku mediów regulują u nas do dziś zwykłe przepisy antymonopolowe o ochronie konkurencji i konsumentów. Skutkiem czego przez niemal trzy dekady utrwaliła się sytuacja sprzyjająca monopolom z wielkim kapitałem zagranicznym. Rozpychających się na rynku mediów, zgarniającym coraz większe obszary oglądalności, słuchalności, czytelnictwa ze wszystkimi negatywnymi tego skutkami.

I tu siłą rzeczy wchodzimy na pole minowe, na którym stoją dwie wielkie tablice

eprasa.pl 5a1adb7661

z napisami: „własność mediów" i „koncentracja mediów". Drugi szyld zawiera jedno z najmodniejszych ostatnio słów. Zatrzymajmy się na chwilę przy nim. Istnieją zasadniczo trzy rodzaje koncentracji na rynku mediów: 1. Horyzontalna (pozioma) najstarsza, oznacza łączenie się mediów tego samego rodzaju, np. wydawców gazet w grupy prasowe, a właścicieli radiostacji w sieci radiowe. 2. Wertykalna (pionowa), polega na integracji mediów różnego rodzaju: audio-wideo czy prasy drukowanej i prowadzi do powstania przedsiębiorstw multimedialnych. 3. Diagonalna (zwana też mieszaną lub krzyżową) z wymienionych najnowsza forma koncentracji. Oznacza zaangażowanie w inwestycje przedsiębiorstw sektora komunikacji masowej na wielu rynkach, nie tylko medialnych, ale z innych branż, np. górniczej, rynku ubezpieczeń itp.

Procesy nadmiernej koncentracji, jeśli chodzi o czytelnictwo czy słuchalność, oznaczają zmniejszanie się liczby tytułów przy jednoczesnym wzroście nakładów. Małe gazety i czasopisma czy małe rozgłośnie radiowe przejmowane są przez duże grupy medialne, co sprawia, że coraz ich większa liczba skupiona jest w ręku coraz mniejszej liczby właścicieli. Nadmierna koncentracja własności mediów to przede wszystkim ograniczenie jednego z podstawowych praw odbiorcy mediów. Jego dostępu do spluralizowanych przekazów płynących z różnych źródeł informowania. Co jest szczególnie ważne w sytuacji kraju, w którym przez niemal pół wieku panował monopol informacyjny komunistycznej partii.

EUROPA PRZECIW KONCENTRACJI MEDIÓW

Wysokie nakłady i dobra kondycja finansowa dzienników i tygodników wielkich koncernów oznacza ponadto brak konkurencji pobudzającej dziennikarzy do działania i pracy. W nomenklaturze medioznawczej nazywa się to „wigorem redakcyjnym". Chodzi tu o poszukiwanie spraw nieobecnych w dyskursie medialnym, tematów własnych i wymagających dostępu do własnych źródeł informacji i dodatkowych nakładów pracy dziennikarzy. Normalnie wigor redakcyjny w znacznym stopniu decyduje o zwiększeniu nakładów pisma i zainteresowaniu czytelniczym na rynku. Istnienie wydawnictw molochów oznacza także, że czytelnik, kupując kilka gazet, może nie wiedzieć, iż otrzymuje informacje pochodzące faktycznie tylko z jednego źródła – jednego wielkiego newsroomu. Kraje europejskie, chcąc temu zapobiec, uchwaliły w latach 90. odpowiednie regulacje antykoncentracyjne. Szczególnie konsekwentnie wprowadziły je Niemcy. Choć tam szczegółowe regulacje medialne pozostają w kwestii landów i nie ma federalnego prawa stricte prasowego. Są za to ustawy radiowo-telewizyjne dotyczące mediów publicznych, ustawy prasowe dotyczące prasy drukowanej i ustawy medialne dotyczące mediów komercyjnych. Twarde regulacje antykartelowe przyspieszyły w efekcie proces ekspansji niemieckich wydawnictw na rynki zagraniczne, gdyż na gruncie własnym ich inwestycje zostały niejako zablokowane. Doszło do umiędzynarodowienia obecnie już globalnych koncernów medialnych, takich jak m.in. Axel Springer, Bertelsmann, Burda czy Bauer. Niemcy mają obecnie największy rynek prasowy w Europie. W 2018 r. sprzedawano tam każdego dnia ok. 14,1 mln egz. prasy codziennej. Szczególnie silną pozycję ma prasa landowa regionalna. Na początku 2019 r. rząd Angeli Merkel wydał specjalne przepisy dotyczące sektorów strategicznych niemieckiej gospodarki. Chodziło przede wszystkim o rozporządzenie obniżające wielkość udziałów, od których państwo może interweniować w zakup akcji niemieckich firm przez zagraniczne podmioty. Przepisy objęły także uznany za strategiczny sektor mediów.

SYSTEM EUROPEJSKICH SUBSYDIÓW

Innym rodzajem ograniczenia koncentracji własności w mediach jest system subsydiów, czyli wsparcie finansowe prasy. Realizowane jest ono często w dwóch formach: pośredniej i bezpośredniej. Subsydia pośrednie polegają m.in. na zwolnieniu prasy z podatku VAT (np. Belgia, Dania, Finlandia, Wielka Brytania) lub zastosowaniu wobec gazet preferencyjnej stawki tego podatku (np. Francja – 2 proc., Grecja, Hiszpania, Włochy – 4 proc., Portugalia – 5 proc.). W Polsce wynosi on 8 proc. Inną formą pomocy pośredniej są obniżone opłaty pocztowe i telefoniczne dla prasy.

Subsydia bezpośrednie, w formie dotacji państwowych dla gazet, muszą być zbudowane według czytelnych reguł, by z jednej strony zapewnić właściwe ich wykorzystanie, kierować do redakcji, które rzeczywiście ich potrzebują, z drugiej, by uchronić tytuły korzystające z dotacji przed uzależnieniem się od władzy. Udanym przykładem takich przedsięwzięć okazał się np. włoski dziennik „La Repubblica", sukces odniósł także wydawany od 1986 r. w Wielkiej Brytanii „The Independent".

MEDIA PUBLICZNE JAKO PANCERZ

W Europie największym koncernem prasowym, działającym na wielu rynkach zagranicznych, jest – także znany bardzo dobrze z działalności w Polsce – niemiecki wydawca Axel Springer. Wielka firma medialna, wkraczając na nowy grunt, ma wszelkie możliwości, by rozmywać debatę publiczną kraju funkcjonowania. Może także dążyć do ekonomiczno-gospodarczego wpływu na poszczególne sektory gospodarki oraz na aktorów sceny politycznej. Widomym tego symptomem jest narastająca komercjalizacja i tabloidyzacja (redukowanie do warstwy emocjonalnej) dyskursu publicznego, w tym spłaszczenie opinii (dominujący jeden ton). Im większy stopień koncentracji, tym mniejsze dobro nie tylko komunikacyjne, lecz także ekonomiczno-gospodarcze odbiorców mediów. Jednym z nielicznym podmiotów medialnych w Polsce zdolnym do konfrontacji z medialnym golemem, który po 1989 r. trafił do Polski, są publiczne radio i telewizja. Finansowane z opłat Polaków są ich dobrem i własnością. Jednak dotychczas ich siła nie została wykorzystana. Przez wiele lat po 1989 r. przekazy mediów publicznych nie różniły się od narracji komercyjnych mediów audiowizualnych. Utrwalały społeczno-gospodarcze dysfunkcje i społeczne kontrasty, kiedy potrzebny był głos uwzględniający polski punkt widzenia nie tylko w gospodarce i ekonomii, ale także na planie polityki historyczno-kulturalnej. Dziś należy ze zdwojoną siłą budować publiczne radio i telewizję i wykorzystać je dla dobra Polaków.

eprasa.pl 5a1adb7661

Nasi nuncjusze i ambasadorzy

Nad Wisłą i nad Tybrem różne są formy uczczenia 100. rocznicy przywrócenia relacji dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską, przypadającej w 2019 r. Ten jubileusz to też wyjątkowa okoliczność, aby przypomnieć papieża Piusa XI – Achillesa Rattiego, pierwszego nuncjusza apostolskiego w odrodzonej Polsce, który tak szczerze ukochał naszą ojczyznę, że uważał siebie za jednego z nas, za obywatela Polski. To też okazja do przypomnienia nuncjuszy i ambasadorów minionego stulecia

Relacje między państwem polskim a Watykanem mają wielowiekową historię, począwszy od Mieszka I. Istnieje dokument wskazujący na fakt nawiązania stosunków ze Stolicą Apostolską przez pierwszego władcę Polski. Na mocy tego dokumentu Mieszko I powierzył całe swoje państwo opiece papiestwa i wskazał kierunek jego dalszego rozwoju we wspólnocie chrześcijańskich państw Europy.

W Polsce przedrozbiorowej powstało wiele umów między państwem a Kościołem katolickim. Zdaniem kanonistów jedna z nich, zawarta w XVIII w., była konkordatem w ścisłym tego słowa znaczeniu (konkordat wschowski za papieża Klemensa XII z 10 lipca 1737 r.). Relacje dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, stanowiące również o polskiej tożsamości, zostały przerwane w czasie rozbiorów.

WŁOCH, KTÓRY CZUŁ SIĘ POLAKIEM

W Polsce odrodzonej po 123 latach niewoli poczet przedstawicieli papieskich rozpoczął monsignore Achilles Ratti. Najpierw pełnił on funkcję specjalnego wizytatora apostolskiego, a 6 czerwca 1919 r. został mianowany pierwszym nuncjuszem apostolskim w niepodległej Polsce. To historyczna data. Wtedy nastąpiło bowiem wznowienie stosunków dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską. Swoją misję na polskiej ziemi nuncjusz Ratti rozpoczął od udziału w procesji Bożego Ciała w Warszawie i pielgrzymki na Jasną Górę 15 sierpnia 1918 r.

Kolejna historyczna data to 19 lipca 1919 r. – dzień, w którym Achilles Ratti złożył w Belwederze listy uwierzytelniające na ręce naczelnika państwa marszałka Józefa Piłsudskiego. Nuncjusz Ratti przetarł drogę do uruchomienia działań dyplomatycznych, które doprowadziły do podpisania w 1925 r. konkordatu między Polską a Stolicą Apostolską. Piłsudski wysoko cenił watykańskiego dyplomatę i uważał go za „persona gratissima" w Belwederze, publicznie mówił o nim z wielkim uznaniem i liczył się z jego zdaniem. Nadał nuncjuszowi Rattiemu najwyższy honor państwowy, odznaczył go bowiem wielką wstęgą Orła Białego. Historycy przypominają, że nuncjusz Ratti jako jeden z nielicznych dyplomatów nie opuścił Warszawy w 1920 r. wobec zbliżającej się bolszewickiej nawałnicy zakończonej „cudem nad Wisłą". Dziękowali mu za to w polskim Sejmie premier Wincenty Witos i gen. Józef Haller.

Achilles Ratti miał wielki sentyment do Polaków. To on, jako późniejszy Ojciec Święty Pius XI, w papieskiej rezydencji w Castel Gandolfo urządził polską kaplicę. Umieścił w niej kopię Cudownego Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Obraz ten otrzymał od polskich biskupów, kiedy wracał do Rzymu po zakończeniu swej misji w Warszawie. Do dziś w papieskiej kaplicy w Castel Gandolfo znajdują się historyczne obrazy autorstwa Jana Henryka Rosena, które przedstawiają obronę Jasnej Góry przed Szwedami z 1655 r. i „Cud nad Wisłą" z 1920 r. Nie dziwi więc to, że w Bazylice św. Piotra w Watykanie, w kaplicy św. Sebastiana, gdzie znajduje się grób św. Jana Pawła II, można zobaczyć z jednej strony posąg Piusa XI, który nazywał siebie polskim biskupem, był bowiem konsekrowany w Polsce i kochał Polskę, a z drugiej strony – posąg Piusa XII, który w swej pierwszej encyklice pt. „Summi pontifi-

eprasa.pl 5a1adb7661

catus" (z 1939 r.) wyraził współczucie dla narodu polskiego będącego ofiarą okrutnej agresji ze strony Niemiec i Rosji. To ważny dowód życzliwości Piusa XII dla Polaków i troski o Polskę. Istotne jest też to, że w 1943 r., również za jego pontyfikatu, w watykańskich mediach otwarcie mówiono i pisano o zbrodni katyńskiej, a w 1944 r. podczas powstania warszawskiego Radio Watykańskie i „Osservatore Romano" prezentowały propolskie stanowisko, co było istotne szczególnie wobec bierności aliantów. Warto też wspomnieć, że właśnie papież Pius XII w 1958 r. mianował ks. Karola Wojtyłę biskupem pomocniczym w Krakowie.

Odsłonięcie pomnika papieża Piusa XI przed Nuncjaturą Apostolską, w ramach obchodów 100-lecia przywrócenia stosunków dyplomatycznych między Polską i Stolicą Apostolską. Na zdj. Substytut do spraw ogólnych Stolicy Apostolskiej abp Edgar Peña Parra, marszałek Sejmu Stanisław Karczewski, nuncjusz apostolski Salvatore Pennacchio oraz metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz

Fot. Piotr Molecki/East News

KONTAKTY PONAD ŻELAZNĄ KURTYNĄ

To wszystko świadczy o więzi między Warszawą a Rzymem nawet po 1945 r., gdy konkordat zawarty w 1925 r. przez II Rzeczypospolitą ze Stolicą Apostolską został jednostronnie zerwany przez komunistyczne władze. Wtedy właśnie reprezentująca rząd londyński ambasada polska w Rzymie miała bardzo istotne znaczenie w przekazywaniu Stolicy Apostolskiej stanowiska polskiej emigracji oraz licznych informacji z kraju. Nadzwyczajne natomiast uprawnienia przyznane przez Stolicę Apostolską wzmocniły pozycję prymasów Polski w episkopacie, co ułatwiło wewnętrzne scalenie Kościoła nad Wisłą wobec zewnętrznego zagrożenia. Dzięki temu najpierw prymas August Hlond, a następnie prymas Stefan Wyszyński mogli umacniać Kościół wobec wrogich władz komunistycznych.

W 1989 r. nastąpiło przyspieszenie w kwestii starań o wznowienie stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. W konsekwencji konkordat został uroczyście podpisany 28 lipca 1993 r. w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie. Jego ratyfikacja mogła jednak nastąpić dopiero w 1998 r. Warto zwrócić uwagę, że był to pierwszy traktat zawarty między Stolicą Apostolską a państwem byłego bloku komunistycznego. Kolejnymi nuncjuszami apostolskimi w Warszawie po abp. Achllesie Rattim byli: abp Lorenzo Lauri (1921–1927), abp Francesco Marmaggi (1928–1936), abp Filippo Cortesi (1936–1939), abp Józef Kowalczyk (1989–2010), abp Celestino Migliore (2010–2016), abp Salvatore Pennacchio (od 2016).

> Historycy przypominają, że nuncjusz Ratti jako jeden z nielicznych dyplomatów nie opuścił Warszawy w 1920 r. wobec zbliżającej się bolszewickiej nawałnicy zakończonej „cudem nad Wisłą"

PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ

Najwyższy czas wspomnieć o świeckim ogniwie dyplomacji w stosunkach między Polską a Stolicą Apostolską. Powróćmy więc do wydarzeń sprzed 100 lat. Odpowiedzią ze strony polskiej na przysłanie do Warszawy nuncjusza apostolskiego z Watykanu abp. Achillesa Rattiego było mianowanie 1 lipca 1919 r. posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym przy Stolicy Apostolskiej prof. Józefa Wieruszа-Kowalskiego, wybitnego fizyka. Jego następcą w 1921 r. został Władysław Skrzyński, podniesiony w1924 r. do rangi ambasadora. Następnie przedstawicielami Polski przy Stolicy Apostolskiej byli: Stanisław Janikowski (1937–1939) i Kazimierz Papée (1939–1972), bardzo aktywny dyplomata.

W 1940 r., gdy Włochy przystąpiły do wojny, Stolica Apostolska zaprosiła ambasadę do Watykanu (wraz z innymi placówkami państw, które były w stanie wojny z Niemcami). Ambasador Papée zamieszkał wtedy w starym budynku Domu św. Marty w Watykanie, gdzie dziś mieszka i stołuje się papież Franciszek. To z inicjatywy ambasadora Papée w 1953 r., po aresztowaniu kard. Stefana Wyszyńskiego, zachodni dyplomaci przy Stolicy Apostolskiej opublikowali protest, w którym solidaryzowali się z prymasem Polski.

Następnie krótko ambasadorem Polski przy Stolicy Apostolskiej był Jerzy Kuberski (1990). Potem kolejno na placówkę dyplomatyczną w Rzymie zostali posłani: Henryk Kupiszewski

eprasa.pl 5a1adb7661

(1990–1994), Stefan Frankiewicz (1995–2001), Hanna Suchocka (2001–2013), Piotr Nowina-Konopka (2013–2016). Od 2016 r. ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej jest Janusz Kotański, za którego kadencji obchodzimy właśnie 100. rocznicę przywrócenia obustronnych relacji dyplomatycznych.

Nuncjusz apostolski ks. arcybiskup Achilles Ratti (z lewej) i adiutant Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego gen. dyw. Jan Jacyna w powozie przed Belwederem

Fot. NAC

RZYMSKIE ŚLADY

Miałam okazję spotkać się z obecnym ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej w związku uroczystością wręczenia wysokich odznaczeń państwowych naszym rodakom na stałe mieszkającym we Włoszech, od lat współpracującym z „Niedzielą". Są to: Grzegorz Gałązka, fotograf papieski, autor przede wszystkim zdjęcia beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Jana Pawła II, który został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, oraz Włodzimierz Rędzioch, który otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. W imieniu prezydenta RP Andrzeja Dudy odznaczenia wręczył im 11 czerwca tego roku w siedzibie Ambasady RP w Rzymie ambasador Janusz Kotański.

Spotkanie w ambasadzie było też okazją do rozmowy na temat rzymskich obchodów 100. rocznicy przywrócenia relacji dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską. Zdaniem ambasadora Kotańskiego ukoronowaniem jubileuszowych uroczystości była msza święta sprawowana w Bazylice św. Piotra w Rzymie pod przewodnictwem abp. Paula Richarda Gallaghera, sekretarza ds. relacji z państwami Stolicy Apostolskiej. Koncelebrowali m.in.: abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, i monsignore Joseph Murphy, szef Protokołu Dyplomatycznego SA, a także kard. Zenon Grocholewski i kard. Stanisław Ryłko. Uczestnicy uroczystości zeszli do grot watykańskich, gdzie ambasador Kotański złożył kwiaty na grobie papieża Piusa XI.

W ramach jubileuszowych obchodów Ambasada RP przy Stolicy Apostolskiej zorganizowała w Pałacu Laterańskim, historycznej siedzibie papieskiej, koncert Rafała Blechacza, jednego z naszych najwybitniejszych pianistów o światowej sławie.

Jubileuszowy ślad pozostał w Ogrodach Watykańskich, gdzie kard. Giuseppe Bertello, prezydent Gubernatoratu Państwa Miasta Watykan, wraz z ambasadorem Kotańskim zasadzili polski dąb, którego sadzonka pochodzi spod Wadowic. W obecności m.in. licznie przybyłych ambasadorów z różnych placówek dyplomatycznych został odczytany list od prezydenta RP Andrzeja Dudy, w którym napisał on m.in.: „Umowa konkordatowa, łącząca Polskę i Stolicę Apostolską, pozostaje ważnym elementem polskiej polityki zagranicznej, a także gwarantem wolności religijnych w naszym kraju oraz podstawą partnerskiej współpracy państwa i Kościoła". Ambasador Kotański zapewnił, że młody dąb, któremu nadano imię „Franciszek", dobrze się przyjął i pięknie rośnie w cieniu Bazyliki św. Piotra. „Niech jego mocne korzenie przypominają o silnych więzach łączących Polskę i Stolicę Apostolską" – podsumował ambasador.

Wspomnę jeszcze, że na początku swojej misji dyplomatycznej, podczas składania listów uwierzytelniających Ojcu Świętemu Franciszkowi, ambasador Kotański przedstawił zamiar utworzenia „koalicji sumień" wspierającej Stolicę Świętą. Widzi on Polskę jako „kraj konsekwentnie dający świadectwo wartościom chrześcijańskim i zachęcający narody dawnego christianitatis do wierności swym korzeniom". Taka właśnie Polska jest potrzebna Europie i światu.

W niedawno zamieszczonym w tygodniku „Sieci" (nr 24 – 30.06. 2019) arcyciekawym wywiadzie dr Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej, powiedział: „Mam wrażenie, że żyjemy w czasach bardzo dobrych poetów i dzisiaj łatwiej opisać świat poprzez wiersze". Tak się składa, że Janusz Kotański, ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej, jest poetą. Proponuję więc zapoznać się z jego wierszem, opisującym współczesną rzeczywistość, z którą musi się zmagać nie tylko świat wartości, lecz również watykańska dyplomacja.

Apologia Kościoła XXI wieku po Chrystusie

JANUSZ KOTAŃSKI

tylko Kościół pozostał
wierny szlachetnemu
dziedzictwu człowieka
filozofia bełkocze
literatura grzęźnie
w labiryncie słów
malarstwo straciło czystość
koloru i rysunku
poezja skowycze
w ekshibicjonistycznym szale
teatr krztusi się
wulgarnym śmiechem
nauki służą niemożliwym
do udowodnienia tezom
nuda i smutek
rozpacz i pieniądze
ludzie Europy udają że żyją
uciekając w wirtualną nicość
tylko Kościół święty
poraniony grzesznością
swych niegodnych sług
trwa

Z tomu poetyckiego „Głos", wyd. Fronda, Warszawa 2014

Lidia Dudkiewicz

50/0619/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Bił Niemców jak chciał...

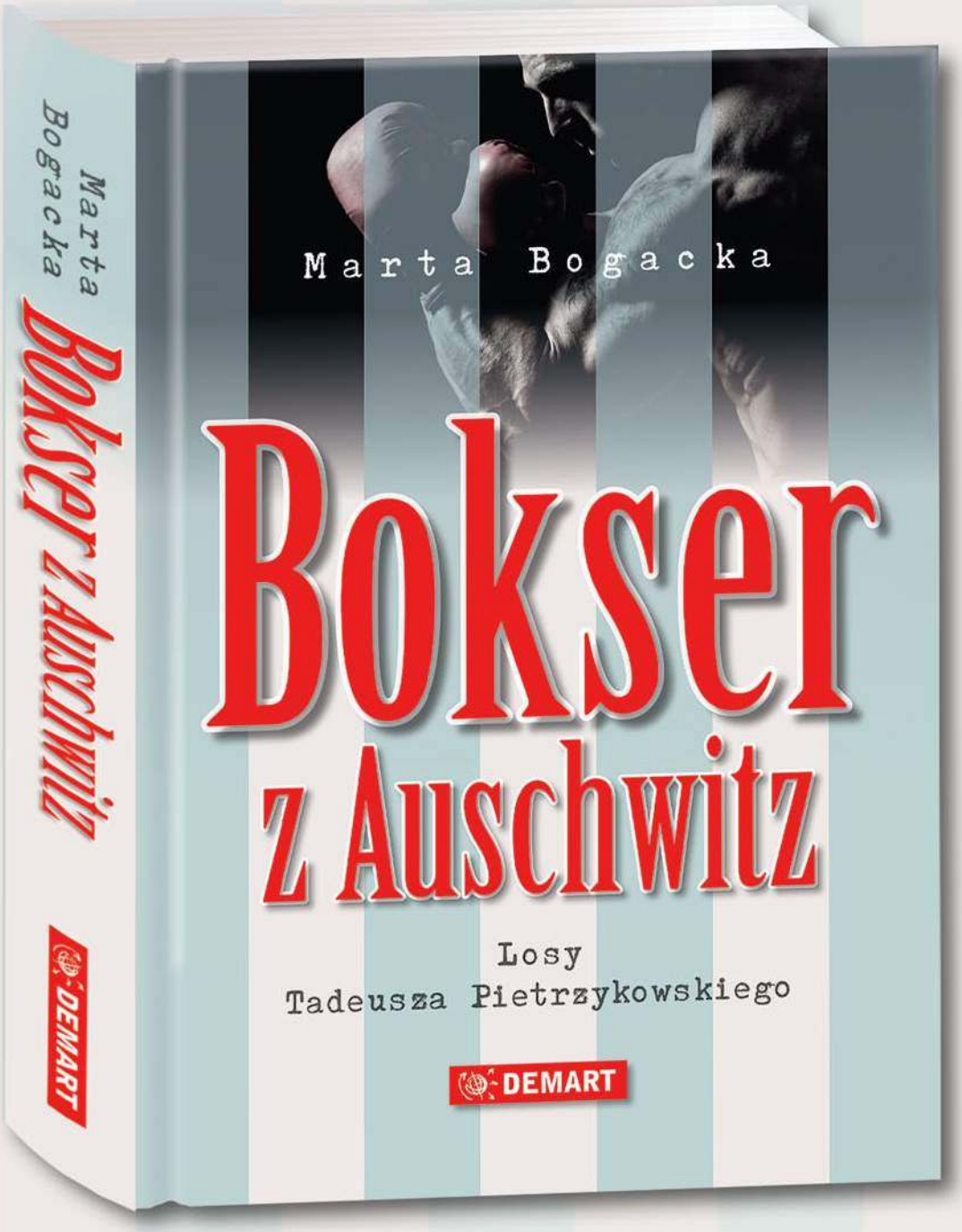

...historia więźnia 77

Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl 5a1adb7661

Opowieść o polskim aniele

Spektakl baletowy piotrkowskiego zespołu Kontra o Irenie Sendlerowej obejrzało w Izraelu ponad 2,5 tys. widzów. – Musimy opowiadać światu o polskim aniele, który uratował tyle istnień ludzkich – mówią Jarosław Papis, prezes Fundacji Hatikva, i Robert Lubański, wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej, w rozmowie z Marcinem Wikłą

Jakie reakcje widzów po obejrzeniu spektaklu „Irena Sendlerowa. Sprawiedliwa" w Izraelu zrobiły na panach największe wrażenie?

Jarosław Papis: Ja zapamiętam najlepiej morze wylanych łez. I tak dzieje się przy każdym spektaklu. To udowadnia, że to, co zrobiliśmy, było ważne. Zresztą takie same reakcje były w Polsce i w Izraelu. Czyli mamy do czynienia z siłą naprawdę uniwersalnego przekazu.

Robert Lubański: Trochę się obawialiśmy reakcji w Izraelu, nie mieliśmy pewności, jak to wyjdzie, bo tego typu produkcja pojawiła się tam pierwszy raz. Ale się udało. I po twarzach widzów, po ich emocjach widać było, że przekaz dotarł.

To trudny temat, który został pokazany w lekkiej formie baletu. Skąd pomysł na to połączenie?

R.L.: Wykorzystanie kultury i lekkości formy spektaklu wydaje mi się w tym momencie bardzo właściwe. Mamy pewien przekaz, ale narzucanie go w mniej wyrafinowany sposób nie ma sensu. Tym bardziej gdy jest to temat trudny – należy go wprowadzać w sposób delikatny, by ludzie zrozumieli go głębią siebie. Przez swoje emocje i wzruszenie.

Wielkie dzieło ratowania żydowskich dzieci przez Irenę Sendlerową jest Polakom znane. A co jest siłą tego spektaklu? Dlaczego, według panów, tak porusza widzów?

J.P.: Siłą jest prawda i autentyczność tego przekazu. I w Polsce, i w Izraelu ludzie są bardzo wyczuleni na fałszywe nuty w tym bardzo delikatnym temacie. My po prostu w najbardziej prawdziwy sposób pokazaliśmy obraz prawdziwego anioła, który uratował tyle istnień ludzkich. Chociaż Irena Sendlerowa wielokrotnie podkreślała, że sama fizycznie uratowała może kilkanaścioro dzieci, to grupa stworzona przy niej przez Armię Krajową czy Żegotę ma przecież o wiele większe osiągnięcia.

R.L.: Temu spektaklowi towarzyszyła także wystawa o Żegocie, z której wiele osób po raz pierwszy się dowiedziało, jak ta historia wyglądała naprawdę. Że Irena Sendlerowa nie była sama, że takich osób jak ona było o wiele więcej. Że Polacy ratowali Żydów, choć groziła im za to bezwzględna kara śmierci, także ich rodzinom, sąsiadom, całym miejscowościom. Dlatego cieszymy się, że masowość tego dzieła wybrzmiała właśnie dzięki materiałom przygotowanym wspólnie z IPN oraz MSZ.

J.P.: Świetnie zadziałała współpraca pomiędzy kilkoma instytucjami. Szczególne podziękowania należą się Polskiej Fundacji Narodowej, bez której nie dalibyśmy rady pokazać tego spektaklu dwukrotnie w Jerozolimie, dwukrotnie w Tel Awiwie i raz w Ness Syjonie. Nadrabiamy w ten sposób stracony czas, bo o tych sprawach powinno się opowiadać światu już dawno temu.

Inicjatywa pokazania takiego spektaklu jest oczywiście bardzo cenna,

eprasa.pl 5a1adb7661

ale uważam, że powinna być tylko uzupełnieniem pewnego systemowego działania państwa polskiego. Dlaczego tak trudno idzie przekazywanie prawdy historycznej o Polakach ratujących Żydów podczas II wojny światowej, a tak łatwo rozchodzą się opowieści negatywne?

J.P.: Rzeczywiście brakuje systemowych prac państwa polskiego, dla których działania PFN czy Fundacji Hatikva powinny być dopełnieniem. Mam nadzieję, że to się zmieni. Że suma tych działań przyniesie w końcu skutek. Warto np. wesprzeć pana ambasadora Marka Magierowskiego, który dzięki swojej mrówczej pracy w Izraelu stał się mocnym punktem na mapie stosunków między Warszawą a Jerozolimą.

R.L.: A gdy do tego dodamy takie inicjatywy jak nasza, to okaże się, że to naprawdę jednoczy ludzi. Trafiamy do serc, a przez to ludzie zaczynają się tematem interesować. Mamy mnóstwo zaproszeń do pokazania spektaklu w innych izraelskich miastach oraz w USA. Chyba dobrze zasialiśmy to ziarno. Teraz musimy być konsekwentni i działać dalej, konieczna jest praca długofalowa, jesteśmy na nią gotowi.

Te wszystkie działania, o których panowie mówią, mają na celu zbudowanie pewnego wizerunku Polaków i Polski w Izraelu. Jak jest ten obraz dzisiaj?

J.P.: Delikatnie mówiąc, skomplikowany. Z jednej strony daje się wyczuć stosunek bardzo krytyczny, z drugiej jednak widać olbrzymi sentyment do Polski i polskiej kultury. Odczuliśmy to, pokazując spektakl, gdy po przedstawieniu widzowie zostawali na spotkania z nami i z występującą młodzieżą. Bardzo im na tym zależało, by móc się na gorąco podzielić wrażeniami z tego, co zobaczyli.

O czym były te rozmowy?

J.P.: To był fantastyczny czas, starsze osoby opowiadały, w jaki sposób i skąd przybyły do Izraela. Nasze dzieci miały okazję wysłuchać naprawdę poruszających świadectw. Przyszła np. Chaja, kochana dziewczyna, która jako jedyna przeżyła getto w swojej miejscowości na terenie obecnej Ukrainy. Mówiła o tym łamanym językiem polskim i rosyjskim, dzieci to rozumiały. Bardzo przeżywały jej opowieść.

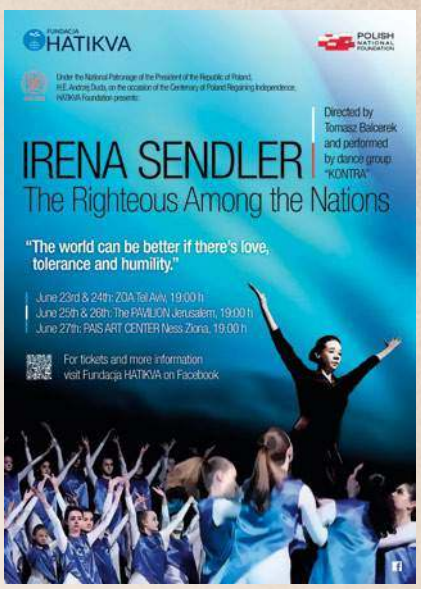

R.L.: Łzy wzruszenia płynęły z jednej i z drugiej strony. Wielka lekcja dla polskich dzieci, ale jeszcze więcej nauczyli się z naszego spektaklu odbiorcy w Izraelu. Powoli zaczyna do nich docierać to, że obraz Polaka, jaki mają, jest przekrzywiony.

J.P.: Mówimy tu o sferze potocznej. W Izraelu w przestrzeni publicznej panują niedomówienia, ktoś tam coś rzuci, że Polacy gdzieś jakoś brali udział w Zagładzie, nie mówi tego wprost, nie ma odwagi, to są sprawy niedopowiedziane. A ten spektakl pokazuje jednoznacznie, że za Holokaust odpowiadają Niemcy, tylko Niemcy. A wśród Polaków było wielu, wielu sprawiedliwych. To nie była sama Irena Sendlerowa, która stała się, owszem, symbolem, ale wokół niej było mnóstwo ludzi, dzięki którym ratowano życie.

Mówimy o projekcie, który został przyjęty ciepło. Wiem, że młodzi artyści mają już kolejne zaproszenia z innych miejsc w Izraelu i nie tylko. Nie było jednak pewne, czy to wszystko się uda, prawda?

R.L.: To nie jest łatwy projekt, nie jest łatwo zainteresować naszą historią obcokrajowców. Musimy to przyjąć, w Polsce też ludzie stosunkowo rzadko interesują się przeszłością innych narodów. Dlatego ważne jest, by sięgać po uniwersalny przekaz, działanie przez emocje.

Pewnie marzeniem byłoby trafienie ze spektaklem granym przez młodzież z Polski do młodej widowni w Izraelu. Jak wyglądają te kontakty między rówieśnikami?

J.P.: Taki kontakt był w Ness Syjonie, bo zadbał o to tamtejszy burmistrz. Liczymy na kolejne szanse, gdy wrócimy z przedstawieniami jesienią. Młodzież szkolna musi to zobaczyć. Bo to są te pokolenia, które będą za chwilę kształtowały opinię publiczną w Izraelu. Jak lepiej do nich trafić niż przez wspaniałą grupę ich rówieśników? Prowadzona przez pana Tomasza Balcerka grupa taneczna Kontra z Piotrkowa Trybunalskiego to zespół amatorski, ale, wbrew pozorom, to jest zaleta. To dziewczynki w wieku 10–18 lat, pełne pasji, naturalności i szczerości.

R.L.: A mamy naprawdę wiele do opowiedzenia. Irena Sendlerowa jest wielkim symbolem, ale kolejnych bohaterów przecież nam nie brakuje. Od grupy dyplomatów z Berna pod kierownictwem Aleksandra Ładosia po Henryka Sławika na Węgrzech itp. Ich działalność to są tysiące uratowanych ludzi. Świat o tym nie wie, a powinien się dowiedzieć

J.P.: Pierwszą lekcję odrobiliśmy, ale musimy iść dalej, szczególnie w Izraelu i USA. Wbiliśmy jakiś klin, wchodzimy ze swoją historią, odpuszczenie tego byłoby zbrodnią.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5a1adb7661

Turecka prowokacja

Przyszłość Sojuszu Północnoatlantyckiego rozstrzygnie się w Ankarze

MAREK BUDZISZ

Niemiecki politolog Thomas Eger w komentarzu dla portalu Focus online napisał, że to, co stało się w piątek 5 lipca, może w konsekwencji doprowadzić do wyjścia Turcji z NATO, a to jego zdaniem, „byłoby wielkim zwycięstwem Władimira Putina".

Tego dnia tureckie ministerstwo obrony oficjalnie poinformowało, że Rosja rozpoczyna dostawy zakupionych przez Ankarę systemów obrony przeciwlotniczej S-400. W tureckiej telewizji pokazano, jak wielkie rosyjskie samoloty transportowe An-124 lądują w znajdującej się pod Ankarą bazie sił lotniczych Murted. Zawarty 12 września 2017 r. kontrakt wartości 2,5 mld dol., z których część zapłaci Turcja z własnych środków, a na część otrzymała rosyjski kredyt, wchodzi właśnie w fazę realizacji, co nieuchronnie oznacza zaostrzenie relacji na linii Ankara–Waszyngton. Stany Zjednoczone już kilka tygodni temu zapowiedziały wprowadzenie sankcji wymierzonych w Turcję, jeśli ta nie odstąpi od kontrowersyjnego zakupu.

Rozmowy w tej sprawie trwały dosłownie do ostatniej chwili. Kiedy rosyjskie samoloty kierowały się w stronę Ankary, do tureckiego ministra obrony zadzwonił jego amerykański kolega, próbując skłonić go do wyboru innej drogi. Rozmowy „ostatniej szansy" miały też miejsce w trakcie szczytu państw G20 w Osace, gdzie spotkali się prezydenci obu krajów. To wówczas Donald Trump powiedział, że obecny kryzys na linii Turcja–Stany Zjednoczone jest efektem błędnej polityki administracji Obamy, która odrzuciła turecką prośbę w sprawie sprzedaży systemów Patriot. Zostało to zinterpretowane przez Erdoğana jako zapowiedź weta prezydenta Trumpa wobec ewentualnych antytureckich sankcji. Jednak amerykańscy komentatorzy są zdania, że nawet jeśli Białemu Domowi uda się opóźnić ich wprowadzenie, to i tak są one nieuchronne.

Waszyngton od miesięcy ostrzegał, że zakup przez Turcję rosyjskich systemów obrony przeciwlotniczej skończy się wykluczeniem Ankary z programu budowy myśliwców piątej generacji F-35, co zdaniem specjalistów będzie

Fot. Mikhail Semenov/Shutterstock.com

eprasa.pl 5a1adb7661

kosztować turecki sektor obronny utratę kontraktów kooperacyjnych wartości nie mniejszej niż 12 mld dol. Kilka tygodni temu tureccy piloci szkolący się w Stanach Zjednoczonych, jak pilotować myśliwce F-35, zostali odsunięci od zajęć. Było to pierwsze ostrzeżenie, że sankcje nastąpią. Później strona amerykańska informowała, że zakup rosyjskich systemów przez Ankarę wiąże się nieuchronnie z odmową dostarczenia do Turcji 120 zamówionych myśliwców F-35, co turecki prezydent określił mianem „rozboju w biały dzień".

MIMO ZAGROŻENIA NIE WSZYSTKO STRACONE

Jednak, jak powiedział portalowi The Diplomat Mauro Gilli, starszy specjalista ds. technologii militarnych i bezpieczeństwa międzynarodowego w szwajcarskim Federalnym Instytucie Technologii, Amerykanie nie będą mieli w dłuższej perspektywie innego wyjścia niż odmowa dostaw myśliwców. Istota problemu, jego zdaniem, sprowadza się do tego, że w F-35 zastosowano nowe rozwiązania, które – jak mówi się potocznie – czynią ten myśliwiec niewykrywalnym dla rosyjskich systemów obrony przeciwlotniczej. W praktyce są one wykrywalne, jednak dopiero w momencie, kiedy zbliżą się do rosyjskich stacji radarowych na odległość ok. 40 km, co oznacza, że wcześniej instalacje te osiągnąć mogą rakiety będące na ich wyposażeniu i mające większy zasięg. Ryzyko, zdaniem szwajcarskiego analityka, sprowadza się do tego, że rosyjskie systemy – a trzeba pamiętać, że Moskwa blisko współpracuje w ich rozwoju z Chinami – „nauczą się" rozpoznawać amerykańskie myśliwce i obecne ich przewagi zostaną zredukowane do zera.

Jednak piłka jest nadal w grze. Donald Trump zaproponował swemu tureckiemu rozmówcy w Osace, że Stany Zjednoczone dostarczą w zamian systemy Patriot, a turecki minister obrony Hulusi Akar powiedział, że podległe mu służby „uważnie analizują" amerykańską ofertę. Już wcześniej, w czasie wizyty Erdoğana w Nowym Jorku przy okazji sesji ONZ, w mediach pojawiły się spekulacje, że rosyjskie S-400 mogą zostać zakupione, ale nie będą eksploatowane, tylko spoczną w magazynach lub zostaną przekazane do innego kraju. W tym kontekście wymieniano Azerbejdżan, który jest mocno zaniepokojony zapowiedzianymi dostawami do Armenii najnowszych rosyjskich myśliwców Su-57.

Wyrzutnia rakiet S-400 podczas defilady w Moskwie

OBAWY ERDOĞANA

Wśród wielu spekulacji dotyczących pytania, dlaczego Turcja zdecydowała się na zakup rosyjskich baterii, są też głosy mówiące o tym, że trafiły one do znajdującej się niedaleko tureckiej stolicy bazy Murted dlatego, że ich głównym zadaniem będzie ochrona Erdoğana, który obawia się „powtórki z historii", czyli kolejnej próby wojskowego zamachu stanu. Rosyjskie S-400 miałyby zostać w świetle tej teorii przekazane formacjom bezpieczeństwa chroniącym tureckiego prezydenta, po to by uniknąć sytuacji podobnej do tej z ostatniego zamachu, kiedy wojskowi zaplanowali zbombardowanie hotelu, w którym przebywał Erdoğan. Udało mu się uciec, bo został ostrzeżony o nadciągającym zagrożeniu osobiście przez Władimira Putina, jako że rosyjscy specjaliści stacjonujący w syryjskiej bazie Latakia podsłuchali ponoć rozmowy telefoniczne spiskowców. Wydarzenie to nie tylko nawiązało nić sympatii między Erdoğanem a Putinem, ale również pogłębiło nieufność tureckiego prezydenta wobec Waszyngtonu, jako że Amerykanie również musieli – jak się w Turcji uważa – wiedzieć o planach zamachowców, ale odmiennie niż Rosja nie zdecydowali się na przekazanie ostrzeżenia.

O tym, że może być to coś więcej niż tylko ciekawa teoria, świadczy przyjazd w połowie maja do Turcji 11-osobowej delegacji rosyjskiej Gwardii Narodowej z jej szefem, byłym osobistym ochroniarzem Putina, gen. Zołotowem na czele. Dziennikarze w związku z tym

eprasa.pl 5a1adb7661

zwracają uwagę na kilka spraw. Po pierwsze, Rosjanie mieli „bardzo obszerny program spotkań". Toczyli rozmowy w komendzie głównej tureckiej żandarmerii, a także dowództwie sił specjalnych. Tureckie media informują, że Rosjanie chcieli poznać ich strukturę, celem rozmów miało być też zbudowanie kanałów informacji oraz wymiana doświadczeń. A trzeba przypomnieć, że licząca 200 tys. funkcjonariuszy rosyjska Gwardia Narodowa jest przede wszystkim odpowiedzialna za porządek wewnętrzny w kraju. Po drugie, „przeładowany kalendarz" pobytu Rosjan w Turcji był tak skonstruowany, aby unikać ich spotkań z przedstawicielami armii, formacji, która jest nadal częścią NATO. To z kolei może wskazywać na intencje władz tureckich, które być może myślą o jakiejś odwróconej formule francuskiej, czyli pozostaniu w Sojuszu wojskowym, a rozluźnieniu więzów politycznych. I po trzecie wreszcie, w Turcji się spekuluje, że wizyta Zołotowa, kierującego formacją, do zadań której należy również ochrona infrastruktury o strategicznej wadze, może mieć związek z budową Tureckiego Potoku oraz elektrowni atomowej Akkuyu. Ostatnio informowano, że Moskwa podpisała z Turcją umowę na dzierżawę portu zlokalizowanego w pobliżu tej elektrowni i teraz chodzi być może o to, że ludzie Zołotowa chcą ochraniać te obiekty albo zbudować w tym celu wspólne rosyjsko-tureckie przedsięwzięcia.

ROSYJSKIE NATARCIE

W rosyjskich niezależnych kanałach informacyjnych na platformie Telegram przeczytać można doniesienia, których autorzy, powołując się na przecieki z administracji rosyjskiego prezydenta, twierdzą, że w Moskwie trwają właśnie intensywne negocjacje między Rosją a Turcją. Ich zasadniczym celem jest wsparcie Ankary w zakresie jej polityki stopniowego redukowania związków z NATO, nie wykluczając nawet opuszczenia Sojuszu. Dziennikarze piszą o tym, że chodzić może w pierwszym rzędzie o zamknięcie amerykańskiej bazy İncirlik, ale również o wypełnienie przez Rosję luki w dostawach dla Turcji broni i uzbrojenia, jeśli doszłoby do zerwania Ankary ze Stanami Zjednoczonymi.

Ponoć Putin zadeklarował Erdoganowi, że w ciągu trzech najbliższych lat Rosja jest w stanie całkowicie zastąpić w tym względzie dostawy amerykańskie. Chodzi w tym wypadku nie tylko o sprzedaż myśliwców piątego pokolenia, lecz również całego spektrum sprzętu wojskowego i wspólne prace nad nowymi rodzajami broni. Coś musi być na rzeczy, bo 19 maja, w trakcie spotkania w Stambule z młodzieżą, turecki prezydent powiedział, że jego kraj „będzie wspólnie z Rosją pracował nad nowymi systemami rakietowymi S-500".

> Ponoć Putin zadeklarował Erdoganowi, że w ciągu trzech najbliższych lat Rosja jest w stanie całkowicie zastąpić dostawy amerykańskiego uzbrojenia oraz zaproponował wspólne prace nad nowymi rodzajami broni

Rosji przy okazji kryzysu na linii Ankara–Waszyngton udaje się uzyskać ciekawe ustępstwa ze strony Ankary. Otóż, jak informuje rosyjska prasa, dokonano właśnie uzupełnienia umowy związanej z budową przez Rosję tureckiej elektrowni atomowej. Przypomnijmy, że Rosjanie mają w świetle zawartych umów przez najbliższe 60 lat być „operatorami" elektrowni w Kukuja, co oznacza dostawy paliwa, konserwacje, szkolenia, innymi słowy stałą obecność. A teraz się okazuje, że do umowy dodano właśnie dosłownie kilka dni temu aneks, w świetle którego Rosjanie zbudują również przynależny tej elektrowni port, nabrzeża, pirsy, czyli całą infrastrukturę komunikacyjną.

Turecki politolog Kerim Has jest zdania, że w przyszłości te instalacje mogą się stać nawet rzeczywistym zalążkiem bazy rosyjskiej na tureckim terytorium, a z pewnością „Moskwa ma co do nich swoje plany". Te plany mogą być tym ciekawsze, że elektrownia jest zlokalizowana kilkadziesiąt kilometrów od amerykańskiej bazy İncirlik.

ZMIANA ORIENTACJI

Erdoğan doprowadził w ostatnich latach do znaczącej zmiany wektorów tureckiej polityki zagranicznej, w tym spadku znaczenia europejskiej orientacji Ankary i wektora euroatlantyckiego. Na to nakłada się rozczarowanie rządzących Turcją elit postawą Sojuszu Północnoatlantyckiego w czasie ostrej fazy kryzysu na linii Ankara–Moskwa w 2015 r., po strąceniu przez Turków rosyjskiego myśliwca. Zdaniem Ankary NATO zbyt słabo wsparło wówczas Turcję. Jak napisał niedawno Arif Asaroğlu z moskiewskiego międzynarodowego instytutu MIRNAS, ówczesne oświadczenie Sekretarza Generalnego Sojuszu odebrano w Ankarze jako dystansowanie się od zobowiązań wypływających z art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego.

Ostatnio w związku z konfliktem między Turcją a Cyprem na tle rozpoczętych przez tureckie statki wierceń w cypryjskim szelfie kontynentalnym, a także potajemnym przerzuceniu przez Ankarę do tureckiej części wyspy kilkudziesięciu czołgów Leopard, Bruksela zapowiedziała wprowadzenie antytureckich sankcji. To jeszcze bardziej nadwątli relacji Ankary i europejskich państw będących członkami NATO.

Niezależnie od tego, jak rozwinie się sytuacja, prawdopodobieństwo zastosowania, w przypadku gdyby Turcja została zaatakowana, zapisów art. 5 Karty NATO, jest przy obecnym stanie wzajemnych relacji coraz mniejsze, a nawet wręcz nieprawdopodobne. A to oznacza, że Turcja nie musi występować z Sojuszu Północnoatlantyckiego, bo jego osłabienie następuje na naszych oczach.

eprasa.pl 5a1adb7661

Rząd postawił na otwarty dialog

Polska nie wykluczy nikogo w wyścigu o budowę sieci mobilnej nowej generacji 5G. Ewentualnym problemem ryzyka bezpieczeństwa tej infrastruktury mają się zająć telekomy. Ministerstwo Cyfryzacji przekazało Komisji Europejskiej analizę bezpieczeństwa sieci telekomunikacyjnych pod kątem wdrożenia 5G

Analiza przedstawiona przez polski rząd była wymagana przez KE od wszystkich państw członkowskich w odpowiedzi na zarzuty administracji Donalda Trumpa wobec chińskiego koncernu Huawei. Polski dokument jest dosyć ogólny, ale wśród najważniejszych jego zapisów jest niewykluczanie żadnych oferentów nowej technologii. Główne obowiązki związane z bezpieczeństwem sieci mają ponieść telekomy – tak jak się to działo w przypadku poprzednich iteracji sieci. Przetarg na pasmo 5G planowany jest na przyszły rok i do tego czasu telekomy mają zostać objęte nowymi przepisami.

– To, że w rekomendacjach Ministerstwa Cyfryzacji przekazanych do Komisji Europejskiej brak jest jednoznacznych wykluczeń dla któregokolwiek dostawcy w Polsce, świadczy o rozsądnym i przemyślanym podejściu ministerstwa, mającym na celu troskę o cyfrowy rozwój Polski. Z uwagą będziemy się przyglądać działaniom rządu w kwestii zmian legislacyjnych, zapowiadanej dywersyfikacji dostawców infrastruktury czy wprowadzeniu tzw. zaufanego dostawcy – mówi Ryszard Hordyński, dyrektor ds. strategii i komunikacji w Huawei Polska.

Sieć 5G jest niezbędną podstawą do budowy gospodarki 4.0, którą wpisano w plany gospodarcze rządu. Nowa sieć mobilna to nie tylko wyższa przepustowość i szybkość transferu dla użytkowników (ściągnięcie filmu wysokiej jakości zajmie kilka sekund), lecz przede wszystkim duże możliwości dla przedsiębiorstw. Zdalnie sterowane łańcuchy dostaw, szybkie kalkulacje danych w chmurze mają zrewolucjonizować przemysł i usługi. 5G daje również duże możliwości w medycynie i diagnostyce, pozwala zdalnie wykrywać choroby. Dostęp do wysokiej mocy obliczeniowej chmury wyprowadzi wirtualną rzeczywistość poza sektor rozrywkowy i umożliwi jej zastosowanie np. w edukacji. Gospodarka w warunkach sieci 5G ma mieć zupełnie nowy kształt, ekonomiści mówią nawet o nowej rewolucji przemysłowej.

Ze względu na wielkie możliwości sieci 5G współczesne państwa prześcigają się w jak najszybszym wprowadzeniu nowej technologii. Ci, którzy się spóźnią, będą w ogonku wspomnianej rewolucji przemysłowej. Stany Zjednoczone próbują zablokować chińską technologię w rozwoju, prowadząc poważną rozgrywkę geopolityczną. Ofiarą ataków Amerykanów stał się chiński koncern Huawei, który w odpowiedzi na zarzut postawił na pełną przejrzystość swojej technologii i otworzył centra bezpieczeństwa w kilku europejskich krajach oraz zaoferował otwartość kodu źródłowego. W ten sposób agendy poszczególnych państw mogą

13/0619/F

się przekonać o działaniu i bezpieczeństwie chińskich rozwiązań.

Komisja Europejska wymagała od państw członkowskich analiz dotyczących nowej technologii. Polska pozostała otwarta na wszystkich dostawców i przeprowadzi otwarty dialog między wszystkimi zainteresowanymi stronami. Taka forma pozwala na zachowanie najwyższego stopnia bezpieczeństwa, każdy uczestnik dialogu może kwestionować rozwiązania konkurencji i przedstawiać swoje rozwiązania. Wykluczenie choćby jednej firmy z punktu widzenia cyberbezpieczeństwa byłoby posunięciem w złą stronę.

– W naszej ocenie, aby zbudować stabilny ekosystem, który w sposób systematyczny i skoordynowany przyczyni się do poprawy poziomu cyberbezpieczeństwa, potrzebna jest ścisła współpraca administracji publicznej, regulatorów, operatorów, dostawców oraz centrów monitorujących zagrożenia. Z naszej strony deklarujemy wszelką pomoc w tym zakresie. Oczywiście moja wiedza i wypowiedzi opierają się na doniesieniach medialnych, dlatego mam nadzieję, że cały rynek telekomunikacyjny, który z niecierpliwością czekał na wyniki tej wielotygodniowej analizy, będzie mógł niebawem poznać jej szczegóły – kontynuuje Hordyński.

Rząd zapowiedział, że długofalowo będzie popierać certyfikację sprzętu na poziomie całej Unii Europejskiej. Na razie czeka nas nowelizacja rozporządzenia do prawa telekomunikacyjnego i dodanie warunków do listy, którą będą musiały spełnić firmy startujące w postępowaniu czy aukcji na częstotliwość 5G.

eprasa.pl 5a1adb7661

Fot. Louisa GOULIAMAKI / AFP

Wywrotowiec z głównego nurtu

Cztery i pół roku trwały w Grecji rządy lewicowego radykała i światoburcy. W niedzielę 7 lipca okres ten został zakończony przez Kyriakosa Mitsotakisa – polityka, który może być symbolem zasiedziałego w polityce i świetnie urządzonego establishmentu

JAN ROKITA

Mitsotakis to syn niegdysiejszego premiera, brat byłej burmistrzyni Aten i wuj właśnie obejmującego urząd nowego burmistrza greckiej stolicy. Jego partia – konserwatywna Nowa Demokracja (ND), słynąca dotąd z nepotyzmu i klientelizmu, wygrała właśnie wybory, zdobywając 40 proc. głosów, co w Grecji daje absolutną większość parlamentarną. To rewanż za styczeń 2015 r., kiedy ND musiała oddać władzę neokomunistycznej Syrizie.

ROZBUDZONE NADZIEJE GREKÓW

Główną przyczyną tamtej zmiany był wielki kryzys finansowy, w którym konserwatyści wydali się Grekom bezwolnym narzędziem w rękach niemieckich polityków i światowych bankierów. Tsipras wygrał wtedy wybory pod hasłem: „Skończymy rządy zagranicznych okupantów", obiecując Grekom (w słynnej mowie wygłoszonej w Salonikach), że zbankrutowane państwo podniesie najniższe płace, da wysoką kwotę wolną od podatków, zapomogi emerytom, a przede wszystkim wymusi na bankierach umorzenie greckiego długu. Tamto wyborcze zwycięstwo Syriza uczciła wywieszeniem w Atenach gigantycznych rozmiarów czerwonej płachty z sierpem i młotem, a tłumy Greków wiwatowały i tańczyły w euforii na stołecznym placu Syntagma.

W 2015 r. Tsipras odrzucił ofertę koalicji ze strony socjalistów, biorąc do współrządzenia nacjonalistyczną partię ANEL, gdyż ta wzywała Greków do „narodowego przebudzenia i powstania", a także oskarżała wcześniejsze rządy o „wysługiwanie się niemieckim interesom". Szef ANEL – prawosławny integrysta, wielbiciel Rosji i przeciwnik Żydów Panos Kamenos został ministrem obrony, szefostwo greckiej dyplomacji zaś dostał wtedy stary prosowiecki komunista Nikos Kotzias, którego pamiętano nieźle w Polsce z racji niezwykłego entuzjazmu i radości, że Jaruzelskiemu udało się w 1981 r. zlikwidować reakcyjną Solidarność. Nawiasem mówiąc, współrządzenie z Tsiprasem okazało się do tego stopnia katastrofą dla nacjonalistów, że po klęsce w ostatnich majowych wyborach europejskich zdecydowali się oni w ogóle wycofać swoją partię z obecnych wyborów.

Prawdziwe piętno na rządach Tsiprasa odcisnęły pierwsze miesiące jego władzy. Za radą swego bardzo lewicowego ministra finansów Janisa Warufakisa spróbował zaszantażować tzw. Trójkę (czyli Komisję Europejską, Europejski Bank Centralny i Międzynarodowy Fundusz Walutowy) wyjściem Grecji ze strefy euro. Szantaż Tsiprasa okazał się jednak całkowicie nieudany, i to przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, gdyż sam Tsipras w krytycznym momencie przestraszył się doraźnych skutków zawieruchy, jaką wywołałby rozpad strefy euro, a jego groźby utraciły w ten sposób wiarogodność. Pisze o tym Warufakis we wspomnieniach buń-

eprasa.pl 5a1adb7661

czucznie zatytułowanych: „Jak walczyłem z europejskimi elitami" (wydanych zresztą kilka miesięcy temu po polsku nakładem „Krytyki Politycznej"). Po drugie zaś, gdyż latem 2015 r. Niemcy przez chwilę gotowe były – w razie konieczności – zaakceptować „czasowe opuszczenie strefy euro przez Grecję z perspektywą powrotu", wedle formuły ówczesnego niemieckiego ministra finansów Wolfganga Schäublego.

W rezultacie 13 lipca 2015 r. Tsipras dokonał aktu bezwarunkowej kapitulacji wobec Merkel. Zrezygnował nie tylko z wszystkich swoich zapowiedzi wyborczych, ale podpisał również najbardziej restrykcyjny plan podwyżek podatków, cięć socjalnych, zwolnień pracowników i prywatyzacji greckiej gospodarki. Ceną za ten podpis były kolejne wielkie bailouty (poręczenia) dla upadających greckich banków i bankrutującego budżetu państwa. Sam Tsipras mówił wówczas, iż „podpisał porozumienie, w które nie wierzy, aby uchronić kraj przed katastrofą". Warufakis, który rychło został wyrzucony z rządu, określił całe tamto zdarzenie mianem „paradoksu obalenia rządu przez rząd".

I CZAR PRYSŁ

Tsipras nigdy nie wyrzekł się swoich skrajnie lewicowych ideologicznych inklinacji. Ale tamtej lipcowej nocy prysł rewolucyjny czar jego przywództwa, który dopiero co wywołał taki entuzjazm wśród Greków. Odtąd rewolucyjna Syriza zaczęła się stawać częścią unijnego establishmentu, zastępując na greckiej scenie stary i skorumpowany ruch socjalistyczny PASOK. Doszło nawet do tego, że Tsipras jako bezwzględny egzekutor cięć w płacach i emeryturach Greków, tak bardzo spodobał się globalnym bankierom, że gdy jego gabinet przeżywał jakieś tarapaty polityczne, od razu niebezpiecznie rosło oprocentowanie greckich papierów dłużnych. Skala wymuszonego spadku dochodu narodowego kraju sięgnęła 25 proc., zadłużenie zaś – trudnego do wyobrażenia poziomu 180 proc. PKB. Ale ponieważ Grecja Tsiprasa stała się posłusznym i obliczalnym dłużnikiem, w razie konieczności mogła liczyć na kolejne bailouty. Wciągu czterech lat bezrobocie spadło więc z 40 do 20 proc., a ostro ścięte pensje i emerytury powoli znów zaczęły rosnąć. Za polityczną decyzję Tsiprasa o utrzymaniu na siłę waluty euro Grecja zapłaciła i płaci nadal wysoką cenę. Za to w tym roku do Aten mogła w końcu przybyć z „wizytą przyjaźni" sama Angela Merkel, wcześniej obnoszona tylko po ulicach greckiej stolicy na wizerunkach w mundurze SS, z charakterystycznym wąsikiem przyczepionym pod nosem.

> Syriza zaczęła się stawać częścią unijnego establishmentu, zastępując na greckiej scenie stary i skorumpowany ruch socjalistyczny PASOK

Ideologiczny zapał Tsiprasa musiał znajdować sobie inne pola. W konserwatywnym prawosławnym społeczeństwie przeforsował prawny status związków homoseksualnych. Ateny wpuszczały do Europy imigrantów, piętnując państwa takie jak Austria, Węgry czy Czechy za zamykanie tzw. szlaku bałkańskiego. Grecki rząd walczył w obronie rewolucyjnej lewicy w Ameryce Łacińskiej, sympatyzując z Kubą i potępiając wenezuelski bunt obywateli przeciw komunistycznemu prezydentowi Maduro. Teraz w obu tych kwestiach nowy konserwatywny rząd Mitsotakisa zaczął właśnie zmieniać kierunek greckiej polityki. Zapory przed imigrantami i uznanie proamerykańskiego „alternatywnego" rządu Wenezueli są tego wyrazistymi symptomami.

Ale sam Tsipras, jeszcze będąc przy władzy, tracił coraz bardziej rewolucyjną werwę. Jego szef dyplomacji – komunista Kotzias wygłaszał co prawda czasem geopolityczne prorosyjskie frazesy, ale gdy przychodziło do głosowania w Unii sankcji przeciwko Moskwie, podobnie jak jego włoski kolega, kładł uszy po sobie i nie zgłaszał protestu. Podobnie rzecz się niedawno miała z negocjacjami grecko-macedońskimi. Mimo odejścia z rządu nacjonalistów z ANEL, mimo demonstracji i sprzeciwu ze strony ND, Tsipras postąpił tu wbrew greckim, narodowym resentymentom, natomiast zgodnie z życzeniem Brukseli i Berlina. Zgodził się na przyjęcie przez sąsiada nazwy „Północna Macedonia", otwierając mu tym samym blokowaną od dawna drogę do członkostwa w UE. Można było odnieść wrażenie, że niedawnemu wywrotowcowi i światoburcy z każdym rokiem coraz większą przyjemność sprawia płynięcie w głównym unijnym nurcie. Z chuligana i nacjonalisty, przed którym cztery i pół roku temu drżała unijna elita, Tsipras stał się dzisiaj jej pupilem, poklepywanym z sympatią po ramieniu przez unijnych socjalistów i liberałów.

CO DALEJ?

Teraz Tsipras zapowiada, że Syriza nie tylko „nie zniknie", ale że będzie „opozycją dynamiczną". To znaczy taką, która w walce z rządem na co dzień używa strajków i ulicy. Za kilka miesięcy ma się odbyć kluczowy kongres partii, a wielu analityków (np. „The Economist") spodziewa się, iż Tsipras będzie chciał go wykorzystać dla wyraźniejszego odejścia Syrizy od jej komunistyczno-wywrotowych korzeni i przekształcenia w partię mainstreamowej unijnej lewicy. Tsipras może jednak wkrótce mieć twardy orzech do zgryzienia w związku z planami nowego konserwatywnego rządu. Choć bowiem motywowany całkiem innymi racjami ideowymi, Mitsotakis do pewnego przynajmniej stopnia chce pójść śladem swojego poprzednika na urzędzie premiera z 2015 r. i zyskać od Unii poluzowanie budżetowej dyscypliny.

Już dzień po zaprzysiężeniu Mitsotakisa niemiecki szef EFSF (czyli funduszu pomocowego strefy euro) przypomniał Grekom, iż do 2022 r. muszą mieć nadwyżkę budżetową, co Tsipras zagwarantował wszystkim wierzycielom. Tymczasem Mitsotakis jako liberał chciałby rozruszać gospodarkę, wyraźnie obniżając podatki (CIT z 28 do 20 proc., VAT dla turystyki z 24 do 11 proc., a PIT w pierwszej grupie nawet z 22 do 5 proc.). Jeśli na tym tle konserwatywny rząd (podobnie jak to się stało w Italii) wejdzie w spór z bankierami i Unią, Tsipras będzie mieć nie lada dylemat, jak zachować się wobec takiego sporu.

eprasa.pl 5a1adb7661

Europa jutra. Silna, czyli jaka?

Z początkiem września biznes i polityka nabierają rozpędu po wakacyjnym spowolnieniu. Mało jest miejsc, w których można to poczuć równie dobrze jak w Krynicy. Organizowane od ponad ćwierćwiecza Forum Ekonomiczne w Krynicy zyskało sobie renomę najważniejszego spotkania elit Europy Środkowo-Wschodniej

Przez trzy dni w tym 10-tysięcznym miasteczku uzdrowiskowym Beskidu Sądeckiego bije serce Europy. Tam toczą się rozmowy i zapadają decyzje dotyczące nie tylko na Polski, lecz całej Europy. Tam zjeżdżają głowy państw i rządów, ministrowie, parlamentarzyści, liderzy biznesu i eksperci trzeciego sektora. Wszyscy zgodnie podkreślają, że klimat tego miejsca sprzyja prowadzeniu merytorycznej rozmowy i osiąganiu wzajemnego zrozumienia.

Zgodnie z mottem: „Europa jutra. Silna, czyli jaka?", tegoroczne forum będzie poszukiwać odpowiedzi na pytanie o to, jak Europa poradzi sobie w nadchodzącej dekadzie w zderzeniu z globalnym układem sił politycznych oraz ekonomicznych. – Europa od dłuższego czasu nie może się uporać z wewnętrznymi problemami, wśród których na pierwszy plan wychodzi brexit. Kwitnie natomiast współpraca w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Rozwój przeżywa również inicjatywa Trójmorza, jakkolwiek nie budzi ona entuzjazmu w Europie Zachodniej. W polityce globalnej mamy do czynienia z amerykańsko-chińską wojną handlową i wzrastającym napięciem na linii Stany Zjednoczone–Iran. Wydarzenia te mogą mieć olbrzymi wpływ na światową politykę i ekonomię w najbliższym czasie, a ich konsekwencje mogą dawać o sobie znać latami – mówi Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej i pomysłodawca Forum Ekonomicznego w Krynicy. – Tylko

eprasa.pl 5a1adb7661

Między gospodarką a polityką – sesja plenarna

Premier Litwy Saulius Skvernelis odbiera nagrodę „Człowieka Roku" Forum Ekonomicznego od premiera Mateusza Morawieckiego

Fot. ISW | 17/0319/F

wspólny głos Europy może pokazać jej siłę. Rozbieżności w sprawach zasadniczych dają pole do forsowania własnych interesów krajom o największym potencjale gospodarczym i militarnym. A przecież europejscy liderzy potrafią rozmawiać, czego doskonałym przykładem może być sprawa Macedonii Północnej i Grecji. Konflikt o nazwę udało się zażegnać po bardzo wielu latach. Tylko zjednoczenie, charakteryzujące się wspólnym spojrzeniem w przyszłość, poszanowaniem odrębności historycznych i interesów każdego, jest zdolne zapewnić Europie siłę i konkurencyjność wobec innych kontynentów. Kierowanie się egoizmem ostatecznie do niczego nas nie zaprowadzi. Choć ekonomicznie stoimy dobrze, to społeczeństwo europejskie starzeje się i prędzej czy później ten wyścig przegra – dodaje Berdychowski.

Blisko 5 tys. gości z najdalszych zakątków świata to najlepsza wizytówka konferencji. W tym roku organizatorzy szykują się na kolejny rekord frekwencji. Już ponad 40 proc. jej uczestników pochodzi z zagranicy. Dominuje wśród nich pogląd, że Forum Ekonomiczne to doskonała platforma wymiany poglądów, gdzie można prowadzić konstruktywny dialog o sprawach kluczowych dla kontynentu.

Program tegorocznego forum obejmuje pięć sesji planarnych, a także ponad 200 dyskusji panelowych w ramach kilku ścieżek tematycznych. Goście będą się poruszać po zagadnieniach z obszarów: biznesu i zarządzania, inwestycji i rozwoju, Europy i świata, makroekonomii, nowej gospodarki, państwa i reform, społeczeństwa, a także polityki międzynarodowej, bezpieczeństwa, energetyki oraz innowacji. Tradycyjnie odbędą się także Fora Ochrony Zdrowia i Regionów. Wśród przyznawanych nagród nie zabraknie na pewno tej dla Człowieka Roku. W ubiegłym roku laureatem został premier Litwy Saulius Skvernelis. – Forum Ekonomiczne w Krynicy to marka sama w sobie, która znana jest w całej Europie, a nawet daleko poza nią. Co roku tak układamy program, aby jego różnorodność dawała szansę na szerokie spektrum możliwości w zapraszaniu najważniejszych gości. Przygotowania do tegorocznej edycji zaczęliśmy wyjątkowo wcześnie. Wszystko za sprawą bardzo ambitnych planów i pierwszych przymiarek do Forum w 2020 r., które jednocześnie będzie 30. w historii – podkreśla Kinga Redłowska, dyrektor programowa forum.

W agendzie konferencji, która odbędzie się w dniach 3–5 września, znajdzie się wiele zagadnień dotyczących najbardziej palących problemów i wyzwań, przed którymi stoją Polska i Europa. Część polityczną zdominują z pewnością rozmowy na temat wyborów parlamentarnych, zaplanowanych na późną jesień. Wiele uwagi poświęcone będzie kwestiom zdrowia, ze szczególnym uwzględnieniem onkologii (która mocno wybrzmi podczas obrad Forum Ochrony Zdrowia), rozwoju komunikacyjnego, nowoczesnych technologii, migracjom czy kwestiom międzynarodowym. Początek września w Krynicy będzie z pewnością gorący, nawet jeśli górska pogoda okaże się bardziej kapryśna niż w ubiegłym roku.

eprasa.pl 5a1adb7661

BGK jednoczy Trójmorze

Powołana w 2015 r. inicjatywa Trójmorza to najambitniejszy projekt integracji naszego regionu Europy od lat. Strategia polegająca na wzmocnieniu spójności tego obszaru Unii Europejskiej nie byłaby jednak możliwa bez wsparcia finansowego. Inwestycje w infrastrukturę, energetykę czy cyfryzację wymagają funduszy – na szczęście jest Bank Gospodarstwa Krajowego

Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia i Węgry – to właśnie te kraje tworzą Inicjatywę Trójmorza, której celem jest szersza integracja państw naszego regionu Unii Europejskiej.

Trójmorze to inicjatywa polityczna, ale w ostatnim czasie również gospodarcza – nawet najbardziej politycznie zintegrowany obszar nie będzie mógł wzmocnić konkurencyjności całej Unii Europejskiej, być dla niej wartością dodaną, jeśli nie będzie miał rozbudowanej infrastruktury, energetyki czy odpowiedniej cyfryzacji.

INFRASTRUKTURA POŁĄCZY REGION

Według szacunków SpotData w najbliższej dekadzie (do 2030 r.) inwestycje w krajach Trójmorza mogą kosztować ponad bilion euro, z czego połowa zostanie przeznaczona na infrastrukturę sieciową, w tym drogi, tory, lotniska, sieci elektryczne i gazowe. „Jeżeli zbudujemy infrastrukturę, ułatwimy komunikację i współpracę między tymi krajami, to będą one w stanie zwiększać wymianę gospodarczą, a tym samym tempo swojego rozwoju" – wskazuje Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK.

eprasa.pl 5a1adb7661

Jednak państwa Trójmorza nie byłyby w stanie wygenerować tak potężnych funduszy, toteż muszą przyciągać inwestorów prywatnych. Państwa Trójmorza w przyszłości powinny dążyć do osiągnięcia struktury finansowania widocznej w krajach zachodniej UE – 30–40 proc. udziału ma sektor publiczny, z kolei 60–70 proc. sektor finansowania rynkowego. Jednak zdobycie finansowania dla tak dużego obszaru wymaga zgromadzenia co najmniej kilku partnerów. Na szczęście to wyzwanie podjęły europejskie banki rozwoju będące współzałożycielami Funduszu Inwestycyjnego Inicjatywy Trójmorza – fundusz ten ma pełnić funkcję inwestycyjnego wehikułu pozwalającego na finansowanie najważniejszych regionalnych projektów infrastrukturalnych.

Prace idą pełną parą, ponieważ już 29 maja br. Bank Gospodarstwa Krajowego wraz z rumuńskim EximBankiem podpisał w Luksemburgu akt założycielski wspomnianego funduszu – fundusz ów będzie działał na podstawie luksemburskiego prawa i opierał się na zasadach komercyjnych i rynkowych. Jak podkreśliła prezes BGK Beata Daszyńska-Muzyczka: „Zazwyczaj negocjacje w sprawie strategii i ram prawnych funduszy tego rodzaju zajmują od 20 do 30 miesięcy. Zespół ds. Trójmorza przeprowadził je w kilka miesięcy, z czego, jako banki rozwoju, jesteśmy niezwykle dumni. Jest to niesamowite osiągnięcie zarówno na poziomie europejskim, jak i globalnym". Z tą opinią zgadza się Traian Halalai, prezes rumuńskiego EximBanku, który wskazał: „Celem Funduszu Inwestycyjnego Inicjatywy Trójmorza jest uzupełnienie programów unijnych oraz zwiększenie konkurencyjności państw regionu Trójmorza. Zostanie jednym z założycieli funduszu jest dla EximBanku zaszczytem i jesteśmy przekonani, że przyczyni się do wzmocnienia gospodarki zjednoczonej Europy".

Podczas tworzenia funduszu wybrano niezależny podmiot zarządzający oraz bank-depozytariusza. Podmiotem zarządzającym została firma Fuchs Asset Management odpowiadająca za zarządzanie ryzykiem, portfelem inwestycyjnym funduszu oraz zarządzanie i dystrybucję środków funduszu. Zespół Fuchs otrzyma wsparcie doradców inwestycyjnych przy wyborze i analizie potencjalnych inwestycji, same decyzje zaś będą podejmowane z udziałem wyspecjalizowanych komitetów inwestycyjnych. Fundusz zamierza też powołać Credit Suisse Fund Services (Luxembourg) SA jako centralnego agenta ds. administracji i Credit Suisse (Luxembourg) SA jako bank-depozytariusza.

Timothé Fuchs, dyrektor generalny Fuchs Asset Management, cieszy się, że to właśnie jego instytucja została wybrana do udziału w Funduszu: „Z przyjemnością podejmiemy współpracę z Funduszem Inwestycyjnym Inicjatywy Trójmorza w charakterze podmiotu zarządzającego. Fundusz będzie znaczącym przedsięwzięciem dla regionu, a także dla całej Unii Europejskiej, wspierającym jego lepszą integrację, mobilność i komunikację między państwami członkowskimi w przyszłości. Powołanie nas do pracy przy tym projekcie podkreśla wspólne cele naszych organizacji".

FUNDUSZE PILNIE POTRZEBNE

Skąd będą pochodziły fundusze? Źródła są różnorodne. Same instytucje założycielskie złożyły zobowiązania do wpłat w łącznej kwocie przekraczającej 500 mln euro, sam Fundusz jest zaś otwarty dla innych państw Trójmorza, które mogą doń dołączyć po uzyskaniu stosownych zezwoleń – każde z państw Trójmorza zostanie uznane za założyciela funduszu. Obecnie rada nadzorcza składa się z przedstawicieli banków z Polski, Rumunii, a także Republiki Czeskiej. Zarząd funduszu będzie nadzorować wdrażanie strategii inwestycyjnej w poszczególnych krajach. Bieżący monitoring kluczowych potrzeb regionu Trójmorza będzie sprawowany dzięki spotkaniom organów funduszu, odbywającym się rotacyjnie w każdym z krajów uczestniczących w funduszu – dzięki temu zarządzający funduszem będą mieli stały wgląd w najbardziej witalne potrzeby inwestycyjne regionu i będą mogły na nie reagować szybko i skutecznie.

Sam Fundusz zaprasza też prywatnych inwestorów spośród funduszy emerytalnych, prywatnych funduszy inwestycyjnych i innych podmiotów. Dzięki temu osiągnięcie celu między 3 do 5 mld euro znajdzie się w zasięgu ręki.

INWESTYCJE, TYLKO JAKIE?

Fundusz Trójmorza ma jednak wyraźny cel, którym jest realizacja priorytetowych dla regionu projektów inwestycyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem, jak już wspominaliśmy, zrównoważonej infrastruktury transportowej (linie kolejowe, śródlądowe drogi morskie, porty i autostrady), infrastruktury energetycznej i infrastruktury cyfrowej – coraz ważniejszej w dzisiejszym szybko zmieniającym się świecie.

Kiedy dana inwestycja będzie mogła liczyć na zaangażowanie Funduszu? Fundusz na zasadach komercyjnych będzie się angażował w projekty infrastrukturalne, których docelową wartość szacuje się na 100 mld euro. Co ważne, same potrzeby regionu Trójmorza oszacowano na 570 mld euro – tym samym Fundusz będzie aktywizować też inne źródła finansowania, takie jak choćby środki poszczególnych krajów regionu czy też fundusze unijne. Strategia zakłada też możliwość inwestowania w różnorodne projekty, na różnych etapach realizacji. Tym samym mogą one obejmować np. inwestycje typu greenfield lub brownfield, nabywanie udziałów, uczestnictwo w spółkach celowych lub też udzielanie długu podporządkowanego. Fundusz będzie tym sposobem wspierać i uzupełniać programy unijne oraz wzmocni konkurencyjność samej UE.

Trójmorze jako inicjatywa polityczna i ekonomiczna z pewnością przyczyni się do wzmocnienia naszego regionu w Unii Europejskiej. Dla Polski inicjatywa ta oznacza wzrost znaczenia i dalsze możliwości rozwoju. Dla regionu Trójmorze to szansa na wykonanie ogromnego, gospodarczego skoku, który wzmocni pozycję tych państw. Jeśli weźmiemy pod uwagę też możliwość zmiany kierunków transportowych, przesunięcie płaszczyzny z osi wschód-zachód na rzecz pionowej struktury północ-południe, dostrzeżemy, jak ważne dla całej geoekonomicznej struktury tego obszaru są inwestycje infrastrukturalne. Kluczowym wsparciem w realizacji tych inwestycji będzie właśnie powołany z udziałem BGK Fundusz Trójmorza.

Arkady Saulski

fot. shutterstock | 58/0519/F

31/0719/F

eprasa.pl 5a1adb7661

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl

eprasa.pl 5a1adb7661

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

eprasa.pl 5a1adb7661

Fot. Shutterstock

Szczepienia podane na chłodno

Trzeba wydawać więcej, żeby w efekcie zapłacić za polskie zdrowie mniej – to jeden z wniosków z raportu Fundacji Republikańskiej o systemie szczepień obowiązkowych. Konserwatywny think-tank podjął spore ryzyko i wziął na warsztat temat, który budzi gigantyczne emocje. Dobrze się stało, bo zamiast histerycznych ataków na system szczepień lub często przeciwskutecznych prób jego obrony, dostaliśmy wreszcie chłodną analizę kluczowych dokumentów, kosztów szczepień i ich społecznych efektów

PIOTR FILIPCZYK

„Brakuje szczepionek przeciwko groźnym chorobom, apteki wyczyszczone z zapasów!", „Przedszkola i żłobki tylko dla zaszczepionych dzieci!", „Ta szczepionka zabija!". To tylko niektóre z setek doniesień prasowych na temat szczepień z ostatnich tygodni. Pobieżna lektura mogłaby świadczyć, że tematem żyją prawie wszystkie media – od tych dużych i lewicowych (jak „Gazeta Wyborcza") po najmniejsze portale dla najprawdziwszych Polaków. Gdy przyjrzeć się bliżej, dostrzegamy jednak, że te rozbłyski zainteresowania i emocji bardzo szybko gasną. Okazuje się, że szczepionki jednak są dostępne, że o dodatkowych sankcjach dla rodziców nieszczepiących dzieci więcej się mówi, niż robi, no i że jednak żadna szczepionka nie zabija (a przynajmniej, że nie ma na to żadnego przekonującego dowodu).

O CZYM JEST MOWA

Teksty bądź ich fragmenty zyskują za to nowe życie na forach i facebookowych grupach antyszczepionkowców. Są tam analizowane przez rozemocjonowanych użytkowników dosłownie na wszystkie sposoby; tak długo, że na końcu często trudno się połapać, o czym w ogóle jest mowa.

– Rosnąca rola polityki szczepiennej wymaga skutecznej edukacji i transparentnego informowania społeczeństwa – zauważa Kamil Orzeł, wiceprezes Fundacji Republikańskiej, która przygotowała i opublikowała raport „Wskazania do usprawnienia systemu obowiązkowych szczepień finansowanych przez państwo". – W dobie pogłębiającego się kryzysu zaufania do dokonań naukowych należy tu prowadzić szeroko zakrojoną, uczciwą i skuteczną politykę informacyjną. Mamy nadzieję, że nasza publikacja będzie wsparciem tego procesu – dodaje.

Czy raport, który można było dostrzec choćby w boksie Fundacji Republikańskiej rozstawionym w kuluarach niedawnego kongresu programowego PiS, stanie się kanwą szerszej dyskusji? Znając realia – trudno mieć taką nadzieję. Tym bardziej warto więc spojrzeć na najważniejsze wnioski i ustalenia ekspertów.

Autorzy raportu przede wszystkim zadali sobie trud zebrania i przeanalizowania najważniejszych przepisów doty-

eprasa.pl 5a1adb7661

czących polityki szczepiennej. Analizie poddano także akty nieposiadające rangi ustawy ani rozporządzenia, które zawierają wytyczne odnośnie do kierunków projektowania przepisów. Mamy więc spojrzenie na Narodowy Program Zdrowia na lata 2016–2020 czy ogłoszoną ze sporym hukiem Politykę Lekową Państwa na lata 2018–2022, w której wiele miejsca poświęcono właśnie problemowi szczepień ochronnych. Ważnym kontekstem całości jest zaś (również przejrzana przez autorów) Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Mateusza Morawieckiego.

„Umieszczenie zagadnień szczepień ochronnych w szerszym polu zmiany, która zachodzi w sposobie funkcjonowania instytucji publicznych od czasu przyjęcia tych dokumentów, może mieć wpływ na propozycje korekty koncepcji szczepień ochronnych. Nie byłaby ona jednak rozpatrywana wyłącznie z punktu widzenia medycznego, lecz także w kontekście społeczno-gospodarczym czy ekonomicznym" – czytamy w raporcie.

Z BUDŻETU I Z KIESZENI

Na początek oczywistość: szczepienia się opłacają, bo koszty związane z leczeniem chorób zakaźnych są wielokrotnie wyższe niż koszty dobrego systemu szczepień ochronnych. Jak podają autorzy raportu, w latach 2010–2020 na programy w 94 krajach świata przeznaczono w sumie ok. 62 mld dol. Co ciekawe, same szczepionki to koszt ok. 24 mld dol. Resztę pochłaniają koszty organizacji i obsługi programów szczepień, a także logistyka, na którą w opisanym okresie przeznaczono ok. 4 mld dol.

„Szczepionki mają niewielki udział w światowym rynku produktów farmaceutycznych (2,4 proc.), który wart jest ponad 1 bln dol. rocznie" – podkreślają autorzy raportu. „Biorąc pod uwagę społeczne i ekonomiczne aspekty szczepień ochronnych, takie jak zapobieganie chorobom, niepełnosprawności czy śmierci, każdy 1 dolar przeznaczony na szczepienia w ciągu dekady zwraca się 44-krotnie" – dodają.

W Polsce na szczepienia wydaje się sporo, ale wciąż są to pieniądze praktycznie niezauważalne w skali całego systemu – w 2017 r. stanowiły one zaledwie 0,25 proc. wydatków bezpośrednich na ochronę zdrowia. Plan zamówień na ten rok zakłada wydatki rzędu ponad 265 mln zł. Za te pieniądze finansowane są przede wszystkim obowiązkowe szczepienia dzieci przeciwko m.in. wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, gruźlicy, błonicy, tężcowi, krztuścowi czy skojarzone szczepienie przeciw odrze, śwince i różyczce. Teoretycznie obowiązku zaszczepienia dziecka zgodnie z kalendarzem szczepień można więc dokonać całkowicie za darmo. W praktyce jednak rodzice dość często decydują się na alternatywne rozwiązania, które wymagają wysupłania pewnej kwoty z własnej kieszeni. Tak dzieje się np. ze szczepieniami przeciw pneumokokom (obowiązkowymi od 2017 r.).

„Szczepienia populacyjne prowadzone są dziś z użyciem szczepionki 10-walentnej (PCV10), szczepionka 13-walentna (PCV13) jest refundowana jedynie dla dzieci z grup ryzyka. Rodzice pozostałych dzieci mogą zdecydować się na szczepienie szczepionką 13-walentną o szerszym pokryciu serotypowym. W takim przypadku koszt szczepienia pokrywają całkowicie z własnej kieszeni" – czytamy w raporcie.

Podobnie jest w znacznie lepiej znanym przypadku stosowania szczepionek skojarzonych. Większość rodziców wybiera je ze względu na mniejszą liczbę wkłuć. Zamiast 17 zastrzyków w pierwszych dwóch latach życia dziecko dostaje ich osiem (przy szczepionce 6 w 1) lub 10 (przy szczepionce 5 w 1). Autorzy raportu przekonują, że choć powszechna refundacja tych preparatów oznaczałaby obciążenie budżetu, to w formule zakupu publicznego z pewnością zmniejszyłaby się jednostkowa cena szczepionki, a wiele innych oszczędności wynikałoby z redukcji kosztów transportu, magazynowania, utylizacji szczepionek czy wynagrodzeń personelu medycznego.

DROŻEJ, CZYLI TANIEJ

„Systematyczny i stały wzrost wydatków na zakup szczepionek jest dobrym kierunkiem i naszym zdaniem należy ten trend kontynuować. Aby optymalizować polski program szczepień, konieczne jest też prowadzenie stałego monitoringu sytuacji epidemiologicznej w społeczeństwie i skuteczne reagowanie na pojawiające się zagrożenia" – pisze w swoim komentarzu Kamil Orzeł.

Ciekawym przykładem swoistej elastyczności w tym zakresie jest podawany w raporcie świeży przykład szczepień przeciw pneumokokom w Belgii, gdzie za organizację i promocję szczepień odpowiedzialne są regionalne ministerstwa zdrowia. We Flandrii i Walonii zdecydowano się zastąpić szczepionkę 13-walentną tańszym preparatem 10-walentnym. Niedługo potem okazało się, że zmieniła się sytuacja epidemiologiczna – wzrosła ogólna liczba zgłaszanych przypadków najgroźniejszych chorób odpneumokokowych, a także wykrywanie jednego z najgroźniejszych szczepów pneumokoków. Bardzo szybko (w grudniu 2018 r.) belgijskie władze zdecydowały więc o powrocie do szczepionki 13-walentnej.

„Drożej" może oznaczać w perspektywie „taniej" także w przypadku rozszerzenia programu obowiązkowego o te szczepienia, które dziś są jedynie zalecane przez państwo. Przykład? Dzięki rozpowszechnieniu płatnych szczepień przeciw rotawirusom w ciągu dwóch lat o 79 proc. zmniejszyło się ryzyko zachorowania na pozaszpitalną biegunkę przez nie wywołaną. To oznacza mniej małych pacjentów na szpitalnych oddziałach, mniej kosztownych w leczeniu powikłań i wreszcie mniej zwolnień lekarskich dla rodziców.

Wciąż nie wiadomo, jak będzie w najbliższych latach wyglądał polski system szczepień. Poza możliwością refundacji szczepionek przeciw rotawirusom czy HPV, rozszerzeniem dostępu do preparatów wysokoskojarzonych czy ewentualną korektą programu pneumokokowego dużo mówi się o systemowym przełomie, jakim będzie objęcie kalendarzem szczepień obowiązkowych i zalecanych nie tylko dzieci, lecz również dorosłych. Wiadomo za to, że szczepienia mogą być jednym z tematów zbliżającej się kampanii wyborczej. Wypada więc sobie życzyć, by liczby, fakty i analizy nie utonęły w morzu emocji, których mamy tu mnóstwo na co dzień. Stawką jest nie tylko nasz spokój, ale i zdrowie.

eprasa.pl 5a1adb7661

Uwielbiam się nudzić na Mazurach

Można powiedzieć, że po drodze było mi, i nadal jest, z radiem. „Medialną posługę" (ukradzione od prof. Zybertowicza) zaczęłam właśnie od radia. To z niego przeszłam do telewizji, by po latach pracy z kamerą wrócić przed mikrofon. Teraz, w ramach „Lata z Radiem", połączyłam radio i telewizję, wchodząc do studia Strefy Gwiazd. Rozmawiałam tu ostatnio m.in. z Urszulą Dudziak, kpt. Krzysztofem Baranowskim czy Włodkiem Pawlikiem, a przede mną jeszcze Czesław Mozil, Marcin Kwaśny, Karol Okrasa, Bogusław Morka.

Media wykorzystują dziś wszelkie możliwości dotarcia do odbiorcy. Radio jest oglądane w komórkach, smartfonach, internecie (na Facebooku można zobaczyć m.in., jak wygląda „Lato z Radiem" od kuchni). Oczywiście, głos na antenie nadal jest bardzo ważny, ale dodawanie obrazu do fonii to naturalna tendencja. Dlatego relacji, m.in. z wydarzeń Festiwalu „Lata z Radiem", można nie tylko wysłuchać na antenach Jedynki, Dwójki, Trójki i Czwórki, lecz także je oglądać.

JOLANTA FAJKOWSKA
dziennikarka, prezenterka, szefowa audycji „Cztery pory roku" w radiowej Jedynce

Festiwal odwiedzi w te wakacje cztery miejsca pełne muzyki oraz innych atrakcji. Poza Zakopanem (na otwarcie) i Krakowem (na finał 30–31 sierpnia) na trasie znalazły się też miasta, w których nigdy nie byłam: Puck (miniony weekend) oraz Stalowa Wola (9–10 sierpnia). Kto by pomyślał, że ośrodek kojarzony z przemysłem może się tak dobrze zgrać z radiem.

Nie wyobrażam sobie letniej pory bez „Lata z Radiem", ale też wakacji bez wyjazdu na Mazury. Mam tam stałe miejsce. Nie czuję potrzeby wyjeżdżania latem za granicę. Tyle miejsc już widziałam. Zjeździłam pół świata – nie byłam tylko w Australii, jeśli chodzi o kontynenty. Ale lubię być na wielkich wydarzeniach. Wspominam igrzyska olimpijskie w Londynie, gdzie śledziłam wtedy nie najlepsze występy naszych siatkarzy. Może uda się być w Tokio w przyszłym roku. Wierzę, że tam nasi zdobędą złoty medal.

Zanim to nastąpi, zbieram siły na Warmii i Mazurach. Urodziłam się w Kętrzynie, wczesne dzieciństwo spędziłam w Olsztynie. Teraz uważam się za warszawiankę, bo w stolicy upłynęło całe moje świadome życie, ale jak wilka do lasu mnie ciągnie nad jeziora.

Od wielu lat przynajmniej dwa tygodnie odpoczywam w pięknym i cichym miejscu. Chcę, by pozostało strefą ciszy, gdzie nie ma motorówek, dyskotek, tłumów ludzi. Na co dzień dużo rozmawiam, przeprowadzam wywiady, ciągle coś załatwiam, a tam – błogość i spokój. Zabieram z sobą kilka książek, na które czasu wcześniej nie starczyło.

W tym roku przysiądę nad kolejną swoją książką – cyklem wywiadów z osobami, które od nas odeszły, a pamięć o nich wciąż jest żywa. Spotkałam się z nimi przed laty, zarejestrowałam te rozmowy, czas je spisać.

Nie nudzę się nigdy i nigdzie, ale uwielbiam się tak nudzić jak na Mazurach. Gdy przyjdzie ochota na powrót do cywilizacji, jadę do Nidzicy lub Olsztyna. To ostateczność, bo lubię leżeć na molo, liczyć chmury i żałować jak Dyzio Marzyciel, „...że te obłoczki płynące/Nie są z waniliowego kremu.../A te różowe –/Że to nie lody malinowe..."

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

eprasa.pl 5a1adb7661

SŁODKO-SŁONY

Najlepsza jest solanka

ANNA MONICKA

O kurczaku moczonym w solance dowiedziałam się od koleżanki. „Ma najlepsze mięso, delikatne i soczyste – zapewniała – lepsze nawet od pieczonego na puszce z piwem, którego dotychczas uważałyśmy za niekwestionowanego króla gościnnego stołu. Dlaczego? Bo nigdy nie natrzesz tak równomiernie mięsa solą z przyprawami, poza tym smak zostaje na skórce, a w przypadku solanki wchodzi głębiej".

Z mięsem już od dawna jestem na bakier i gdyby nie suszona kiełbasa, którą w pewnym małym wiejskim sklepiku kupuje mi ciotka, suszy na rurze bojlera, a następnie wysyła od czasu do czasu najbardziej priorytetową paczką, jaką się da, pewnie zostałabym wegetarianką.

Kurczak jednak mnie skusił na tyle, że postanowiłam zrobić w solance... indyka. Ma mięso zdrowsze i mniej tłuste, jeden ptak wystarczy na sporą imprezę przy grillu (lub tylko piekarniku – co kto lubi, ja akurat grilla nie), a po upieczeniu, gdyby jednak gościom nie udało się zjeść za jednym zamachem pięciokilogramowego stwora, świetnie nadaje się na wędlinę.

Solanka nasyca delikatne mięso smakiem, bo soli wchłania tylko tyle, ile potrzebuje. Po upieczeniu skórka ma cudowną chrupkość, a środek jest wspaniale soczysty. Ptaka wkładamy do brytfanny i zalewamy wodą z solą – w proporcji ok. 3 szklanki soli na 4 litry. Pilnujemy, żeby cały był zanurzony, przykrywamy folią i wkładamy gar na noc do lodówki. Warto ze dwa razy obrócić mięso, żeby równomiernie naciągnęło solankę. Po wyjęciu indyka trzeba dobrze wytrzeć papierowymi ręcznikami i zostawić w lodówce bez przykrycia, żeby wysechł. Potem możemy piec – to duży ptak, więc na niskim poziomie, żeby się zmieścił. Najpierw opiekamy w mocno nagrzanym piecu (do 230 st. C) po 15 min z każdej strony pierś, plecy i oba boki (można to zrobić w dużej brytfannie), potem skręcamy temperaturę do 160 st., wbijamy termometr kulinarny w pierś i zamykamy na mniej więcej dwie godziny drzwiczki. Mięso wewnątrz powinno mieć 74–75 st., gdy wyjmiemy je z pieca. Nie rzucamy się na nie od razu (czekaliśmy półtora dnia, poczekamy jeszcze 20 min), pozwalamy daniu odpocząć, a sokom ustać się i równomiernie rozejść. Kroimy indyka w plastry i podajemy z zieleniną i bagietką. Proponuję chrupką rzymską sałatę z sokiem cytryny, odrobiną oliwy, świeżo zmielonego pieprzu i soli posypaną świeżym majerankiem oraz połówkami mirabelek lub pokrojonymi w paseczki morelami. Uczta!

WILCZYM OKIEM

Amanda

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jedną z najbardziej szacownych argentyńskich firm produkujących yerba mate, eksportującą na cały świat ziele ostrokrzewu paragwajskiego *Ilex paraguariensis*, a także ryż, jest firma rodzinna założona przez Jana Szychowskiego, polskiego emigranta przybyłego do Argentyny w 1900 r. Yerba mate to obowiązkowy, codzienny, tradycyjny napój każdego w tej części świata – od polityka, przez aktora, inżyniera, rolnika, po ludzi lasu i rybaków. Nazywa się ją „zielonym złotem", bo jej uprawa przynosi znającym się na rzeczy plantatorom fortunę. Jan Szychowski lepiej niż kto inny poznał tajniki uprawy ostrokrzewu; mówiono, że „słyszy, jak yerba rośnie". A było to tak.

W roku 1900 jedenastoletni Jan Szychowski, urodzony w Borszczowie na dzisiejszej Ukrainie, przybył do Argentyny wraz z kilkunastoma rodzinami polskich emigrantów. Przez kilka tygodni wędrowali pieszo, wioząc dobytek na wozach o okutych kołach, które do dziś na całym kontynencie amerykańskim nazywa się carros polacos. Po kilku tygodniach zatrzymali się w pobliżu rzeki Parany, w miejscu, w którym znajdowała się kiedyś misja jezuicka Apóstoles. Osada była całkowicie podupadła, a teren dziki, panowało bezprawie. Stopniowo, w warunkach całkowicie pionierskich, polscy i ukraińscy osadnicy zbudowali miasto – do dziś główna arteria nazywa się Avenida Polonia.

W wieku 18 lat Szychowski zobaczył pracującą tokarkę, sprowadzoną z Niemiec. Choć ukończył zaledwie dwie lub trzy klasy szkoły podstawowej, już wkrótce w swoim zakładzie kowalskim skonstruował, zupełnie sam, pierwszą zbudowaną w Argentynie tokarkę, dzięki której stworzył młyn do mielenia ostrokrzewu, łuszczarnię ryżu, fabrykę krochmalu i turbinę wodną do zbudowanej przez siebie zapory wodnej.

Dwaj synowie polskiego emigranta zostali później ministrami w rządzie prowincji Misiones. Plantacje i fabryki działają prężnie do dziś prowadzone przez potomków Szychowskiego. Uprawia się na nich, a następnie suszy, paczkuje i wysyła w świat yerbę o nazwie Amanda. W hacjendzie La Cachuera położonej nieopodal granicy z Paragwajem do dziś znajduje się również muzeum człowieka, o którym argentyńskie dzienniki pisały „Polak, który buduje Argentynę" i do którego gubernator prowincji Misiones zwracał się wyłącznie zarezerwowanym dla najbardziej czcigodnych osób tytułem „don".

eprasa.pl 5a1adb7661

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Siedzieć cicho?

Wobec Polski wysuwano groźby, oskarżenia, pomówienia, zrobiono nam gębę i nadal trudno nam się bronić wobec absurdalnych zarzutów

www.wojciechreszczynski.pl

Pierwsze wystąpienie Patryka Jakiego na forum Parlamentu Europejskiego coś mi przypomniało z naszej historii. Podobne odczucie miałem, gdy utrącono w głosowaniu na przewodniczącą komisji ds. zatrudnienia i spraw socjalnych Parlamentu Europejskiego premier Beatę Szydło. Patryk Jaki w trakcie dyskusji nad kandydaturą Ursuli von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej postawił pytanie, czy jest jakieś prawne rozwiązanie, które wprowadzono w Polsce, a nie ma go w innych państwach Unii? Ponieważ po tym pytaniu zawsze zapada cisza, Patryk Jaki kontynuował pytanie o to, jak długo jeszcze Komisja Europejska ma zamiar stosować wobec Polski upokarzający art. 7 traktatu, w którym jest mowa o sankcjach w przypadku naruszenia przez dany kraj zasad praworządności. W podobnym tonie wypowiedział się prezydent Andrzej Duda: „Zachowanie Komisji Europejskiej w związku z reformą sądownictwa w Polsce traktuję jako formę opresji". Z kolei przegrana Beaty Szydło skłoniła prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego do innej, równie ciekawej refleksji: „Polska, jeśli chodzi o wartości, jest w zupełnie innym miejscu niż bardzo wiele państw europejskich. Beata Szydło zapłaciła po prostu za to, że jest reprezentantką katolickiego kraju i uznaje chrześcijańskie wartości". Krytycznie wypowiedział się też premier Mateusz Morawiecki: „Jest to niedobra wiadomość dla całej Unii Europejskiej (...) Wyrażamy dezaprobatę wobec tego typu działań, zachowań, niedotrzymywania umów".

Tak oto socjalistyczna i liberalna część Parlamentu Europejskiego zareagowała na udaną akcję Polski, która dzięki państwom Grupy Wyszehradzkiej zorganizowała skuteczny opór wobec kandydatury Fransa Timmermansa na szefa Komisji Europejskiej. Ten holenderski socjalista, wbrew traktatom unijnym, doprowadził do wszczęcia wobec Polski procedury z art. 7 traktatu w związku z domniemanym łamaniem przez Polskę zasad praworządności i wartości, jakimi kieruje się UE. Wobec Polski wysuwano groźby, oskarżenia, pomówienia, zrobiono nam gębę i nadal trudno nam się bronić wobec absurdalnych zarzutów, które nawet po ostatnich eurowyborach podtrzymuje Komisja Europejska. Niestety, unijne oskarżenia aprobuje żarliwie polska totalna opozycja, co czyni z niej współczesną Targowicę. Targowica z PO, która nie ukrywała radości z przegranej Beaty Szydło, Targowica wiosennej tęczy Biedronia, którą w kampanii do europarlamentu osobiście wspierał Frans Timmermans.

Ten polityk to wypisz wymaluj Johannes Falkenberg, żyjący na przełomie XIV i XV w. Niemiec, dominikanin, pochodzący z Gdańska, autor polemiki między Polską a zakonem krzyżackim. Falkenberg wściekły po klęsce zakonu pod Grunwaldem przedstawiał na Zachodzie Polskę jako „świątynię pogaństwa", ziemię bezbożników udających tylko chrześcijan. Za te oszczerstwa oczywiście płacił mu sowicie zakon, ale do czasu. Średniowiecznego autora fake newsów powstrzymał Paweł Włodkowic z Brudzewa, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doprowadził do jego aresztowania, publicznego procesu zakończonego więzieniem i potępieniem przez papieża Marcina V. Wszystko to działo się na soborze w Konstancji w latach 1414–1418.

Nie było łatwo polskiej delegacji w Konstancji. Cesarz Zygmunt Luksemburski nienawidził Polski, podobnie liczni biskupi i zachodni uczeni. Nie podobało im się głoszenie przez Polskę, że względem pogan obowiązują te same prawa, co względem chrześcijan, i że przemocą nie można narzucać wiary. W tamtych czasach, a spór z zakonem krzyżackim trwał prawie sto lat, sympatie Europy zawsze były po stronie zakonu. Jak pisze prof. Feliks Koneczny: „Była to walka Polski nie tylko z Krzyżakiem, lecz z Europą. Nie tylko bowiem Niemcy wspierali zakon, ale i Czesi, Francuzi, Anglicy, Szkoci". Wielki filozof zauważa, że przyjmowaliśmy z Zachodu wiele rzeczy bezkrytycznie. Dlatego Polska musiała wykształcić i wykształciła własne teorie, własną formułę dla Zachodu, tak abyśmy byli zdolni przetrwać w niekorzystnym środowisku i nie zatracić siebie. A co ciekawe, tylko Włosi nie wysyłali swoich rycerzy do walki po stronie zakonu z ciemną pogańską Polską. Bo tam, w Rzymie, było duchowe centrum chrześcijaństwa, a Watykan często występował przeciwko zakonowi i cesarzowi.

A dziś w naszej walce z Timmermansem wspierał nas wicepremier Włoch Mateo Salvini.

Polska nie musi się tłumaczyć z decyzji, do których jako suwerenne państwo ma prawo. Nie jesteśmy państwem drugiej kategorii. A to, że dawniej i dziś układ niemiecko-francuski nie znosi sprzeciwu, no cóż... Pamiętamy, jak nas podsumował prezydent Jacques Chirac: „Polska straciła okazję, aby siedzieć cicho". Mam nadzieję, że Polska pod obecnymi rządami nadal nie będzie siedzieć cicho.

eprasa.pl 5a1adb7661

Igrzyska w Tokio – za rok!

Dokładnie rok dzieli nas od inauguracji XXXII Igrzysk Olimpijskich w Tokio (rozpoczną się 24 lipca 2020 r.). Japońska stolica, do której ta największa na świecie impreza sportowa zawita już po raz drugi, przygotowuje się niezwykle solidnie do podjęcia ponad 10 tys. sportowców z 206 państw

Na potrzeby igrzysk powstało lub powstaje nadal kilka nowoczesnych obiektów. Starsze, także te służące zawodnikom 56 lat wcześniej, gruntownie zmodernizowano i odświeżono – za rok na pewno będą w pełni gotowe do przeprowadzenia na nich olimpijskiej rywalizacji.

My z igrzyskami 1964 r. wiążemy wspaniałe wspomnienia. To wtedy właśnie w stolicy Kraju Kwitnącej Wiśni błysnęły talenty późniejszych gwiazd światowej lekkoatletyki – wówczas 18-letnich Ireny Kirszenstein (Szewińskiej) i Ewy Kłobukowskiej. To na tych igrzyskach wspaniały „złoty serial" zafundowali kibicom polscy pięściarze – Józef Grudzień, Jerzy Kulej i Marian Kasprzyk. Na najwyższym stopniu podium stanęli również: sztangista Waldemar Baszanowski i florecista Egon Franke. Ogółem biało-czerwoni zdobyli w Tokio aż 23 medale (7 złotych, 6 srebrnych i 10 brązowych), co w klasyfikacji medalowej uplasowało Polskę na znakomitym siódmym miejscu wśród 93 startujących tam państw.

Droga do igrzysk roku 2020 trwa od wielu miesięcy – dla niektórych zawodników rozpoczęła się niemal bezpośrednio po ich starcie w Rio de Janeiro w 2016 r. Ci, którym start w Brazylii się nie udał, pałają chęcią zrehabilitowania się za niepowodzenia. Inni chcą bronić w Japonii pozycji już osiągniętych w światowym sporcie. Jednych i drugich czeka teraz walka o zakwalifikowanie się do narodowej reprezentacji. Solidnie więc trenują i startują w rozmaitych imprezach europejskich i światowych, na których mogą zdobywać olimpijskie kwalifikacje – osiągając albo określone minima wynikowe, albo też zbierając punkty do międzynarodowych rankingów. Walka o olimpijskie paszporty będzie się toczyć aż do końca czerwca przyszłego roku i dopiero wtedy – na podstawie propozycji przedłożonych przez poszczególne związki sportowe i Sztab Przygotowań Olimpijskich – Zarząd PKOl będzie mógł formalnie zatwierdzić skład Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej. Stan polskich kwalifikacji na drugą połowę lipca br. jest jeszcze dość skromny – jest ich siedem – po trzy w strzelectwie sportowym i żeglarstwie oraz jedna w jeździectwie (WKKW). Można jednak szacować, że ostatecznie nasza narodowa ekipa na Tokio będzie liczyć ok. 220–250 zawodników. Spory wpływ na jej wielkość będzie mieć to, ile polskich drużyn zdobędzie prawo udziału w turniejach olimpijskich.

Igrzyska olimpijskie Tokio 1964, sztafeta 4x100 m, rekord świata 43,6 s, złoty medal: Irena Szewińska, Halina Górecka, Teresa Ciepły i Ewa Kłobukowska

Fot. Janusz Szewiński

Ten rok jest dla Polskiego Komitetu Olimpijskiego czasem szczególnym. Już od stycznia na terenie całego kraju odbywa się wiele wydarzeń związanych z przypadającą 12 października setną rocznicą powołania w Krakowie Komitetu Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich (później przekształconego w PKOl). Okolicznościowe spotkania z olimpijczykami, konkursy, wystawy i konferencje naukowe, ale nade wszystko imprezy sportowe wpisują się w obchody tego jubileuszu. Stulecie polskiego ruchu olimpijskiego to wyśmienita okazja do przypomnienia największych sukcesów polskiego sportu na igrzyskach oraz ich bohaterów. Warto pamiętać, że olimpijski debiut naszego sportu miał miejsce w 1924 r. w Chamonix (zima) i Paryżu (lato), a znad Sekwany ze srebrnym krążkiem wróciła do kraju drużyna kolarzy torowych (Józef Lange, Jan Łazarski, Tomasz Stankiewicz, Franciszek Szymczyk), z brązowym zaś jeździec Adam Królikiewicz.

Ogółem w latach 1924–2018 na zimowych i letnich igrzyskach polscy olimpijczycy wywalczyli aż 305 medali, w tym 75 złotych. Czekamy na następne – te z Tokio...

eprasa.pl 5a1adb7661

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Zagłodzić raka

Witold Gadowski

Jeszcze cztery lata... Uuu – słyszę już ten jęk. Tak, tak, oby do tego doszło, oby środowiska, które nie potrafią się obyć bez państwowego grosza, jeszcze co najmniej przez cztery lata przeżywały kurację odwykową. Tak pięknie więdnie nam „Gazeta Wyborcza", a jeszcze niedawno pouczała o „grze rynkowej", o „sprawnym managemencie", wreszcie o swojej „przewadze intelektualnej" nad innymi środowiskami. A tu masz – wystarczyły cztery lata jako takiego (bo przecież jeszcze niezupełnego) oderwania od publicznego koryta i już jej ludzie zaczynają zawodzić sopranikiem.

Potrzeba następnej kadencji, aby jeszcze mocniej przykręcić śrubę i wyzwolić wreszcie Polaków z odoru tego intelektualnego kubła, do którego coraz mocniej trafiają nieczystości z Zachodu. Podnoszą się głosy, aby bezwzględnie karać za przywóz śmieci z zagranicy, a dlaczegóżby nie traktować w ten sposób także myślowych odpadów, które hurtowo ściągane są z najbardziej popapranych kręgów na tzw. Zachodzie? Intelektualne śmieci też powinny być przecież obarczone klauzulą zakazu wwozu do kraju, zagrożone karą przymusowej lektury Mickiewicza, Sienkiewicza, Słowackiego czy Herberta... Ależ by ich skręcało, to tak jakby czarta święconą wodą z kropidła potraktować. Niech się jednak reedukują, być może jeszcze coś z nich będzie.

Oczywiście zaraz podniesie się larum, że nie ma demokracji, gdy Krystyna Janda nie dostaje dotacji, gdy młody Stuhr nie jest obsadzany w dotowanych z państwowej kiesy produkcjach, gdy wyznawcom topniejącej sekty pana Michnika nie przyznaje się państwowych pieniędzy, gdy nie pada się do nóżek laureatom nagrody Nik(ł)e, ale przecież tak właśnie ma być! Skoro macie takie poparcie, tylu wyznawców... to niech was utrzymują. Dlaczego polskie państwo ma sobie hodować takiego raka na brzuchu?! Polska głosuje w wyborach i pokazuje, czego chce, nie róbcie więc rwetesu, że nie dostajecie tego, co od końca lat 40. uważaliście za swoje lenno.

Halo! Przyszły nowe czasy, wyprowadzamy Polskę na ciekawsze wody. Niech was utrzymują wyznawcy, wielbiciele, publiczność. Że za mało, że nie da się z tego wyżyć? No to weźcie się do innej roboty.

Kulturowo-edukacyjna zapaść

Lech Makowiecki

Pół wieku komunistycznej indoktrynacji i trzy dekady liberalno-lewackiego prania mózgu (media, internet, sztuka) przynoszą już wymierne efekty. Według badań Pew Research Center nasz kraj jest globalnym liderem spadku religijności, liczonym z pokolenia na pokolenie.

Wiara – w połączeniu z poszanowaniem dla historii i tradycyjnym patriotyzmem – zawsze była najważniejszym spoiwem naszego narodu. Gdy w przestrzeni publicznej zabraknie Boga, pojęcia honoru i ojczyzny zostaną wyrugowane przez hedonizm. To, czego nie udało się dokonać zaborcom, Hitlerowi i Stalinowi – realizuje dziś skutecznie agresywna, genderowa rewolucja. Aktywiści LGBT niszczą etos rodziny, by zmienić młodzież w bezmyślne, seksualne zwierzątka (docelowo w egoistycznych, łatwo sterowalnych kosmopolitów). Bez zahamowań, refleksji, obowiązków, bez troski o przyszłość. Gdy dom, Kościół i szkoła przestają wychowywać, małolaty tracą z pola widzenia dobro, piękno, prawdę i sam sens życia. W krajach UE zagłada Sodomy i Gomory dokonuje się na własne życzenie, zwycięża przekonanie, że prokrację należy pozostawić... imigrantom!

Czy jest możliwe odwrócenie tych trendów? Ależ tak! W II RP, mimo mizerii środków, wykonano gigantyczną pracę kulturalno-oświatową. Powstawały patriotyczne piosenki, realizowano historyczne spektakle i filmy, kultywowano bohaterów narodowych, a rodzina, Kościół i szkoła wspólnie kształtowały morale dzieci i młodzieży. Odbudowa polskiej normalności wymaga od władz zdecydowanej, edukacyjnej ekspansji. Z pieniędzy podatników nie wolno dłużej sponsorować antypolskich projektów. Trzeba inwestować w atrakcyjną patriotyczną popkulturę, w dobre kino historyczne, familijne, z wartościami. Bo niby skąd młodzież ma czerpać wzorce czy wiedzę o świecie?

PS Marzy mi się film (wojenny horror), ukazujący multikulturową Europę za 15–20 lat. Tak ku przestrodze. I żeby jeszcze powstał polski odpowiednik Facebooka.

58/0619/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Warsaw Enterprise Institute i Fundacja im. XBW Ignacego Krasickiego, przy wsparciu Fundacji Książąt Czartoryskich, z dumą prezentują pierwsze i jedyne takie opracowanie: sylwetki osób, które wniosły ważny wkład w polską gospodarkę.

Od czasów Jagiellonów po dwudziestolecie międzywojenne – kilkadziesiąt postaci, także tych dzisiaj zupełnie zapomnianych.

Bogato ilustrowana edycja – nie tylko ciekawa lektura, ale i ozdoba domowej biblioteki. Do kupienia w księgarniach internetowych i poprzez stronę wei.org.pl

Spis najciekawszych sylwetek polskich biznesmenów minionych czasów prezentuje się niezwykle interesująco. Barwne charaktery i niezwykłe historie powinny bez trudu przyciągnąć do tej książki czytelnika, a następnie sprawić, że będzie on żądny poszerzenia swej wiedzy na temat wybranych postaci lub też poszczególnych procesów gospodarczych sprzed kilkudziesięciu lub kilkuset lat.

Krzysztof Biernacki, historia.org

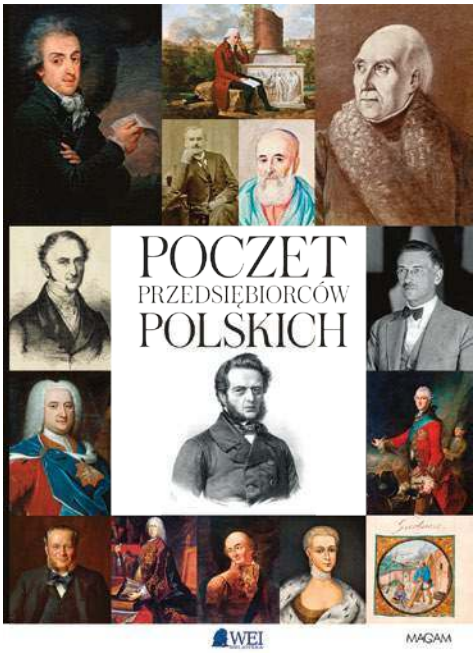

Autorzy na 191 stronach zaprezentowali bardzo interesujący wybór działaczy gospodarczych; przedstawili dużą liczbę faktów mało znanych, lub zapomnianych. Publikacja zasługuje na zainteresowanie, szczególnie ze strony osób zastanawiającymi się nad rzeczywistymi przyczynami upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która jeszcze na przełomie XVI i XVII w. była jednym z najpotężniejszych państw kontynentu.

dr hab. Lech Królikowski, wieloletni prezes Towarzystwa Przyjaciół Warszawy

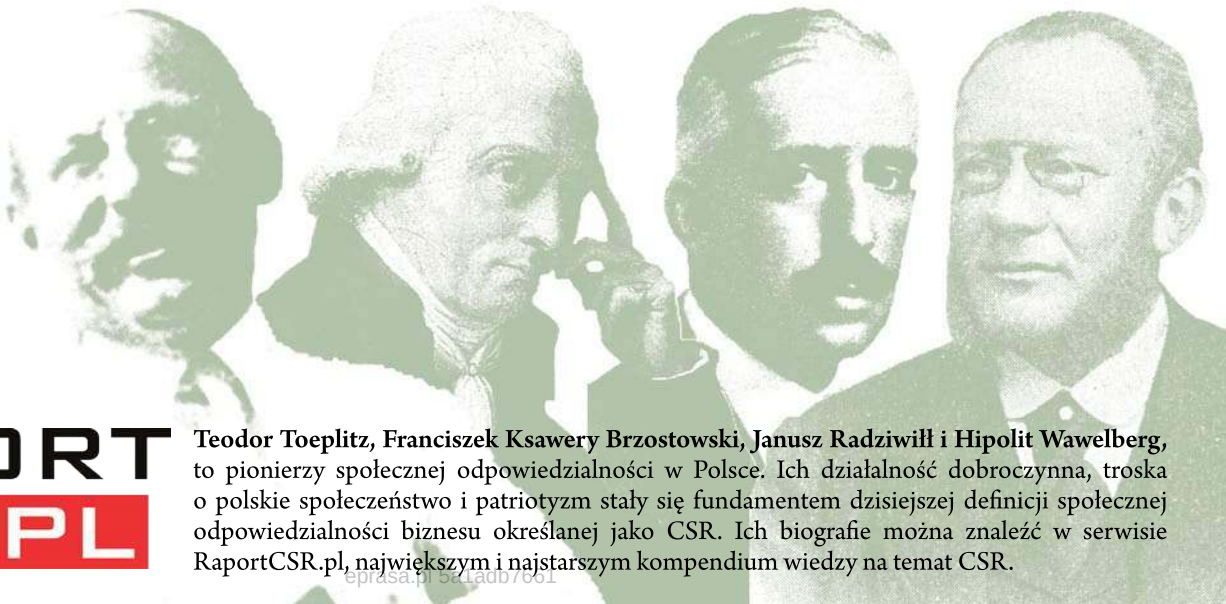

RAPORT CSR.PL

Teodor Toeplitz, Franciszek Ksawery Brzostowski, Janusz Radziwiłł i Hipolit Wawelberg, to pionierzy społecznej odpowiedzialności w Polsce. Ich działalność dobroczynna, troska o polskie społeczeństwo i patriotyzm stały się fundamentem dzisiejszej definicji społecznej odpowiedzialności biznesu określanej jako CSR. Ich biografie można znaleźć w serwisie RaportCSR.pl, największym i najstarszym kompendium wiedzy na temat CSR.

eprasa.pl 581adb7661

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wrzawa i pragmatyzm

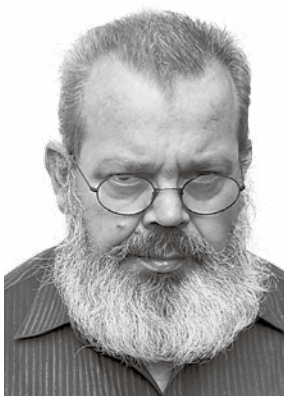

Aleksander Nalaskowski

Histeria opozycji na okoliczność rekrutacji do szkół średnich jest tyle głośna, ile absolutnie fałszywa. A poza wszystkim kompletnie nieuzasadniona. Jednakowoż to klasyka: znaleźć sobie punkt zaczepienia, a potem wniebogłosy wyć i łkać, „jak oni źle rządzą". Przy okazji wychodzą rozmaite kwiatki i potęga ludzkiej głupoty. Do grona politycznych humbugów cicho doszlusowała Ula Pasławska z PSL. W jednym z programów bredziła coś o straconym pokoleniu, o jakiejś traumie młodzieży i widać było, że w tej sprawie nie ma wszakże zupełnie nic do powiedzenia, ale tym bardziej właśnie chce mówić i telewizyjnie zaistnieć za wszelką cenę. To jedna z tych osób, które nieświadome niczego, robią dobrą robotę – grzebią na zawsze ten dziwny twór o nazwie PSL, który ma z PSL, ludowcami i Witosem tyle wspólnego, ile Libicki z partyjną lojalnością. Mam nadzieję, że to dzieło się powiedzie i Kosiniak-Kamysz razem z orszakiem swoich politycznych kameleonów zniknie raz na zawsze, a różne panie Pasławskie razem z nim.

Rekrutacja do szkół średnich pokazała więc niekiedy zdumiewającą ignorancję polityków, którzy nie znaleźli czasu, aby odpytać kompetentnych doradców, o co w tym chodzi. Przywoływano co rusz osobę byłej minister Zalewskiej, ale w tle był zawsze ten faszysta Kaczyński. Przyglądnijmy się zatem sprawie.

Zmiana systemu. Całe to „zamieszanie" było wynikiem reformy, którą pogardliwie i moim zdaniem prostacko nazywa się „deformą" systemu oświaty. A przywróciła ona stan sprzed szkodliwego majsterkowania ekipy Buzka/Handtkego. Gimnazja nie były nam do niczego potrzebne. Rozdrobniły system, który dość sprawnie działał, i po kilku latach pokazały swoją słabość dydaktyczną i wychowawczą. Zebranie w jednej szkole młodzieży tego przedziału wiekowego wywołało trudne do okiełznania skutki. Niestety, promieniowały one na kolejne etapy kształcenia – liceum i studia. Ogólny poziom maturzystów od lat woła o pomstę do nieba. Opisałem to w jednej z książek. Potem z tym narybkiem przyszło nam się zmagać na uczelniach. Dobrych i w „starym stylu" studentów mamy już dziś jak na lekarstwo. Posługujących się poprawną polszczyzną niewielu. Znających kanon lektur, kanon kultury, historię jeszcze mniej. A efekty wychowawcze widać po uczestnictwie w kulturze i „wszechpiwnym" charakterze juwenaliów. Tutaj też dziwię się niektórym moim kolegom broniącym gimnazjów jako udanego eksperymentu. Liceum, zwłaszcza dobre, przestało być w dużej mierze dla najlepszych, a stało się przybytkiem dla każdego. Na to nałożył się niż demograficzny, który najpierw zaowocował powstawaniem wielu liceów na bazie podstawówek (tak ratowano godziny dydaktyczne), a tym samym rozmyciem poziomu nauczania poprzez znikomą selekcję. Tylko w Toruniu (200 tys. mieszkańców) w ciągu 20 lat z 6 liceów zrobiło się 15. Gdy dodamy do tego „efekt gimnazjum", to nic dziwnego, że wykształcenie średnie stało się bardzo, bardzo średnie. I mamy, co mamy. To trzeba było koniecznie zmienić! Bo intelektualną erozję młodego pokolenia musimy zatrzymać, w przeciwnym wypadku będzie ono nieodporne na głupotę tego świata. Zalewska wzięła na klatę tę zmianę i za to jest teraz poniewierana.

Wybór był taki: albo brnąć w patologię, albo zrobić porządek. Porządkowanie zaś nigdy nie jest bezbolesne

Podwójny rocznik. Czy za cenę niemieszania roczników należało utrzymywać dysfunkcjonalny i szkodliwy system? Naprawdę? Czy naprawdę niewielkie perturbacje ograniczone do minimum czasowego i populacyjnego nie były niewielką ceną za powrót na drogę normalności w oświacie? Że tego nie widzi Broniarz, to się nie dziwię, bo to tylko watażka i lewicowy aparatczyk. Ale że nie widzą tego eksperci, to już dziwi. Wybór mieliśmy taki: albo brnąć w patologię, albo zrobić porządek. Porządkowanie zaś nigdy nie jest bezbolesne.

Selekcja. Napływ podań do szkół średnich, a zwłaszcza tych najlepszych, pokazał, że mechanizm jest zachwiany. Tłum szturmujących znaczące licea wynikał w dużej mierze z bezkrytycznej oceny własnych osiągnięć. Ale na Boga, te licea są najlepsze, bo zawsze przyjmowały tylko najlepszych, bo nie przyjmowały wszystkich! Na tym też często polega ich „sukces". I nie ma co łkać. Trzeba po prostu w innej szkole starać się być najlepszym i tyle. A mówiąc najprościej, na prawdziwą „najlepszość" trzeba zwyczajnie zapracować.

Pogarda. W ferworze dyskusji à la Pasławska i Co. umknęły nam technika i szkoły branżowe. Bo to przecież szkoły gorsze, dla fizoli. Dzisiaj każdy chce być wyłącznie inteligentem, zrobić maturę i pracować w zagranicznej korporacji, a pierwszym krokiem jest tu ogólniak. Murować, naprawiać auta, zakładać centralne ogrzewanie mogą chcieć przecież tylko straceńcy. Dlatego o szkołach w najszerszym znaczeniu zawodowych mówiło się w tych dyskusjach z pogardą. Bo przecież lepiej mieć legion niedouków z maturą niż przyzwoitą armię nowoczesnych fachowców. I niebezpieczeństwa takiego myślenia różne posłanki Pasławskie nie są w stanie dostrzec. I mamy, co mamy.

eprasa.pl 5a1adb7661

PRZEZ ŚWIETLIK

Superdziadek na eksport

Mała dziewczynka zachorowała na świnkę i znalazła się w szpitalnej izolatce. Powiedziano jej, że szybko stamtąd nie wyjdzie. Na szczęście był przy niej kochany dziadek. By pocieszyć wnuczkę, a zarazem oswoić straszną świnkę, rysował jej wciąż małe pocieszne warchlaczki. Śmiechu było co niemiara. Dzięki dziadkowi szpitalna izolatka stała się w pamięci dziecka dobrym wspomnieniem.

Szczególnie że dziadek pisał też o śwince i warchlaczkach wierszyki. Zresztą rymował całe życie. Po wielu latach dziewczynka ze wzruszeniem do nich sięga. Tych zabawnych, okraszonych dowcipnymi rysunkami, tych okolicznościowych i tych poważnych w trudnych chwilach dziadkowego życia.

Dziadek z babcią dziewczynki przeżyli razem 58 lat. Ich rodzinny dom emanował ciepłem, jakim potrafią emanować tylko dobrzy, kochający się ludzie. „To był prawdziwy dom, pełen życia, ze śniadaniami, obiadami i kolacjami przy stole z białym obrusem i świeżymi kwiatami w wazonach". Dziadek kochał zwierzęta. „Zawsze przy nas uganiała się sfora psów, którym dziadek sam gotował pożywienie w ogromnych garach. Trzymaliśmy króliki i inne drobne stworzenia, a pewnego razu zjawił się prawdziwy niedźwiedź brunatny".

Kiedyś Sowieci eksportowali komunizm, dziś zaczynają eksportować jego wybielanie

Dziadek opowiadał wspaniałe historie. Był wojskowym. Kiedyś wraz ze swoim dowódcą przyłapali pijanego podkomendnego. Kazali mu, by następnym razem nie nalewał do szklanki więcej wódki niż „na palec". Wkrótce chłopak znowu zjawił się pijany. Okazało się, że nalewał „na palec", ale przystawiony pionowo, a nie położony przy dnie szklanki. Uśmiali się i z pobłażaniem wyjaśnili jeszcze raz chłopakowi jak pić. Takie mieli metody wychowawcze.

Dziadkiem małej Wiery był Iwan Sierow. Człowiek, który gdyby nosił mundur niemiecki, a nie sowiecki, zapewne skończyłby na stryczku w Norymberdze. Współodpowiedzialny za Katyń, aresztowania polskich przywódców, mordy na Polakach, Węgrach w 1956 r., deportacje setek tysięcy Czeczenów i Tatarów, zbrodnie NKWD, KGB, GRU. Tymi ostatnimi dwiema służbami kierował.

Wiktor Świetlik

Rzekome pamiętniki Sierowa kilka lat temu miała znaleźć i opracować Wiera Sierowa – wnuczka generała. Okraszone są wstępami o trudnych czasach, w jakich przyszło pracować Iwanowi, pouczeniem, że nie wolno wyciągać pochopnych wniosków, a także opowieścią, jak słodkim człowiekiem był dziadek Wiery. Dalej, na 800 stronach, Iwan Sierow pośmiertnie oczyszczany jest z win. Książkę wydano w Polsce, z krótkim polskim wstępem nieco bardziej krytycznym wobec bohatera. W Rosji wychodzą dziś pochwalne książki o Berii, Żukowie, trudnych wyborach Stalina, którego większość Rosjan ponoć dobrze ocenia. Tam tę batalię już wygrano. Kiedyś Sowieci eksportowali komunizm, dziś zaczynają eksportować jego wybielanie.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

56/0619/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Westerplatte czy ratusz?

Jerzy Jachowicz

Początkowo baliśmy się otworzyć kopertę przesłaną przez anonimowego nadawcę na adres redakcji naszego tygodnika. Jedynym ryzykującym desperatem okazał się redaktor Jerzy Jachowicz, który w zamierzchłych czasach PRL służył w wojsku w jednostce saperów. Ale i jemu drżały ręce, kiedy wkładał palce do środka. Szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło. Wyjął z koperty kasetę magnetofonową z nagraną rozmową kobiety i mężczyzny. Oto jej stenogram. Czytelnikom pozostawiamy identyfikację rozmówców.

– Wtedy ja do niego mówię – towarzyszu generale, czas już zakończyć stan wojenny i zarejestrować Solidarność, bo się Ameryka pogniewa na dobre.

– To były inne czasy, drogi Lechu. Teraz nikt nam nie pomoże. Będziemy musieli obronić się sami. Twój pomysł okopania się na Westerplatte niewiele da, bo zaatakują od strony morza.

– Ola, ty to masz głowę.

– No co ty, Lechu. Ty masz lepszą. Nie zdążyłam ci powiedzieć jednej ważnej rzeczy. Wiesz, na co im półwysep? Nie na żadne plenerowe muzeum, tylko na obóz dla internowanych. Ten Sellin od Glińskiego specjalnie wybiera tereny płaskie, gdzie łatwo postawić baraki i otoczyć je zasiekami.

– Olu, a jakby tak szybko zaminować Westerplatte? Sprowokować kilka kontrolowanych wybuchów podczas wykopalisk na niby. A następnie zamknąć półwysep ze względów na dużą ilość niewypałów.

– Lechu, takiej operacji nie udałoby się zrobić w konspiracji. W pierwszym etapie przygotowań do tajemnicy może być dopuszczonych niewielu. I tylko sami zaufani. Moja strategia brzmi tak: bastionem oporu Starówka, a centrum dowodzenia Ratusz.

– Ja mogę się zająć aprowizacją. W Arłamowie dyktowałem oficerom listę cotygodniowych zakupów.

– Gromadzeniem zapasów żywnościowych zajmie się Małgosia. Jest bardzo operatywna. Wszyscy znają ją, ona zna wszystkich. Pod Ratuszem mamy ogromne podziemia. Jeśli idzie o ciebie, Lechu, chciałabym, żebyś już teraz nawiązał kontakt z naszą lokalną telewizją publiczną i radiem. Podam ci później nazwiska, kto nas wspiera. TVN i Polsat biorę na siebie.

– Olu, znowu czuję, że żyję.

CO MNIE BAWI

Wejdą? Nie wejdą?

Katarzyna Łaniewska

Na wiele tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego krążyła w Polsce aluzyjno-satyryczna piosenka (wykonywał ją znakomicie Andrzej Zaorski) „Wejdą? Nie wejdą?". Aluzja dotyczyła tego, czy wojska Związku Radzieckiego wkroczą do Polski, czy też nie.

Z 12 na 13 grudnia 1981 r. prowadziłam wielki koncert w Sali Kongresowej na rzecz starszych ludzi. Pod koniec tego koncertu tę właśnie piosenkę zaśpiewał Andrzej Zaorski. Dostał olbrzymie brawa. Nagle uaktywnił się pan w kulisie, podszedł do mnie i powiedział, że natychmiast mamy kończyć. Nie było co z nim dyskutować. Weszłam na scenę, podziękowałam za wspaniałe brawa. Ukłoniliśmy i powiedziałam: „A resztę dopisze historia". No i historia nam dopisała – ogłoszono stan wojenny. Prorocze słowa? Dlaczego teraz wspominam o tej śpiewance?

Wydaje mi się, że partie, które się krygowały, czy iść razem z PO, czy może same startować w wyborach, mogą sobie zaśpiewać: „Wchodzić? Nie wchodzić?". W tej kleconej koalicji to myśleli, czy Włodek dogada się z Władkiem i czy zielony pogodzi się z czerwonym, no i jeszcze zostaje różowy oraz przebłyski tęczowe. Tymczasem PiS pokazało swoje konkretne plany na wybory i kolejne cztery lata rządów. Ogłosiło listę tzw. jedynek w okręgach wyborczych. Działa spokojnie i systematycznie. Dość histerycznie ratuje się natomiast opozycja, chwytając się brzytwy, którą jeszcze próbują komuś zaszkodzić i kogoś zaciąć. Jeżeli już zdecydowali się zostawić to, co dzięki PiS jest dobre, to będą to modyfikować. Odwracają kota ogonem i myślę, że każdy zdrowo myślący człowiek będzie wiedział, komu ufać. Kto przyniesie naszej ojczyźnie i ludziom bezpieczeństwo, troskę i pracę. Teraz już wszystko jedno, wejdą czy nie wejdą. Niech zamykają za sobą drzwi. Pani Kopacz zapowiedziała, że jak PiS wygra, to wyjedzie, i uciekła do Brukseli. Szkoda, że już nie będzie mojej „faworyty" od dinozaurów i jajeczniczki.

Piosenka straciła na aktualności. Niech oni już wyjdą z tej polityki. A my zobaczmy, że w dobrej zmianie jest dobro dla Polski. I tak mam nadzieję zostanie przez kolejne cztery lata.

eprasa.pl 5a1adb7661

Energetyczna reprezentacja Polski jedzie na mistrzostwa świata

W ostatnim dniu sierpnia w Pekinie rozpoczną się mistrzostwa świata w koszykówce mężczyzn. Polska kadra ostatni raz grała na mundialu ponad pół wieku temu

Powrót do grona najlepszych jest możliwy m.in. dzięki wsparciu strategicznego sponsora, jakim jest koncern Energa, który zdecydował o przedłużeniu współpracy na kolejne dwa lata. – Polscy koszykarze wracają na światowe salony – podkreśla kierujący Grupą Energa prezes Grzegorz Ksepko.

Reprezentacja Polski w koszykówkę grała dotychczas na mistrzostwach świata dwa razy, ostatni raz w 1967 r. w Urugwaju. Zajęła wtedy piąte miejsce. Awans na tegoroczną imprezę w Chinach zapewniła sobie dzięki wygranej z Chorwacją.

Grupa Energa wspiera koszykówkę zawodową od 2005 r. W styczniu 2018 r. koncern został sponsorem strategicznym kadry. Teraz zdecydowano o przedłużeniu o dwa lata współpracy z Polskim Związkiem Koszykówki i Energa Basket Ligą. Energa jako sponsor strategiczny polskiego kosza obejmie swoją opieką kadry seniorek i seniorów, w tym kadrę 3x3 i koszykówkę na wózkach, oraz Energa Basket Ligę Kobiet i Mężczyzn do 2021 r. Dodatkowo umowa obejmie sponsorowanie gali zakończenia sezonu oraz turniejów finałowych Pucharu Polski kobiet i mężczyzn oraz meczów o Superpuchar Polski mężczyzn.

– To jest wzór współpracy – podkreśla prezes Polskiego Związku Koszykówki Radosław Piesiewicz. – Ogromnie dziękuję za zaufanie Enerdze. To, co dla nas jest najważniejsze, to ciągłość współpracy, która nie tylko zostaje zachowana, lecz rozszerzona – dodaje prezes PZK.

Kierujący Grupą Energa prezes Grzegorz Ksepko podczas uroczystości w Centrum Olimpijskim, kiedy ogłoszono dalszą współpracę, podkreślił wyjątkowość tego wydarzenia. – Mam wrażenie, że uczestniczymy w czymś zupełnie przełomowym w polskiej koszykówce. Ostatni raz byliśmy na mistrzostwach świata ponad pół wieku temu. Teraz wracamy na koszykarskie salony, wracamy do wielkiej koszykówki. Jest to możliwe dzięki zarządowi Polskiego Związku Koszykówki oraz Ministerstwu Sportu i Turystyki, które aktywnie wspierają tę dyscyplinę. Mam nadzieję, że Grupa Energa dorzuciła też swoją cegiełkę i będzie ich dorzucać coraz więcej. Wierzę, że ta współpraca będzie jeszcze bardziej owocna, oczywiście z pożytkiem dla kibiców, którzy są tak bardzo spragnieni sukcesów. Mamy nadzieję, że już niebawem – w sierpniu – podczas mistrzostw świata emocje sięgną zenitu i razem będziemy się cieszyć z sukcesów polskiej reprezentacji – dodaje prezes Energi.

8/0719/F

Energa zdecydowała o przedłużeniu umowy z Polskim Związkiem Koszykówki o kolejne dwa lata.

– Przekazujemy dobrą energię polskiej koszykówce. Dzięki rocznej współpracy Grupy Energa z Polskim Związkiem Koszykówki męska kadra narodowa odniosła olbrzymi sukces. Polscy koszykarze wracają na światowe salony. Wielka w tym zasługa zawodników i sztabu trenerskiego – podkreśla kierujący Grupą Energa Grzegorz Ksepko. – Dlatego też nasza spółka zdecydowała się na przedłużenie współpracy o kolejne dwa lata. Dzięki wsparciu Grupy Energa Polska Liga Koszykówki zyskała wizerunkowo i jest coraz częściej obecna w telewizji. Mocno kibicujemy naszym koszykarzom w starciu z najlepszymi zespołami podczas mistrzostw w Chinach – dodaje prezes Ksepko.

Energa pozostanie sponsorem kadr seniorek i seniorów, w tym kadry 3x3 i koszykarzy na wózkach, oraz sponsorem Energa Basket Ligi Kobiet i Mężczyzn. Dodatkowo umowa obejmie sponsorowanie gali zakończenia sezonu oraz turniejów finałowych Pucharu Polski kobiet i mężczyzn oraz meczów o Superpuchar Polski mężczyzn.

Mistrzostwa świata w koszykówce rozpoczną się 31 sierpnia w Pekinie.

eprasa.pl 5a1adb7661

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Do Pani Krystyny Pawłowicz

Pani obecność w polityce gwarantuje zdrowy konkret, a nie filuterne rozmemłanie

Poseł Krystyna Pawłowicz zamieściła na TT zasmucający jej licznych zwolenników wpis: „Jesienią SKOŃCZY się moja 8-letnia praca poselska. Jestem wdzięczna Prezesowi J. KACZYŃSKIEMU, że umożliwił mi udział w obronie i naprawie polskich spraw. Jestem dumna, że mogłam to robić, reprezentując w Sejmie i Krajowej Radzie Sądownictwa Prawo i Sprawiedliwość. Z polityki odchodzę".

Ryszard Makowski

O odważnych, ofensywnych piłkarzach mówi się, że wsadzą głowę tam, gdzie niejeden bałby się wsadzić nogę. Taka jest w polityce pani poseł. Trafnie, spontanicznie i kwieciście recenzuje wydarzenia. Gdyby była osobą tuzinkową, zachowawczą, nie wzbudzałaby emocji naszej bieda-opozycji i sekundujących jej fake-mediów. Bicz na lewactwo.

Na ubitej ziemi, na argumenty, nie mają z nią szans. Dlatego szukają pobocznych źródeł szydery. Jaka była beka, że jadła na sali sejmowej. Nie ona jedna posilała się podczas długo trwających głosowań, ale tylko ją napiętnowano.

Symptomatyczne jest to, że pani poseł nie chce się ubiegać o mandat w momencie sukcesów PiS. Zastanawiające, nieprawdaż? Poczta pantoflowa donosi, że różni usłużni członkowie PiS szepcą do wiadomego ucha, że pani Krystyna jest obciążeniem wizerunkowym. Wiadome ucho nie podziela tego poglądu, jednak pani profesor zrobiło się być może na tyle przykro, że rezygnuje.

Szanowna Pani Krystyno nie może Pani zrezygnować!!! Wyborcy PiS Pani potrzebują! Zdecydowanie bardziej niż tych szepczących.

eprasa.pl 5a1adb7661

Zawistowski prezentuje: Porwanie EU

Wycinki z przeszłości

Starsi jeszcze pamiętają tę markę z lat PRL, ale ta reklama (model SHL 98) pochodzi z roku 1939. Motocykle SHL to kawałek historii polskiej motoryzacji. Ich produkcję rozpoczęto w Hucie Ludwików w 1938 r. i dobrze się rozwijała. Plan na rok kolejny zakładał 2 tys. egzemplarzy. Niestety, barbarzyński niemiecki najazd zniweczył i to. Wartą odnotowania ciekawostką jest, że konstruktor SHL inż. Rafał Ekielski w czasie wojny zbudował kilkanaście motocykli dla partyzanckich oddziałów Armii Krajowej.

Kieleckie zakłady podjęły ponownie produkcję w 1947 r., a model SHL 125-MO2 częściowo nawiązywał do przedwojennej konstrukcji. Historię tego polskiego motocykla zakończył trzyletni okres produkcji (1968–1970) modelu SHL M17 Gazela, który wyróżniał się długą lampą i obszernym zabudowaniem blachami korpusu.

Szkoda, że dziś z polskich motocykli i motorowerów mamy do wyboru jedynie te składane pod starymi markami w Chinach.

(mk)

Na nocnych szlakach czasu

Na nocnych szlakach wszystkich czasów, tych samych myśli
Ciągną karawany:
„Skąd przywołani, dokąd zmierzamy?”
Zastanawiają się nieśpiący wędrowcy pod gwiazdami
Na nocnych szlakach, wszystkich czasów... LD

Kazimierz Wierzyński 1894–1969 „Słyszę czas”

Tylko w nocy słyszę czas,
Pytam dokąd mnie goni
Przez tyle świata, tyle miast,
Ciągle zmieniam adresy,
Gubię zapiski i rękopisy,
Nie wiem, gdzie mieszkam
I nie wiem jak długo,
Bo to wszystko tymczasem,
Wszystko w międzyczasie,
W tym bękarcim słowie,
Ale jakże mądrym
I jak okrutnym,
W międzyczasie od początku,
W międzyczasie do końca,
I tyle jest mego słowa
A poza nim
Już prawdziwy czas
Słyszę go w nocy,
Patrzę w ciemność i widzę
Jak mijam w nawiasie,
Od urodzenia do śmierci,
Pod każdym adresem,
W każdym mieszkaniu,
W ogromnym świecie,
Śród pogubionych zapisków
I trwożnych słów
Mego międzyistnienia.
Na próżno go pytam,
On mnie nie goni,
Czeka spokojnie,
Nic mi nie powie
I jeśli co słyszę
To tylko szum w uszach
Pusty szum.
Jest to czas, w który nie mogę wkroczyć,
Któremu nie mogę się sprzeciwić,
Do którego nie należę
A który jest wszystkim.

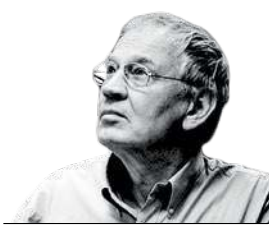

Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 5a1adb7661

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Samobójcza wysokość

Kultura wysoka, czyli elitarna, zarezerwowana dla twórców i odbiorców najwyższego kalibru.

Nie, nie będziemy się głowić, czy to już odpłynęło wraz z... np. z tzw. społeczeństwem masowym, a jeszcze bardziej wraz z nowymi technologiami. Nie chcemy też wchodzić w dyskusje typu, czy umasowienie dostępu do sztuki – płyty CD, empetrójki, spotifaje – bezpowrotnie nie rozmazało granicy separującej kulturę wysoką od niskiej?

DEFINIOWANE WEDŁUG ZŁOŻONOŚCI

Można próbować wskazać kryteria odróżniające kulturę wysoką od form innych („niższych"). Na przykład wskazując na złożoność. Melodie discopolowe w odróżnieniu od symfonii Beethovena bez wątpienia są mniej złożone. By rozumieć, ogarniać, przeżywać to, co prostsze, wystarczą mniejsze kompetencje kulturowe. Potrzeba mniej skupienia i wysiłku. Mniej samodyscypliny.

Może w tym ostatnim punkcie leżało społeczne znaczenie kultury wysokiej – w przyuczaniu elit i grup aspirujących do elity – do wysiłku związanego z przyswajaniem tego, co szlachetne i głębokie. Może.

TWÓRCY DESTRUKTORZY

Co w ramach dyskursu kultury wysokiej jest obecnie najczęściej wyrażane, do jakich wartości nawiązuje współczesna sztuka wysoka? Dlaczego tak obsesyjnie przywoływane jest hasło „swobody i wolności twórczej"?

Piotr Bernatowicz, szef Polskiego Radia Poznań, ale także historyk i krytyk sztuki, na jednej z sesji katowickiej konwencji programowej PiS powiedział, że sztuka wysoka i sztuki wizualne „stały się miejscem katastrofy i szerzenia postaw, które są absolutnie bardziej destrukcyjne niż kultura popularna (...). Teatr i sztuki wizualne są miejscem, gdzie dokonywane są najgorsze eksperymenty, przykładem festiwal Malta" (cytat za jednym z tygodników).

Trudno się z tym nie zgodzić. Co dziś można obejrzeć w wielu galeriach? Co promują centra sztuki współczesnej, jakiego typu spektakle dominują w teatrach? Komu jeszcze przeszkadza, że miejsce twórców zajmują celebryci? Czy ważne jest, „co" mają do powiedzenia, czy bardziej ekscytuje „jak"?

Skandale prawie już nie skandalizują.

TWÓRCZOŚĆ I ŁAD

Wśród swoich licznych zadań sztuka od wieków pełniła także funkcję swoistego wentyla bezpieczeństwa. Dawała względnie kontrolowany upust emocjom, próbowała nie tylko wychwytywać niewyrażalne, pomagała akceptować skomplikowaną naturę ludzką. Ale także była szkołą samokontroli i powinności elit.

Sztuka wysoka wyznaczała kanony, porządkowała symbole, pełniła funkcję wzorotwórczą. Przekazywała kody kulturowe pokazujące, jak pogodzić niekiełznaną naturę ludzką z ładem społecznym. Dlatego przez wieki kultura wysoka liczyła się z istnieniem archetypów. A dziś? Ćwiczy ich demontaż.

TABU ARCHETYPÓW...

Oczywiście nie tylko kultura wysoka jest odpowiedzialna za demontaż archetypów. Archetyp matki albo archetyp ojca – do destrukcji tych pierwowzorów przyczynia się rozwój technologiczny, dający coraz większe możliwości manipulowania naturą ludzką. Archetyp domu (ogniska domowego) coraz słabiej broni się w świecie mobilności i migracji.

Czy archetyp Hioba (niezawinionego cierpienia) ma w ogóle rację bytu w świecie, który oferuje środki znieczulające nawet na najmniejszy ból?

Dlaczego jednak kultura wysoka, czyli bardziej refleksyjna, miast bronić fundamentalnych pojęć przez tysiąclecia stanowiących podwaliny człowieczeństwa, podczepia się bezrefleksyjnie pod samobójczy strumień zmian?

ANACHRONICZNI WYZWOLICIELE

Mamy hipotezę. Mówi ona, że wielu twórców „wysokich" jest niemiłosiernie zacofanych. W istocie pozostali oni w wyzwoleńczych klimatach sztuki z końca wieku XVIII (rewolucja francuska), wieku XIX (ruchy robotnicze), co najwyżej wieku XX (ruchy narodowo-wyzwoleńcze). To były czasy zwalczania władzy autorytarnej, przeciwstawiania się cenzurze i stagnacji, ograniczeniom szerszego dostępu do wiedzy. Tymczasem odgrywanie wyzwoleńczych ról w czasach kryzysu demokracji liberalnej to po prostu nienadążanie za epoką i niezdolność odczytywania najnowszych znaków czasu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl 5a1adb7661

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo pierwszą w Polsce aplikację mobilną, dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji z ulubionym dziennikarzem w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl 5a1adb7661

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł

2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500

18 X VESPA PRIMAVERA

27 X SAMSUNG GALAXY S10+

36 X THERMOMIX

45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI

270 X TABLET GALAXY TAB A

100 X GALAXY WATCH ACTIVE

100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ

200 X SŁUCHAWKI

200 X GŁOŚNIK

Lotto | EURO JACKPOT | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | Super Szansa | Keno | LOTTO

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada).
Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 5a1a0b7661